

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XX.

ROK V.

TOM IV—ZESZYT II.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1880.

SPIS RZECZY.

I. OSTATNIE LATA WITOŁDA. Przez *Antoniego Prochazkę* (Ciąg dalszy) 195
II. SYLWEK CMENTARNIK. Przez *E. Orzeszkową* (Ciąg dalszy) 233
III. STOSUNKI GMINNE W KRÓLESTWIE POLSKIÉM i właściwy kierunek ich rozwoju. Przez *Juliana Łapickiego* . 268
IV. SZKICE Z ANGLII. Przez *Sewera.* (Ciąg dalszy) 311
V. NOWE KSIĄŻKI DLA DZIECI. Przegląd pedagogiczny . 333
VI. UKŁAD ELEMENTARZA I JEGO ZASADY. Z powodu prac Kazimierza Promyka i Wincentego Trybulskiego. Przez *Adolfa Dygasińskiego* 351
VII. ROZBIORY I SPRAWOZDANIA:
Wydawnictwo Komisyi historycznej akademii umiejętności w Krakowie Nr. 16. Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego zebrał i wydał Franciszek Kluczycki. Przez *Klemensa Kanteckiego* 368
VIII. KRONIKA MIESIĘCZNA. 376

P. P. Prenumeratorów, którzy nie wnieśli opłaty za drugie półrocze r. 1880, upraszamy o prędkie nadsyłanie téj należności do Redakcyi.

Druk ukończono 30 Października r. 1880.

OSTATNIE LATA WITOŁDA.

(*Ciąg dalszy*).

Zastanawiając się nad przyczyną skłaniającą mistrza do oporu i zwlekania w sprawach pokoju wiecznego, dwa lata bowiem mijają pod koniec roku 1424 od czasu zawarcia a wykonanie zawsze kuleje, niepodobna nam pominąć jednego nader ważnego wypadku, który nietylko że polepsza sytuacyą zakonu, w jaką pogrążył go pokój nad Melnem zawarty, i zachęca go do omijania tegoż, ale w znacznéj części posłuża Russdorfowi do rozpoczęcia knowanéj intrygi i do przybrania sobie pomocnika w osobie króla Zygmunta. Faktem tym była ucieczka Korybuta do Czech i z nią połączona kompromitacya Polski w obec króla Zygmunta i Niemiec. Nastąpiła ta ucieczka jakby równocześnie z omawianym powyżéj zjazdem Nieszawskim a więc pod nieobecność króla w Krakowie, co jednakowoż nie zmniejszało kompromitacyi. Bo i cóż mogło bardziéj narazić króla na wstyd jak to, że gdy on całkowicie się przejednał z królem Zygmuntem, ba nawet podczas uroczystości krakowskich przyrzekł mu użyczyć pomocy przeciwko Husytom, bratanek jego korzysta z przygotowań i na czele zbieraniny zdąża na pomoc kacerzom czeskim. Był to dotkliwy cios dla króla Jagiełły, tém bardziéj o ile był niespodziany. Pojmiemy całe kłopotliwe położenie króla o jakie go przyprawił figiel bratanka, skoro się przypatrzymy niezmiernéj czynności jego kancelaryi jaką *post festum* rozwinęła. Oto liczni pisarze kancelaryjni, przyszli kandydaci na sute prebendy, zajęci są dniem i nocą nad stylizacyą i przepisywaniem licznych listów, jako niewdzięcznik Korybut bez królewskiéj wiedzy, sam na swą rękę wyprawił się do Czech. A więc do kuryi rzymskiéj, do króla Zygmunta i do książąt niemieckich, do siostrzenicy Cymbarki żony ks. Ernesta Austryackiego, do Branderburczyka i do księcia Słupeckiego, do baronów

węgierskich i do wielu innych książąt śpieszą gońce z listami, w których stary król świadczy się Bogiem, jako w sprawie ucieczki Korybuta jest niewinnym. Co bardziéj król zbiéra panów do Wielunia, zkąd wychodzi ów głośny *edykt wieluński*, mający zamknąć husytyzmowi wstęp do Polski. Jagiełło w swojém i Witołda imieniu wiąże się z baronem w pewien rodzaj konfederacyi, nietylko przeciwko tym, którzy Korybuta wsparli lub mu na pomoc podążyli, ale i przeciwko wszystkim zwolennikom i protektorom husytyzmu w Polsce. Nie wątpimy, że król działał szczerze, poznamy późniéj wypadki, w pośród których król zapomni o edykcie a będzie protektorem Husytów.

Nie wchodzimy tu w pytanie kto Korybutowi dopomógł do ucieczki. Konstatujemy fakt, że byli tacy, i że przeciwko tym skierowano edykt wieluński, dla czego też przycichli na jakiś czas i nic o nich nie słychać. W parę lat późniéj poznamy okoliczności, które nam odkryją sprawców i pomocników tego dzieła. W tém miejscu nadmienimy tylko, że mistrzowi mogła być pożądaną ta kompromitacya Jagiełły i Polski i że jego szpiedzy pilnie byli zajęci odkrywaniem sprawców Korybutowéj ucieczki a agenci jego wzmagali podejrzenia Zygmunta względem króla Jagiełły. Królowi Zygmuntowi i tak już nie podobają się poselstwa husyckie kręcące się u dworu Jagiełły, a jest on podejrzliwy i zazdrosny o koronę czeską. Dbały o korzyści dla zakonu Russdorf uważa za stosowne odnowić przyjazne stosunki z Zygmuntem i wysyła doń w Listopadzie sprytnego swego agenta w osobie Redewicza, a kto wié czy nie jego to zabiegom przypisać należy, że Zygmunt przestaje tak serdecznie pisywać do Jagiełły jak to czynił od czasu pokoju w Kezmarku, a natomiast zwraca dyplomatyczne swe umizgi ku Witołdowi. Co gorsza, Zygmunt w obec elektorów wyraźnie obwinia króla Polski o podejrzane stosunki z Husytami. Nie wiadomo czy zapobiegliwości mistrza należy przypisać tę nieszczerość i zmianę u Zygmunta, czy raczéj zbiegowi opowiedzianych co dopiéro wypadków, to pewna, że nową tę sytuacyą nie zaniedbał wyzyskiwać Russdorf.

Bądź co bądź pozostaje on tak z Jagiełłą jak i z Witołdem w dobrych na pozór stosunkach. Zdają się oni nie bardzo zważać na opór zakonu, pierwszy nawet zapominać się zdaje o psocie Korybuta, ucieszony narodzeniem syna Władysława, drugi zajęty przygotowaniami na Pskowską wyprawę, a obaj wśród nawału zatrudnień jak gdyby zapomnieli o zakonie. Russdorf uznał, że potrzeba mu się przypomniéć swoim wrogom.

Pod sam koniec r. 1424 bawi król według zwyczaju na Litwie. Russdorf, który jak sobie przypominamy, dopraszał się u Witołda

bezskutecznie, aby tenże przyjął posła w osobie marszałka zakonu, wysyła obecnie ostatniego w towarzystwie komturów Elbląga i Bałgi do Litwy. Dowodzi on jak szczerze pragnie ukończenia spraw dotyczących wiecznego pokoju. Przyjęto posłów uprzejmie a Witołd ułożył się z nimi o przyszłoroczne termina rozgraniczeń dotyczących Litwy i postanowiono, że pierwszy termin ma nastąpić w Maju. Co się tyczy króla Jagiełły, to oświadczył on, że pod nieobecność senatorów swych nie może teraz oznaczyć terminu, odkłada przeto odpowiedź na rok przyszły. W sprawie wymiany dokumentów, skrupulatni posłowie mistrza wyrazili wątpliwość, ażali landmistrz niemiecki i arcybiskup rygajski przyłożą pieczęcie, a że im ze strony króla i księcia odpowiedziano, iż bez tych pieczęci obejść się można, wnosić należy, iż wymianę dokumentów tém samém uskuteczniono.

Król znowu wspomniał posłom o chęci zwiedzenia grobu św. Brygidy w Gdańsku. Posłowie przyrzekli oświadczyć to życzenie mistrzowi, który odpowié na nie przez poselstwo mające być wysłane do Krakowa na uroczystość chrztu dziecięcia Jagiellona. Inną znowu prośbę ma Witołd do mistrza. Książę upraszał, aby mu mistrz parę chorągwi przysłał na wyprawę, którą zamierzał w przyszłym roku podjąć przeciwko Pskowianom. Z czego wszystkiego wnosić można, iż pomimo braków w wykonaniu pokoju, pomimo uporu mistrza chciano jak gdyby podbić go i dobrym sposobem sobie ująć.

Szczególniéj Witołd, który podtenczas korzystając z dobrych swych stosunków z Zygmuntem pragnął odeń pozyskać godność tutora arcybiskupstwa rygajskiego, wdzierając się przez to w prawa i pretensye zakonu, kokietował z Russdorfem w najlepsze. W samych początkach r. 1425 pragnie on już *nie wątpić, ale święcie wierzyć w radość najserdeczniejszego swego przyjaciela* Russdorfa z powodu odniesionego zwycięztwa nad Tatarami, tak pisze Witołd do mistrza, donosząc mu o najnowszém zwycięstwie nad Chudandakiem, współzawodnikiem osadzonego przezeń Mechmeta. Ironiczny uśmiech mógł przebiedz na ustach mistrza, gdy czytał to pismo schlebiające jego dumie a zarazem budzące w nim instynkta zazdrości z powodu powodzenia oręża Witołdowego. Toż on chce być tutorem kościołów w Inflanciech i zamyśla wydrzéć zakonowi chociażby iskierkę nadziei w posuwaniu się na wschód a udaje przyjaźń i schlebia dumie naszéj. Russdorf równą bronią postanowił odeprzéć zamierzony przez Witołda cios, a Redewicz bawiący przy Zygmuncie mógł otrzymać odeń instrukcye celem nakłaniania króla Zygmunta, iżby tutorstwo rygajskie oddał komu mu się podoba, chociażby nawet królowi Jagielle, byle nie Witołdowi. Skutkiem tego miał się Witołd pocieszyć godnością tutora, którą mu sama tylko kurya dać miała;

Zygmunt lubo niechętny Jagielle miał godność tę królowi ofiarować.

Z tém wszystkiém Russdorf nie przestaje być ostrożnym a o zamysłach jego a tém mniéj o robotach jego dyplomacyi nikt nie wiedział. Mógł on śmiało wypowiedziéć o sobie te słowa, które o wiele dziesiątków lat późniéj miał orzec uczeń Kallimacha, król Olbracht, że gdyby koszula wiedziała to o czém głowa myśli, spaliłby ją natychmiast. Dla tego mistrz lubo krzyżujący plany Witołda zaocznie, nie omieszkał natychmiast po otrzymaniu nowiny z Litwy winszować księciu nowego sukcesu, dla tego w Kwietniu wysyła on komturów Bałgi i Ragnety z chorągwiami na ruską wyprawę Witołda, polecając im, aby się zgodzili na wybór miary granicznéj. Równocześnie atoli nie zaniedbał on uprosić mistrza Inflanckiego, aby natychmiast dawał mu znać o czasie w którym Witołd rozpocznie swą wyprawę, dokąd ją zamierza i w jakim celu. „Bądź pilnym w téj sprawie,“ prosił mistrz swego kolegi „dowiaduj się o wszystkiém co się na Litwie i Rusi dzieje i dokładaj do tego wszelkiego starania, przez to bowiem wyświadczysz nam niezmierną przysługę i zniewolisz nas do podziękowania.“ I o arcybiskupie rygajskim, którego pomocy rad Witołd używał w wyprawach na Pskowian podejmowanych, żądał Russdorf dokładnych wiadomości, polecając, aby się mistrz Inflancki dokładnie o usposobieniu tegoż do zakonu wywiedział.

Z opowiedzianych stosunków zakonu względem króla i Witołda, z ponownego jego zbliżenia się do króla Zygmunta wnosić należy, że i ten rok 1425, trzeci już od czasu zawarcia pokoju wiecznego miał upłynąć bez załatwienia spraw dotyczących jego wykonania. Russdorf mógł daléj używając legalnych pozorów ociągać i opaźniać wykonanie i wyczekiwać sposobności, w pośród któréj będzie mógł całą sprawę tak zawikłać, że o pokoju melneńskiem i mowy nie będzie. Wszakże już teraz w kancelaryi krakowskiéj biegli w prawie doktorowie utyskują na Witołda, iż gdyby nie jego ugoda w Wielonie, wykonanie pokoju wiecznego daleko rychléj przyszłoby było do skutku.

W Maju rozpoczął się pomiar graniczny nad rzeką Świętą z dość pomyślnym skutkiem, co Witołda napawa otuchą, że rektyfikacya granic litewsko-pruskich rychło będzie ukończoną. Ale nad Niemnem nie zgodzono się jeszcze na miarę. Natenczas wysyła Witołd Mikołaja Małdszyka do mistrza z pełnomocnictwem, aby się zgodził na milę pruską i żeby jeden egzemplarz miary, na którą się zgodzą, należycie opieczętowany, przywiózł z sobą do Litwy, drugi zaś takiż sam pozostawił mistrzowi. Ten jakby okazując radość, że sprawa przy energii księcia szybko się zakończy, uprasza go, aby po-

miar jak najrychlej mógł być uskuteczniony i proponuje, aby pełnomocnicy w tym celu jeszcze przed ósmym Września t. r. mogli się zjechać. Witołd przystaje i zapowiada, że pod koniec Sierpnia wyszle pełnomocników do Kłajpedy. Małdrzyk ugodził się również o miarę (23 Czerwca) z podskarbiem zakonu i stało się zadość woli księcia. Dalsze atoli rozgraniczenie nad Świętą zostało odłożone z powodu, że pełnomocnicy nie umieli sobie poradzić z jeziorami przez które trudno było prosto iść, by wykreślić granicę i Witołdowi nie pozostaje, jak tylko nadzieja, że może się raz skończy oznaczenie granicy nad Niemnem.

Pod sam koniec Sierpnia dwie równocześnie komisye pracują nad rozgraniczeniem na granicach pruskich. Jedna polska a skład jéj tworzą biskupowie włocławski i poznański, starosta wielkopolski Sędziwój (Ostroróg), Jan Dobrzyński i Maciej z Labiszyna. Nie brakło i *małego doktora* w Nieszawie, dokąd i pełnomocnicy mistrza (31 Sierpnia) przybyli. Ale do rozgraniczenia Nowéj Marchii a tém mniéj Drezdenka nie przyszło. Krzyżacy postaremu żądają dokumentów jako prawnych dowodów granicy polskiéj. Polacy ich nie mają, ale okazują chęć dowiedzenia swego przez zeznania świadków, na co znowu Krzyżacy się nie godzą i tak obie strony rozeszły się z niczém. Druga komisya w tymże samym czasie ma rozpocząć rozgraniczenia około Kłajpedy. Komtur tameczny otrzymał jakieś nieznanéj nam dziś treści listy od mistrza i odpowiedział na nie, że instrukcye dotyczące miary zrozumiał dobrze. Dziwnym jakimś wypadkiem zdarzyło się, że gdy pełnomocnicy litewscy okazali swą opieczętowaną miarę, okazała się ona krótszą o pół łokcia .aniżeli miara, którą na ten cel Krzyżacy z sobą wzięli. Obie strony rozjechały się tedy nie rozpoczynając nawet pomiaru.

Cóż czyni obecnie mistrz Russdorf. Psuje on widocznie wiele krwi tak Polakom jak i Witołdowi i wié o tém; ale czyż ta psota i nadal uchodzić mu będzie bezkarnie, czyż i nadal będzie on mógł udaremniać wykonanie wiecznego pokoju? Czyż nie mogą się w danym razie porozumiéć Jagiełło z Witołdem i zmusić go do zadośćuczynienia i spełnienia warunków melneńskich według ich woli. Russdorf wié nadto, że i legalność jego uporu nie zasłoniłaby go od nacisku Polski i Litwy. Russdorf to wszystko zważa i ocenia i jest słusznie przekonany, że nie przekroczył jeszcze granicy. On pragnie tylko dać do poznania Witołdowi, który jest zresztą bardzo domyślny, że stosunki zakonu polepszyły się znacznie, że wśród téj zmienionéj sytuacyi brzemię melneńskiego pokoju jest mu za ciężkie i zmusić go tém do niejakich chociażby najdrobniejszych ustępstw, lecz nie ze strony Litwy. Witołd miał być zniewolony do czynienia

ustępstw, ale w Polsce, gdyż to tylko miało być potrzebném do planu intrygi, zamierzonéj przez *świętą duszę*.

Pełnomocnicy polscy odjechali z Nieszawy z widocznéni oburzeniem i Russdorf wiedział o niém. Dowiaduje się nadto, że król podziela to oburzenie i że zgadza się na małą demonstracyą wojenną, ażeby postrachem zmusić Krzyżaków do uległości. Mistrz atoli nie tak łatwo ulega lękowi; przeciwnie, on czyni ze swéj strony również przygotowania wojenne. Jemu głównie o to tylko idzie, jak się na tę rzecz zapatrywać będzie Witołd i jak w obec tego postąpi.

Skoro tylko głuche wieści o wojnie doszły jego uszu, bezwłocznie daje on o tém znać księciu, nazywając je groźnemi i obawą napełniającemi zakon na który król Jagiełło nowy napad gotuje. Znanemi nam już wybiegami usprawiedliwia się, jako on postępowaniem swém wcale nie daje powodu do wojny i zwala winę całą z powodu niedojścia do skutku układów i zjazdów na Polaków. W końcu uprasza Witołda, aby mu prawdę napisał, ażali ma się spodziewać wojny lub pokoju, którego pragnie. Takież zapytanie wysyła on do króla Jagiełły. Zarówno król jak i książę zbijają obawy, trwożliwego zda się im, mistrza.

Natenczas mistrz bez zwłoki powtórnie spowiada się, ale przed samym księciem tylko z mniemanéj obawy o napad, opowiadając o groźnych wieściach i zamiarach polskich i dopraszając się o szybką odpowiedź, aby na każdy wypadek mógł być przygotowanym. Witołd nie dał się zwieść i umiał bardzo dyplomatycznie odpowiedzieć, jak to poświadcza list jego z Merecza, datowany dnia 20 Września r. 1425. Odpisałem wam niedawno mistrzu, pisze Witołd— na wasze skargi z powodu obawy napadu ze strony polskiéj, jako w całéj prawdzie, którą dokładnie znamy, ani król ani téż królewstwo nie żywią wojennych przeciwko wam zamiarów, o czém sam król również wam pisał. Obecnie atoli ludzie nasi ostrzegają nas, iż wy zasilacie zamki i warownie wasze załogami, zbroicie je i zasilacie wojskiem, że ludzie wasi przygotowywują się do nowéj wojny, i nie wiedziéć z jakiéj przyczyny się to dzieje. A wy piszecie do nas, że królestwo zbroi się na was, co jest nieprawdą. Przeciwnie sądzićby należało, że może wy macie podobne zamiary przeciwko Polsce. A mamy prawo do powzięcia takiego sądu, a to z powodu, że wy najwidoczniéj zbroicie się do wojny, daléj, że z naszych krajów wiele włóczęgów i ludzi niewolnych jako to złodziei i rzezimieszków gna do Prus a wy nam tych zbiegów nie wydajecie, jakbyście to według artykułów wiecznego pokoju czynić powinni byli..... Sami przecież osądzić możecie, ażali godziłoby się, aby która ze stron tak ważny akt pokoju wiecznego, umocniony majestatycznemi

pieczęciami obu stron i w tak uroczysty sposób zawarty, bezprawnie i bez ważnego a doniosłego powodu zerwać mogła? Z czyjéj strony zerwanoby w powyższy sposób to dzieło pokoju, ta strona popełniłaby czyn niehonorowy, a gdyby do nowych traktatów przyjść miało, i któżby ludziom takim, gwałcącym tak ważne dzieło pokoju, mógł dać wiarę, że zobowiązania nowe dotrzymają?... Proszę was tedy o to, o co się od nas domagacie, abyście nam prawdę powiedzieli, ażali zamierzacie coś względem nas począć, abyśmy za wczasu byli ostrzeżeni.

Charakterystyczny ten list Witołda aż nadto jasno był zredagowany, aby nie miał całkowicie otworzyć oczu Russdorfa pod względem powziętego zdania o zapatrywaniu się księcia na dzieło melneńskie. Spostrzegł on, że dotąd szedł dobrze, ale daléj o krok iść tą samą drogą, byłoby hazardownèm; książę mógłby porzucić i sprawy litewskie i wojenne wyprawy, aby ukarać upór Krzyżacki. Książę uznawał i tolerował ten upór skoro był legalnym, skoro mistrz opiérając się na dokumentach udaremniał wykonanie pokoju, ale skoro mistrz za broń chwytał, chociażby pod pozorem własnéj obrony, na to książę nie zezwalał, a mistrz wiedział z jakiego powodu. Zastanawiający się głęboko nad dalszemi konsekwencyami groźby Witołdowéj, jego niechęci do wojny z zakonem, powziął Russdorf myśl wyzyskania tego dla dobra zakonu. W Polsce bowiem panuje oburzenie przeciwko zakonowi takie, iż potrzeba tam tylko hasła królewskiego a pytanie co do wojny z zakonem rozstrzygnięte. Witołd wszakżeż twierdzi stanowczo, że dla tak błahych powodów, jakimi są drobne spory graniczne, burzyć dzieło pokoju wiecznego, byłoby sprawą niehonorową. A więc skoro mu tak zależy na wykonaniu i dochowaniu pokoju, wnosi słusznie Russdorf, że książę w tym duchu działa i działać będzie i w obec króla i w obec rady koronnéj. I nie mylił się pod tym względem mistrz; książę rad używał nawet tych samych dobitnych argumentów, o niehonorowéj sprawie, gdyż mu nowa wojna była nie na rękę. Z drugiéj znowu strony wié mistrz o tém, że w radzie koronnéj znajdują się niecierpliwsi i bardziéj wojennego usposobienia ludzie, a nawet pałający złością i nienawiścią ku zakonowi, i przewidywał słusznie, że z odmiennych ich od Witołda zapatrywań i żądań, mogą urość scyssye małe i drobne zrazu, które on atoli umiejętnie i zgrabnie kierując sprawą, będzie mógł wyzyskać. Co więcéj, ten który dniem i nocą o korzyściach dla zakonu marzy, mistrz Russdorf odczuwa nawet, że książę da się do ustępstw, do ofiarności jakiéjś nakłonić, byle tylko mieć spokój, zapewniony wiecznym pokojem. Nie zaszkodzi spróbować myślał no, i sięgnął pamięcią do czasu kiedy to zawierano pokój nad Melnem,

a niecierpliwy książę nastawał na Polaków, aby ustąpili zakonowi żądany przezeń młyn Lubicz, ale podówczas bezskutecznie. Postanawia tedy Russdorf przy ponownie nadarzającéj się sposobności pokornego usprawiedliwienia i zwalenia winy na Polaków, na ich upór i hardość, na brak dokumentów a ogrom nieuzasadnionych pretensyj, wynurzyć całą ufność kięciu, jaką zakon w nim i jego sprawiedliwości pokłada. Cóż kiedy książę zna próżność słów zakonu, przeto Russdorf ofiaruje się czynem stwierdzić ich szczerość a polecając zakon sprawiedliwości księcia i zdając wszystkie sprawy pod jego sąd i opiekę, proponuje zjazd osobisty na którymby ponownie, ale stanowczo uchwalono, w jaki sposób sprawy sporne mają być załatwione. Książę zdawał się okazywać chęć, aby powtórnie wziąć sprawy w swe ręce. Mistrz, który wiedział, że sam projekt tego rodzaju powtórnéj edycyi wielońskiego zjazdu oburzy ukrytych nieprzyjaciół witołdowych w Polsce, umiał pochlebić dumie Witołda. Chociaż książę nie przyrzeka stanowczo, ale już w duchu nowego zjazdu pracować będzie, i zdaje się nawet usprawiedliwiać legalność w postępowaniu zakonu, tak rad jest z popartego dowodem zaufania jakie w nim zakon pokłada a jeszcze bardziéj z nadziei, że wykonanie dzieła pokoju przyjdzie do skutku. Natenczas mistrz bardzo delikatnie wyraża życzenia, aby książę skłonił Polaków do opuszczenia tych pretensyj, których dowodami poprzéć nie mogą i aby oni przynajmniéj zakon pozostawili przy prawnych jego żądaniach. A gdy i na to zdaje się Witołd przystawać, chwilę tę uważa mistrz za stosowną, by wyżebrać odeń ustępstwo młyna Lubicza.

Młyn „Lubiczem“ zwany, twierdza pod swe czasy Krzyżacka o bardzo obronném położeniu nad Drwęcą a ztąd niedogodna i wroga Polakom miał być skutkiem pokoju melneńskiego ustąpiony Polakom. Mistrz atoli dotychczas jeszcze go nie wydał, co wielce mogło gorszyć stronnictwo nieprzychylne Krzyżakom w Polsce. Nie tak na posiadaniu młyna i twierdzy zależało zakonowi, jak raczéj na poróżnieniu Witołda z Polską, gdy się odeń domagał za pośrednictwem któregoś ze sług zakonu, aby książę jak to już raz, lecz bezskutecznie próbował, starał się wyjednać młyn dla zakonu. Witołd przyrzekł święcie jako postara się o to, aby Lubicz należał do zakonu. Czy to chciał ustępstwem tém zniewolić mistrza do wdzięczności i do rychłego wykonania artykułów melneńskich, czy to chcąc się pozbyć natrętów, którzy drobnostek takich radzi używali do zwlekania przy wykonaniu warunków, dość że Witołd dał słowo swe Russdorfowi i wysłał w tym celu posła do króla i do senatorów polskich, aby i od nich wyjednać przyzwolenie. Ucieszony Russdorf wysyła do księcia rządcę swego z Rastenburga z nowemi dowodami szczeréj chęci

i zamiarów zakonu około dokończenia dzieła pokoju, przypominając znowu chęć osobistego zjazdu. Poseł miał również usprawiedliwić zakon z powodu niedoszłego pomiaru nad Niemnem i wyrazić życzenie ze strony mistrza, aby pomiar graniczny w obecności księcia mógł się odbyć. Książę odpowiedział, iż byłoby mu wielce przyjemném, gdyby zjazd mógł przyjść do skutku i zaręczał, że dołoży wszelkich starań, aby porównać wątpliwości i spory stojące na przeszkodzie dziełu pokoju wiecznego. Donosił, że zgodził się z posłem zakonu, iżby zjazd mógł nastąpić w Grodnie, dokąd przed św. Mikołajem i król Polski przybędzie. I nowém ustępstwem księcia mógł się pocieszyć Russdorf, Witołd bowiem proponował, aby ów łokieć, jako nadwyżka miary o którą się rozbiły rokowania około pomiaru nad Niemnem, przeciąć na dwie części tak, żeby i zysk i strata po równéj połowie stronom przypadły i ażeby mistrz wiedział, jak szczerze pragnie książę wymiaru sprawiedliwości dla zakonu.

W Brześciu Litewskim, dokąd król zwołał senatorów w sprawie zhołdowania książąt mazowieckich, o czém poniżéj szerzéj pomówić wypadnie, była mowa i o nowéj propozycyi zjazdu i o młynie Lubickim czego domaga się w. książę Witołd. Były to bardzo drażliwe kwestye, pomimo to książę posiadał wielką sympatyą u baronów polskich, którzy też pomimo nienawiści ku Krzyżakom nie odmówili jego żądaniom. Orzekli oni, iż pod tym względem zdają się zupełnie na wolę króla i w. księcia. „Wy obaj jesteście naszymi panami,“ były ich słowa, „a cokolwiek (w sprawie młyna) postanowicie, niechaj stanie na tém.“ Nie brakło atoli i takich w Brześciu, którzy ze stanowiska kanclerza zapatrując się na sprawę, dowodzili, że ustępstwo młyna byłoby wymierzone wręcz przeciwko pokojowi melneńskiemu, że przeto nie należałoby dawać zezwolenia. Mistrz dobrze wiedział; że Szafrańcy i mały doktór byli oponentami, że atoli stanowiąc mniejszość w radzie, nie mogli przeprowadzić swego zdania. Jeszcze jeden przedmiot znany nam jest z owego zjazdu panów w Brześciu, dotyczył on rozgraniczenia Nowéj Marchii. Król Zygmunt, na którego król mógł być zarówno gniewnym jak i senatorowie, z powodu że brał w protekcyą wyłamujących się z pod hołdownictwa korony książąt Mazowieckich, domagał się, aby rozgraniczenia od strony Nowéj Marchii z nim jako właścicielem tego kraju dokonano, Krzyżacy bowiem są tylko tymczasowymi jego possesorami. Przyzwolono i na to w Brześciu. Król Jagiełło z uchwał tych nie był zadowolony, przechylając się pod tym względem na stronę wrogów Witołdowych w Polsce Szafrańców. Z jakich przyczyn król mógł być niezadowolniony, jak minął zjazd w Grodnie i jak się zawią-

zała intryga Krzyżacka, postaramy się opowiedziéć w następnym rozdziale.

Poskąpiły nam zawistne losy aktów kancelaryi króla Jagiełły z czasów, któremi się zajmujemy. Gdybyśmy je mieli chociażby w połowie téj liczby jaką posiadamy z kancelaryi zakonu moglibyśmy się dokładnie przypatrzéć rozpoczynającéj się w tym jeszcze roku 1425 walce wewnętrznéj w Polsce, jaka się odbywa pomiędzy królem a baronami jego. W braku tychże, musimy poprzestać na zarysowaniu konturów tylko tego ciekawego obrazu.

Stary król Jagiełło święcił, jak wiadomo, uroczystość chrzcin swego dziecięcia Władysława. Oczywista, że równocześnie zajęty był planem ugruntowania dynastyi i apelował do baronów. Zwołani w tym celu baronowie do Brześcia Kujawskiego, (1) którzy też przyrzekli zadość uczynić woli króla, zastrzegli sobie atoli, że stwierdzający następstwo syna królewskiego akt ma być prawomocnym dopiéro wtedy, gdy król potwierdzi panom ich przywileje. Król skromny, ale despotyczny gdy szło o osobiste jego zamiary, dumny myślą ugruntowania dynastyi, pożałował wkrótce, że zgodził się na warunek baronów i zwraca się ku królowi Zygmuntowi, pomimo że doń nawet żal czuje—z pytaniem, coby mu właściwie czynić należało, czy dopełnić warunku żądanego przez baronów lub nie. Jagiełło waha się i jest nieszczerym w obec panów. Szczególniéj żywi on żal przeciwko Witołdowi, który popiéra ich interesa, odwzajemniając się im niejako za popieranie jego litewskich spraw. Baronowie pragną rozszerzyć swe przywileje w obec nadarzającéj się kwestyi dynastycznéj i jeszcze bardziéj ugruntować uprzywilejowane swe stanowisko, jakie zajęli byli od czasów Ludwika Węgierskiego, a które w części stracili to w obec długoletniego panowania Jagiełły, to w obec często podejmowanych wojen. Król znowu zawsze będący w kłopotach pieniężnych nie rad był zwalniać poddanych swych z rozmaitych podatków, które były znowu najdrażliwszą ich stroną a co u nich znaczyło *rozszerzeniem przywilejów*. Mamy daléj powody do powzięcia sądu, że stronnictwo kanclerskie namawiało króla do oporu przeciwko baronom. Czy działało ono w interesie monarchicznym, czy też była to czysta prywata, pytanie to pozostawiamy nierozstrzygniętém.

---

(1) Zjazd ten odbył się 30 Kwietnia podczas gdy późniejszy w Brześciu *Litewskim* odbył się 11 Listopada.

Iskierkę niechęci, jaką król z powyżéj przytoczonego powodu żywi ku Witołdowi, rozdmuchują Szafrańce, tém bardziéj gdy Witołd zaproponował odstąpienie młynu lubickiego Krzyżakom a baronowie propozycyą miasto odrzucić, jak tego żądali Szafrańcy, przyjęli. Szafrańcy starają się przekonać króla, że on za wiele władzy użyczył księciu, że książę jest królem prawdziwym w Litwie a już i rozpoczyna królować w Polsce. Że Witołd ster spraw krzyżackich wziął w swe ręce, jak gdyby był królem w Polsce. Nie dość na tém, że błędy po błędach popełnia, kanclerz je umiał starannie wykazać, ale ośmiela się rozdarowywać ziemię polską i nalega na odstąpienie jéj Krzyżakom. Szafrańce rzucają nawet podejrzenie w obec króla, że ambitny książę chyba jest w zmowie z Krzyżakami, wszakże nie ma zamiaru ponownéj z nimi wojny, do któréj oni sami zdają się wyzywać Polskę, niehonorową sprawą, obrania ich i jest ich opiekunem. Wszakżeż król jest dziedzicem Litwy i ta się synowi jego z tego tytułu należy, chyba więc dumny książę zechce temu przeszkodzić i łączy się w tym celu z zakonem. Podejrzliwy Jagiełło słucha Szafrańców i poczyna podzielać ich zdania, a nawet mu wierzyć. Stary i opierający się o kogoś król, stracił w téj chwili Witołda a pozyskał natomiast Szafrańców. Oczywista, że mógł być niezadowolniony z uchwały brzeskiéj swych baronów, gdy się udawał na grudniowy zjazd grodzieński.

Na zjazd w Grodnie śpieszy i mistrz ze starszyzną zakonu, mający zamiar należycie wyzyskać nową sytuacyą. Nie mamy wprawdzie śladów, aby już w owym czasie za pomocą pokątnych intryg używał Szafrańców do swoich celów, to pewna, że wiedział dokładnie jakie wrażenie zrobiła sprawa młyna lubieckiego na nich i na królu. Jedna okoliczność kazałaby wnosić jak dokładnie był mistrz o niéj poinformowany. „A gdy król i Polacy nie zezwolą na odstąpienie młyna,“ zapytał on poufnie Witołda, „cóż książę pocznie sobie, aby dotrzymać obietnicy.“ Odstąpię zakonowi w miasto młyna powiat żmudzki Połągę, odpowiedział urażony poniekąd tém zapytaniem książę. Roztropny mistrz nie zadowolnił się tém i wyjednał krótki kilkutygodniowy termin, w którym zakon miał otrzymać Lubicz lub Połągę. Król i Szafrańcy wnet się o téj nowéj koncesyi dowiedzieli, a można sobie wyobrazić do jakiego stopnia podniosło się ich zgorszenie, jak na ten temat urastały plotki, szerząc się coraz bardziéj w królestwie.

Witołd, który o tych plotkach mógł nie wiedziéć lub zbywać je obojętnie, dokładał wszelkich starań około robienia zgody. To téż skoro się zjechano w Grodnie po niedługich sesyach powzięto następne uchwały: król i wielki książę uwalniają mistrza od zobowią-

zań jego celem rozgraniczenia Nowéj Marchii od Polski a załatwią je z królem Zygmuntem, panem i dziedzicem tego kraju. Powtóre: Na Wielkanoc przyszłego roku (1426) zjadą się pełnomocnicy polscy i zakonni około Jasieńca, aby uskutecznić rozgraniczenie pomiędzy Kujawską, Chełmińską ziemią i Pomorzem, według brzmienia artykułów pokoju melneńskiego. Pełnomocnicy ci mają się także porozumiéć w sprawie Drezdenka, a gdyby tego wszystkiego nie uskutecznili na owym zjeździe, podówczas wybierają z grona superarbitrów, którym wręczą pełnomocnictwo załatwienia tych spraw. Jeżeliby atoli i ci sędziowie nie mogli rzeczy rozstrzygnąć, natenczas margrabia Fryderyk Brandeburczyk, lub jaki inny książę, na którego jako na superarbitra zgodzą się strony, ma wydać decydujący i prawomocny wyrok.

Dokument téj treści, który zresztą uważać można za poprawniéjszą edycyą wielońskiego aktu, opieczętowali król i Witołd tudzież trzéj polscy a czteréj litewscy senatorowie z jednéj, mistrz i starszyzna zakonu z drugiéj strony. I zdawaćby się mogło, że tak uroczysty zjazd, uwieńczony aktem zgody, zapewniał całkowitą nadzieję wykonania pokoju wiecznego. Gdyby tylko nie minął był bez pewnego dodatku, który jako fałszywy ton uskutecznia dyzharmonią pomiędzy godzącemi się stronami. Krzyżacy proszą króla o odstąpienie Lubicza, a gdy król się waha, wstawia się za krzyżakami książę Witołd. Opór królewski musiał być bardzo stałym, gdy książę z największą pokorą na klęczkach uprasza króla, aby zadość uczynił prośbie mistrza. Pomimo to upokorzenie się księcia, odpowiada Jagiełło, że bez odwołania się do plenum swych senatorów nie może w kwestyi tak ważnéj dać stanowczego słowa. Rozgniewało to wielce Witołda pamiętnego na uchwałę brzeską, według któréj król wraz z księciem mieli prawo decydować w sprawie młyna. Wszelkie atoli wyrzuty z tego powodu królowi czynione nie przydały się na nic, król stale i stanowczo odwoływał się do senatorów. Z którego to powodu panuje pod koniec zjazdu naprężenie pomiędzy władcami Litwy a Polski. Witołd widzący już, że król zezwolić nie chce, i że bez jego zezwolenia i senatorowie niczego nie uskutecznią, zdaje się używać fortelu, gdy proponuje królowi, którego odprowadza do granic polskich, aby polecił spieszącemu na zjazd Piotrkowski Ostrorogowi oświadczyć senatorom, że król i wielki książę zgodzili się już, aby odstąpić młyn Lubicki Krzyżakom, ażeby tedy i oni zezwolili na to ustępstwo. I na to nie przystaje król Jagiełło i poleca, aby to tylko Ostroróg oświadczył senatorom, że jeżeli oni się zgodzą na ustąpienie, natenczas i król się zgodzi. Witołd postanowił oczekiwać wyroku senatorów polskich.

Niepodobna dziś rozstrzygnąć czy znakomite wyzyskiwanie sytuacyi przez mistrza Russdorfa, czy też może zakulisowe intrygi jego stają się powodem niechęci pomiędzy Jagiełłą i Witołdem. W każdym wypadku, Witołd przyobiecując zakonowi ustąpić kawał ziemi polskiéj bezsprzecznie popełniał błąd polityczny, który przez wyzyskiwanie można było mniéj lub więcéj doniosłym w skutkach zrobić. Nie dziwna tedy, jeżeli Russdorf pomyślał nad środkami wyzyskiwania tego błędu, gdyż na zawiązywaniu intrygi nie brakło mu ni talentu, ni sprytu. Skoro tylko Witołd przystał na żądanie zakonu, mogły równocześnie już zakulisowe intrygi być mu pomocnemi, iść w parze z wyzyskiwaniem nowéj sytuacyi.

Dziś, zaledwie dojrzéć można krętego pasma téj intrygi. Tajemnic jéj nie powierzał przebiegły Russdorf papiérowi, który wszakżeż mógłby wszystko zdradzić. Przy Witołdzie zostawił on Krzyżaka Vochsa, który posiadał całkowite zaufanie księcia przez częste posłowanie w sprawach zakonu, a ten miał mistrza ustnie uwiadamiać o wszystkich fazach, jakie w rozwoju swém przechodzić miała sprawa młyna lubickiego. Poznamy, że i w Polsce a zwłaszcza przy królu fungowali Krzyżacy w roli *powierników*.

Zresztą sam charakter Witołda, który nigdy nie ustępował od danego raz słowa, był dla Russdorfa rękojmią, że sprawa pomyślny dla zakonu weźmie obrót. To też gdy po odjeździe mistrza zapytali Witołda senatorowie polscy, czy na wypadek, jeżeliby ustąpienie Lubicza Krzyżakom miałoby przyjść do skutku, wolno było koronie po przeciwnéj stronie rzeki wybudować podobny młyn, książę w miasto odpowiedzi zwraca się z tém zapytaniem do mistrza. Ten udając obojętnego nie odpowiada natychmiast, gdyż zajęty jest na pozór ważniejszą sprawą, a mianowicie bezzwłoczną ekspedycyą lekarza do chorób wewnętrznych, sławnego Toruńczyka doktora Henryka, do Litwy. Zachorowała wielka księżna Julianna, a mistrz zadość czyniąc prożbie Witołda każe natychmiast nieść ulgę choréj jego małżonce. Poczém oddzielając grzeczność od interesu, odpowiada Witołdowi przez Vochsa, że w żaden sposób nie mógłby się zgodzić, ażeby Polacy z drugiéj strony Drwęcy podobny Lubickiemu młyn budowali. Redakcya téj odpowiedzi była taką, iż zdawał się on posądzać Witołda, że tenże, pomimo objetnicę, sprzyja polskim zamiarom. Oburzyło to poniekąd księcia z którego to powodu 25 Stycznia (r. 1426) dość ostro odpowiedział na insynuacye: „Chciéj wiedziéć mistrzu,“ są słowa listu, „żem od Was, ani żądał ani o to się upominał, aby król Jagiełło mógł sobie na Drwęcy po swéj stronie młyn stawiać, gdyż ja wam obiecałem ustąpienie Lubicza wyjednać o co się starałem i obecnie jeszcze staram. Jeżeliby Polacy na to nie

przystali, obiecałem Wam kawał z naszych krajów darować i od tego nie ustępuję. Ostateczną odpowiedź w téj sprawie miałem Wam dać w środopoście, obecnie proszę o przedłużenie terminu aż do Wielkiéj nocy, z powodu poselstw jakie w téj sprawie pod ten czas pomiędzy nami a królem Jagiełłą mają się odbywać. Sprawują one zwłokę, a teraz przybywa nowa kwestya, i zdanie Wasze pod tym względem poznaliśmy. Gdyby tedy Polacy zechcieli młyn po swéj stronie stawiać, jak tego zdawali się żądać, potrzeba będzie dać im do poznania, że się na to nie zgadzacie, a gdyby się opierali przy swojém, upomnieć ich i nakłonić do ustąpienia od projektu.“

Odpowiedź ta starczy za dowód, że zręcznie umiał apelować do Witołda mistrz zakonu. Poznawszy raz piętę achilesową w charakterze księcia, umié on podrażnić jego ambicyą do tego stopnia, że książę zawsze oględny traci przezorność, zawsze ostrożny traci równowagę, zimny i wyrachowany roznamiętnia i zapomina się. List powyższy, to broń w ręce mistrza podana, którą tenże nie omieszka zwrócić przeciwko dumnemu dawcy. Tak bowiem naiwnym nie był Russdorf, aby z nowéj koncesyi jaką wymógł obecnie nie skorzystać celem zawiązywania węzłów intrygi. Wiedząc, że senatorowie polscy, tylko dla Witołda zrobili ustępstwo, skoro nie odrzucili projekt darowania młynu zakonowi, wnosi on słusznie, że propozycya nie mogła się im podobać. A że król zaufany Szafrańcom jest przeciwnym temu ustępstwu i tak cała sprawa jest w zawieszeniu, potrzeba tylko przez znane środki dyplomatyczne zwiększyć niechęć baronów do ustępstwa, pośrednio do Witołda. Niepotrzebnemi były nadzwyczajne jakieś zabiegi ku temu celowi. Sami wszakże wrogowie mogli mu być w tém dogodném narzędziem. Potrzeba było ostrożnie i bardzo dyplomatycznie przestrzedz kancelaryą polską, że gdy się król na ustępstwo Lubicza nie zgodzi i jeżeli nawet od zamiaru budowania podobnego młynu po przeciwnéj stronie rzeki nie ustąpi, zakon pozyszcze przyobiecaną od Witołda Połągę. Agenci krzyżaccy, komturowie pograniczni Polsce, oni mogą być wszakżeż mniéj dyskretni, mają więc nie bardzo trudne zadanie do rozwiązania a skutkiem ich niedyskrecyi stali się najzawziętsi wrogowie zakonu narzędziem do poróżnienia Polski z Witołdem. Tak się też i stało.

Względem Witołda wypadało grać rolę wdzięcznego sługi dla swego dobroczyńcy a w téj roli nie łatwo kto dorównał Russdorfowi. Lekarz zakonny Henryk wyleczył ks. Juliannę, a Witołd rad z tego, serdeczne składa mistrzowi podziękowanie. Mistrz uprzedza życzenia księcia i pozostawia doktora aż do zupełnego wyzdrowienia księżnéj. Witołd udaje się w Lutym do Inflant, aby się ugodzić z zako-

nem mieczowym o rozgraniczenie. Na środopost ma być w Brasławiu w nowo wybudowanym zamku około Dynaburga, aby się ułożyć w tym celu z pełnomocnikami mistrza Inflanckiego. Natychmiast Russdorf poleca ostatniemu, aby okazał powolność woli księcia, przystał na rozgraniczenie, nie robiąc żadnych trudności, tudzież aby nie zapomniał dać znać księciu, że on mistrz zakonu nakazał jemu jako następcy swemu w Inflenciech tę uległość jaką przy téj sposobności miał okazać. Witołd niezmiernie był rad gdy spostrzegł w Brasławiu zmianę w usposobieniu zawistnych dlań kawalerów mieczowych. Posłowie ich mistrza zgodzili się łatwo na termina w których obustronne komisye miały oznaczyć granice litewskie od Inflant i przyobiecali nadto wydać księciu zbiegów i złoczyńców litewskich, przebywających podówczas w Inflanciech. Za tę przysługę serdecznie dziękuje Witołd Russdorfowi, gdyż sołtys wendeński i komtur dynaburski oświadczyli księciu, iż mistrz wielki nakłonił bezpośredniego ich zwierzchnika do załatwienia spraw i poczynienia ustępstw dla księcia.

Im bardziéj atoli był Witołd rad z widocznéj zmiany w usposobieniu zakonu i Russdorfa skłaniającego się już w jego oczach do wykonania pokoju wiecznego, tém bardziéj bolał on z powodu nieszczerości króla, który sprawia zwłokę w drażliwéj kwestyi młyna. Nieszczerość przebijająca się w postępowaniu królewskiém zda mu się być małoduszną i niegodną, na nią przecież nie zasługiwał dzieląc z nim przez pół wieku prawie, dobre i złe koleje losów. Z dumą spoglądając na nie, widział Witołd i błąd swój jaki popełnił, lecz czyż w obec zasług jakiemi się słusznie mógł szczycić, nie mógł się błąd ten wydać mu maluczkim a wina króla, który postępował za radą kanclerza tém większą? Ambitny książę, mógł nawet przypomnieć sobie dawniejsze urazy, w chwilach czarnych rozmyślań mogły mu przesunąć się przed oczyma obrazy dawnych grzechów królewskich, a więc śmierć drogiego ojca Kiejstuta, wygnania, tułactwo. A gdy król pomimo próśb i usiłowań ciągle zwleka, nie może się ukoić podrażniona jego ambicya.

Nie idzie mu o Krzyżaków, lubo kwestyą pokoju wiecznego ustawicznie ma przed oczyma i radby ją zakończyć; jemu głównie zależy obecnie na tém, aby zadość uczynić zobowiązaniu i danego dotrzymać słowa. Honor jego wchodzi tu w grę i rachubę, a on go nigdy nie skalał niedotrzymaniem danego słowa, a bardziéj jeszcze podrażniona ambicya, gdyż król zamiast okazać mu wdzięczność i ustąpić jego prośbom, widocznie *przenosi tę odrobinę wody i kawałek ziemi na cześć książęcą, a młodego doktora i Szafrańców nad książęcego brata.*

W powziętém o królu mniemaniu, utrwala Witołda dalsze postępowanie króla, którego niechęć i podejrzenia wzmogły się jeszcze bardziéj, skoro się dowiedział o przyobiecanéj Krzyżakom Połądze na wypadek odmowy Lubieckiego młyna. Dowiedział się Jagiełło o tém, zabawiając się polowaniem w Białowieskiéj puszczy, a łatwo dorozumiéć się można, kto mu udzielił nieprzyjemnéj nowiny. Stara się tedy Jagiełło za pośrednictwem pełnych żalu i wyrzutów listów nakłonić Witołda, aby pod żadnym warunkiem nie ustępował zakonowi przyobiecanéj Połągi. Jeśliby senatorowie polscy mieli nie przyzwolić na ustąpienie Lubicza, pisze król, a książę miał się upierać przy swojéj obietnicy, natenczas niechajby już darował Krzyżakom jaki połać ziemi na Rusi. Dwukrotnie upomina król Witołda słowy: jeśli darujesz Połągę Krzyżakom, Żmudź i Litwa i ty bracie będziesz kiedyś płakać z tego powodu.

A wszakże nie płakałem pod tenczas, kiedy Połąga nie była naszą, odpowiedział książę, najdowodniéj przekonywujący się, że król honor jego wystawia na próbę. I znowu stara się on przedstawić królowi, jak srodze ambicya i sława jego na tém ucierpiałaby, gdyby nie przyzwolono na ustąpienie Lubicza. Domaga się nadto, aby król wysłał z Lubomli, gdzie na środopoście (10 Marca) przybywał, posłów swych biskupa i wojowodę krakowskiego do sejmujących podtenczas w Warcie panów, z wyraźném oświadczeniem, że król zezwala na odstąpienie fatalnego młyna. Posłowi swemu Hłodowi daje Witołd zlecenie, aby król w obecności jego słowa powyższe posłom swym polecił powtórzyć w Warcie. Hłod przybywszy do Lubomli spotyka posłów królewskich już odjeżdżających do Warty i zatrzymuje ich, wykonywując ściśle zlecenia. Król Jagiełło nie chce atoli w obecności Hłoda orzec legacyi według żądania Witołda, tłómacząc się przed Hłodem, jako już polecił panom, aby przyzwolili na ustępstwo. Z tego wnosi słusznie Witołd, że król nie zgadzając się osobiście na jego żądania i prośby, dał zlecenie panom, aby ze swéj strony nie dawali zezwolenia.

Co też rzeczywiście tak się stało jak to Witołd przewidywał. W Warcie zaszły wypadki mające najboleśniéj dotknąć Witołda. Król bowiem ostrzega sejmujących panów, że jeżeli zezwolą na ustąpienie, natenczas niechaj mu oddadzą wszelkie dokumenta, które on podczas swéj koronacyi oddał w ręce rycerstwa. Były to dokumenta, w których król gwarantował przywileje szlachty i duchowieństwa, a któreby oni według słów Witołda nie tyle za nędzny brzeg rzeki, ale Bóg nie wié za jak wielki podarunek nigdy nie wydali. Mamy pewne ślady do domniemywania zkąd wyszedł ten dyplomatyczny koncept, jeżeli nim był w istocie, gdyż wątpić należy

aby sam król, pomimo różnic w jakich pozostawał podówczas z baronami, miał być autorem tegoż. Oto donoszą książęcy przyjaciele ze zjazdu warteńskiego, iż młody doktor Oporowski, aby niejako zmusić sejmujących panów do odmówienia żądanego przez księcia ustępstwa, oświadczył pomiędzy innemi powodami, jako mistrz Russdorf miał orzec, iż w ten sposób obwaruje młyn, że Prusy do śmierci jego będą bez obawy o napad ze strony Polski. Czy Russdorf w istocie w ten sposób się wyraził lub też nie, to rzecz mniejszéj wagi. Wnosić należy, że Oporowski, wysłaniec króla na sejm, był tylko narzędziem w ręku ludzi, którzy znowu bezwiednie lub z nieznanych bliżéj powodów, samowiednie, byli narzędziem tajnie knowanéj intrygi krzyżackiéj. Co do Witołda ten wierzył święcie, że mistrz takich słów nigdy nie wypowiedziałby i przekonany był, iż doktór chcąc zamiary księcia zniweczyć wymyślił ten nikczemny koncept. Tego tylko nie zauważył Witołd, że koncept taki mógł terroryzować tak króla jak i senatorów.

Długosz, nie wiedzący o tych zajściach, donosi nam, że panowie polscy wysłali ze zjazdu warteńskiego doktora Oporowskiego i chorążego kujawskiego Jaranda z Brudzewa do mistrza Krzyżaków, z oznajmieniem, aby tenże z nadwyrężeniem układów wiecznego pokoju nie domagał się młyna lubickiego od Witołda, ani zabiegał prośbami o jego nadanie; żeby nadto wybił sobie z głowy przyobiecaną Połągę, gdyż Witołd bez zezwolenia króla Jagiełły nie miał prawa rozdawania Ziem Litewskich. Możemy jak najmocniéj wierzyć relacyi, jaką znajdujemy u Długosza, a nawet dodatkowi według którego Russdorf otrzymawszy takową odezwę przeczył najmocniéj, aby miał osobiście Witołda prosić o nadanie Lubicza. Mamy bowiem na to wszystko dowody z kancelaryi Witołda, który dzięki usłużności zgrabnych Krzyżaków dowiedział się o wszystkiém, i to w sposób, iż nie mogło mu przyjść na myśl posądzić ich o jakąś zasadzkę lub intrygę. Postarano się o to, że Witołd oburzył się i cały wstrząsł się gniewem na wiadomość, że Oporowski śmiał publicznie orzec w Malborgu, jako książe nie ma prawa rozdarowywać Litewskiéj ziemi, komu mu się podoba, głosząc, że jest *niewolnym i występnym*.

Ubicie sprawy lubickiego młyna przez presyą na mistrza wywartą nie powiodło się całkowicie, czego się może i nie spodziewali panowie z warteńskiego zjazdu. Jakokolwiek krok ich był wysoce niedyplomatyczny, ubliżający powadze i ambicyi Witołda, to jednakowoż zamiary ich nie były tego rodzaju; przeciwnie, wnosićby należało, że w gronie senatu było bardzo silne stronnictwo Witołda, skoro nie przystano na wyraźną wolę królewską, skoro nie odmó-

wiono wręcz Witołdowemu żądaniu, lecz starano się ominąć drażliwą kwestyą ubocznemi a tak niezręcznie wykonanemi środkami. Sądzić nawet należy, że panowie ci nie wysłali Oporowskiego do mistrza z tak szorstką i wyzywającą niejako Witołda odpowiedzią, że na jéj redakcyą wpływał król, lub téż Oporowski dodał ustęp o Połądze samowolnie, gdyż Witołd nie czuje ni żalu ni urazy do senatorów, lecz tylko pała gniewem ku królowi, Oporowskiemu i Szafrańcom. Może ostatni liczyli na dyskrecyą Krzyżaków, jeżeli tak było, to zawiedli się srodze. Witołd wnet się dowiedział o zniewadze i natychmiast stanowczo napisał do króla, że jeżeli do wyznaczonego a krótkiego terminu nie ustąpi młyna, on zmuszony będzie oddać Krzyżakom Połągę. Król tłómaczy się znowu jak przedtém i odkłada decyzyą na przyszły zjazd senatorów, który miał się odbyć w Maju w Łęczycy.

Jakkolwiek sprawa młyna lubickiego zajmowała umysły senatorów polskich, była jednakowoż ona dla nich małéj wagi w obec dokonywającéj się zmiany stosunków prawno-państwowych, jaka w daleko wyższym stopniu aniżeli owe „trochę wody," jak Witołd pogardliwie kwestyą młynu nazywał, absorbowała ich działalność i to na polu polityki wewnętrznéj. Mają żądać na najbliższym zjezdzie w Łęczycy, potwierdzenia praw i przywilejów swych, pracują baronowie w tym kierunku więcéj aniżeli kiedykolwiek przed tém, gdyż król i tak grozi odebraniem tychże a nadto znosi się z Zygmuntem Luksemburczykiem, który, jak powszechnie ku zgorszeniu panów wiadomém było, miał być temu uprzywilejowaniu przeciwnym, a ku radzie jego skłaniał się stary król. Nietaktowne postępowanie króla Jagiełły w kwestyi Lubicza względem Witołda było wysoce niepolityczném względem baronów, gdyż król, który oprzéć się miał uprzywilejowaniu, zdawał się przelewać swe atrybucye królewskie, których mu w tym wypadku nawet nie odmawiano, na senat, stawiając go przez źle zrozumiany interes po nad koronę i zachęcając tém opozycyą do walki. Nie wiadomo, jaki udział brał w niéj Witołd, to tylko pewna, że sprzyjał on panom i o przywilejach ich z powagą i uznaniem się wyrażał. Może téż i nie odgrywał w téj rozpoczynającéj się walce roli obojętnego widza, skoro jak się dowiadujemy, król Jagiełło senatorom tym, którzy popierali żądanie księcia, nadawał miano zauszników Witołdowych.

Wśród przygotowań do zjazdu w Łęczycy pozostaje król pod coraz bardziéj wzmagającym się wpływem Szafrańców i Oporowskiego. Oni to potrafili pozyskać sobie całkowicie zaufanie królewskie, zręcznie korzystając z licznych wad łatwowiernego i podejrzliwego staruszka, zazdrosnego o powagę korony swéj i zajętego ugruntowa-

niem dynastyi. Nieprawdziwym i oszczerczym insynuacyom téj *nowéj rady*, jak Szafrańców pogardliwie nazywa Witołd, daje król do tego stopnia wiarę, że posądza księcia o jak najgorsze zamiary. Zdaje się on nawet płonną okazywać obawę, iż Witołd celem osłabienia Polski nastaje na ustąpienie Lubicza, że pod tym względem zaufał Krzyżakom, słuchając ich zdradliwych podszeptów, jakoby wzrost Polski szkodliwym mógł być dla Litwy. Znana jego podejrzliwość wzmaga urojoną obawę tém bardziéj, że zjazd komisarzy polskich i zakonnych, którzy się w piérwszych dniach Kwietnia około Jasieńca zebrali, spełznął bezowocnie a obie strony posądzają się wzajemnie o nieszczerość i umyślne udaremnianie pokoju. To też lubo chory, stara się król osobiście wywiedziéć od Krzyżaków, w jaki sposób oni się na kwestyą Lubicza i pokoju zapatrują. W tym celu pisze on pod koniec Kwietnia do komtura Elbląskiego, aby doń do Nieszawy przybył celem traktowania spraw ważnych. Komtur zniósł się natychmiast z mistrzem i na dniu drugiego Maja w towarzystwie komtura Toruńskiego i sołtysa z Lipy odwiedza króla.

Król, nie władający językiem niemieckim, porozumiewa się z komturami za pośrednictwem tłómacza. Krzyżacy mieli zlecenie od mistrza największą uległość okazywać królowi i nie zdziwi nas, jeżeli dodamy, że ujęli oni sobie króla dobrze udaną skromnością i pewną serdecznością, nacechowaną szwaleryą, która była wrodzonym zda się przymiotem mnicho-rycerzy. Król wśród rozmowy w sprawach dokończenia pokoju rzuca komturowi Elbląskiemu pytanie, czy zakon przyjął dar Witołda czy nie? Spodziewający się tego pytania Krzyżak odpowiada ze spokojem: Królu panie, dla czegóżby zakon nie miał przyjąć daru książęcego; zwłaszcza gdy my przekonani jesteśmy, że W. K. Mość nie jest przeciwnym temu. Gdyby też W. K. Mość nas czémś obdarzyć raczył, czybyśmy mogli odmówić przyjęcia? Czyż można było grzeczniéj i sprytniéj odpowiedziéć a przecież celu dopiąć, jak to uczynił komtur. Zdaje się, że odpowiedź taka mogła tylko wzmódz żywione przez króla podejrzenia, urosłe z powodu fatalnéj sprawy, na czém najbardziéj zależéć mogło Krzyżakom. Nie powinno nas zadziwić, iż król po takiéj konferencyi zaprosił komturów na obiad, okazując im względy, na jakie rzadko kiedy zdobywała się jego dusza, znana z wrogiego usposobienia przeciwko Krzyżakom. Komtur zapewnił mistrza, opowiadając o konferencyi, że wszystko dobrze poszło, jakoby uspakajał jego obawę.

Mądrość i spryt mistrza sprawił kolizyą pomiędzy królem a księciem, który obecnie współzawodniczyć się zdają w ubieganiu się o jego przyjaźń. Niedawno jeszcze, bo na cztéry miesiące przed

zjazdem w Grodnie, grozili obaj wojną; przypomnijmy sobie demonstracye Jagiełły i ostry ton listów Witołdowych, obecnie cztéry miesiące dzielą ich od zjazdu, Jagiełło chytrze układa przyjaźną minę, a Witołd stawszy się na prośby krzyżackie sługą dawnego słowa i mając z tego powodu nieprzewidywane przedtém trudności do pokonania, pisuje do mistrza jak gdyby mu był najserdeczniejszym przyjacielem, zaséła go podarunkami a to w celu, aby mistrz był cierpliwym, aby przedłużył mu termin w sprawie młynu, usprawiedliwia się, że sprawa ociąga się z dnia na dzień, ze zjazdu na zjazd, i skarży się, że z usposobienia króla wnosi jako on główniе jest przyczyną zwłoki. Zakłopotany książę wyséła często posłów do Malborga, a Vochs odbywa raz po raz podróże z Litwy do Prus i napowrót. Co tylko najrzadszego w krajach litewskich, drogie futra, wschodnie materye, karzełki nawet, wiozą od czasu do czasu posłowie książęcy w podarunku do Malborga. Mistrz przyjmuje, z udaną obojętnością traktuje zwłokę, przedłuża termin, a jakby niedostrzegał ambarasu księcia, dziękuje za podarunki tłómacząc się, jako niezasłużenie zaszczyca go niemi książę. Co atoli wszystko nie przeszkadza mu oskarżać króla i Polaków przed Witołdem, jako z ich winy zjazd w Jasieńcu bezskutecznie minął, gdyż oni nie postępują według artykułów układu w Grodnie ustanowionych.

Russdorf wié daléj dokładnie, że na ostre listy Witołdowe wyséła wreszcie Jagiełło poselstwo do Litwy, przyrzekając, że dołoży wszelkich starań, ażeby sprawa o Lubicz poszła według woli księcia. Sam książę, wymawiając mistrzowi jego zbyteczną pokorę w dziękczynieniu, uwiadamia go, jako król przez łożniczego swego Chotka przepraszał księcia z powodu zwłoki w spełnieniu woli książęcéj a przyobiecując poprawę, przyrzekał, iż w Łęczycy załatwi całkowicie kwestyą młyna. Mogło połechtać jego dumę zakonną, skoro go książę zapytywał czy mu się podoba taki obrót rzeczy, lecz ani to, ani następne pochlebstwo, o którém wnet wzmiankę uczynimy, nie potrafiło zwieść przebiegłego dyplomaty, Russdorfa. Witołd bowiem pisze wśród widocznych pochlebstw, jako mu bardzo przykro, że zjazd w Jasieńcu z winy Polaków spełzł na niczém. „Boli nas to srodze,“ mówi on, „iż sprawa ta wielkiéj wagi, jak ów pokój wieczny, doznaje zwłoki, tém bardziéj, że inaczéj działać nie można jak tylko według artykułów, które w Grodnie uchwalono. Dla tego téż chcę do króla Polskiego wnet napisać i stanowczo się upomniéć o to, aby sprawę w sposób, jak to w Grodnie uchwalono, kazał załatwić. Byłoby to bowiem bardzo źle, gdyby królewskie i nasze słowo nie miało wejść w życie.“

Piękne słowa, sądził Russdorf, ale nie jego to wywieść w pole. On wié to już z praktyki, że czułość księcia do zakonu wzrasta w miarę zbliżającego się terminu jakiéjś z wypraw na Ruś i tak tego roku jeszcze przed świętym Janem Chrzcicielem miał on zamiar przedsięwziąć wyprawę na Pskowian. Wśród czułych afektów jakiemi książę obdarzał Russdorfa, wzmiankował mu także o swym wojennym zamiarze w powyższym liście (datowanym w Wilkii na dniu 3-go Maja), bo przecież był zanadto domyślnym, aby nie wiedziéć, że Russdorf i bez tego uwiadomienia dowié się o wszystkiém. Mistrz nie łudzi się, lecz działa, a list księcia surowy względem tych, z którymi go mistrz poważnić zamierzał, mógł być materyałem stosownym do zawiązywania dalszéj intrygi. Śladów jéj dziś dostrzedz niepodobna, możemy się ich tylko dorozumiewać. Zadaniem Russdorfa mogło być uśpioną podejrzliwość króla na nowo obudzić i skłaniającego się już do zadośćuczynienia woli książęcéj odciągnąć od tego zamiaru. Oczywista, że stać się to musiało przed zjazdem w Łęczycy.

Na zjeździe łęczyckim podniesiono sprawę uprzywilejowania szlachty i przewidywana burza nastąpiła. Król nie chce na żądania szlachty przystać, a ona ośmielona aż do zuchwalstwa pocięła w drobne szmaty dokument, na mocy którego zobowiązała się była obrać syna Władysława po śmierci ojca, skoro jéj przywileje będą potwierdzone. Nieszczęsne to zajście, świadczące o wielkim upadku władzy królewskiéj w obec wzrastającéj potęgi szlachetczyzny, naprowadza nas na domysł, w jak wielkiéj zawisłości od *nowéj rady* pozostawał podówczas król, i jak źle na tém wychodził, skoro się wybijał z pod wpływu genialnego Witołda, opierając się natomiast o *ludzi nowych*. Trudno ich zaiste posądzić o wspólnictwo i porozumienie się z Russdorfem, na to nie mamy dowodów, chociażby najmniejszych, a jednak skonstatować wypada, że są oni bezwiedném narzędziem w jego ręku. Któż to bowiem sprawuje, że w Łęczycy postanowiono wprawdzie młyn Lubicz odstąpić Krzyżakom, lecz wyraźnie zastrzeżono sobie w dokumencie donacyjnym, aby zakon z młynu twierdzy obronnéj nie robił? Czyż nie wyraził przez to król, który już obiecywał Witołdowi, skłonić się do jego żądań, że jego podejrzenia nie ustały, kiedy je w dyplomatycznéj wprawdzie formie wyrażano w dokumencie!

Donosi nam Długosz, że ze zjazdu w Łęczycy wysłano do Witołda Oleśnickiego, Piotra Szafrańca, podkomorzego krakowskiego, i Domarata, kasztelana bieckiego, aby mu doręczyli wzmiankowany dokument i przy téj sposobności wynurzyli żal z powodu uporności księcia i żądanie ze strony króla, aby coś podobnego po raz wtóry się nie powtórzyło. Tak przynajmniéj zaręcza Długosz, wyszczegól-

niający treść téj legacyi. W rzeczywistości zaś, posłowie miasto wypowiadać żale królewskie, musieli słuchać to co kamieniem ciężyło na sercu Witołda. Jego cierpliwość przechodziła już granice, gdyż nadszedł był termin a z nim chwila, w której tylko stanowcze ustępstwo ze strony króla mogło udaremnić starcia pomiędzy nim a królem, zażegnać burzę. Mądry Russdorf jakby wiedzący co ma zajść w Łęczycy, podraźnia niecierpliwość księcia do tego stopnia, że książę przybyłemu doń w sprawie młyna komturowi z Bałgi (na dniu 30 Maja) odpowiada, że gdy posłowie polscy zmierzający doń ze zjazdu, za cztéry dni nie przybędą z odpowiedzią, on wręczy mistrzowi dokument darowizny Połągi. Krzyżak odpowiada: skoro posłowie już wkrótce przybyć mają, zatrzymam się tych parę dni, spełniając życzenie księcia, aby zakon przecież doczekał się końca w téj sprawie według „Jego objetnicy,“ i doprasza się przyspieszenia. Książę rad z przedłużenia terminu o parę dni, począł się wywnętrzać przed komturem, jak to rad czynił, mając jakiś żal w sercu. Zdawał on sprawiać tém sobie ulgę, nie bacząc, że w obec Krzyżaka nie powinien był tego czynić, że nędznicy wyzyskują tylko jego tajemnice, z których nie powinien był się im zwierzać. A tymczasem komtur dowiaduje się o tém, co mistrz dawno wié, jako nie panowie, lecz król sam nie jest przychylnym téj darowiznie, że on to wpłynął na zastrzeżenie wyrażone w dokumencie donacyjnym. Na drugi dzień pobytu komtura nakazał sam książę Małdrzykowi, aby wręczył posłowi mistrza notę, na podstawie której sądził, jako nie Polacy, lecz sam tylko król Jagiełło zaufawszy swoim zausznikom sprzeciwia się darowiznie i jest powodem zwłoki. Nota była starannie ułożoną z przytoczeniem inkryminacyjnych i dowodzących sądu szczegółów a malująca dokładnie stan rozdrażnienia i bólu książęcego. I Krzyżak musiał do późna w nocy siedzieć ze swym pisarzem, aby wszystkie te wiadomości spisać do użytku swego mistrza.

Przybyli nareszcie i posłowie polscy, a Witołd odrzucił ich dokument, czego się zresztą domyślać było można. Nastaje on na nich, jako na pełnomocników królewskich, aby zredagowali akt darowizny bez wszelkich zastrzeżeń, gdyż inaczéj on słowa nie złamie i Połągi Krzyżakom ustąpi. Posłowie długo opiérają się przy swojém, widząc atoli stanowczy upór księcia a nie mając pełnomocnictwa do działania, zgodzili się wreszcie na wysłanie pospiesznego gońca do króla z zapytaniem, coby im czynić należało, gdyż książę grozi Połągą.

Znając pod czyim wpływem pozostawał król, można sobie wyobrazić jakie wrażenie wywarło na nim pytanie posłów, zawiérające doraźne oświadczenie księcia i jak tryumfowali ci, którzy nie wiedząc

o tém, że służą sprawie krzyżackiéj, stali się przeciwnikami Witołda. Pewno, że w obec groźby Witołda zamilknąć musieli nawet najgorliwsi jego zwolennicy i wielbiciele i nie zadziwi nas, skoro się dowiadujemy, że tym, którzy pomimo ogólnego oburzenia starali się usprawiedliwić księcia, zamykał usta zgorszony tém król wyrzucając im, że są kreaturami, pochlebcami księcia. Z tém wszystkiém król polecił natychmiast zadość uczynić woli księcia i wydać dokument bez żadnych zastrzeżeń. Ale Witołd musiał pięć tysięcy grzywien srebra zapłacić za to ustępstwo królowi, sumę pod owe czasy bardzo wielką, co książę lubo niechętnie uczynił.

Tak się zakończyła sprawa lubickiego młyna. Jakkolwiek wina leży w znaczniejszéj części po stronie króla, to niepodobna uwolnić Witołda z pod tegoż samego zarzutu. Poznaliśmy w charakterze jego najsłabszą jego stronę obrażonéj ambicyi, robi go ona dumnym do tego stopnia, iż Witołd poczyna okazywać, że jest świadom swojéj wielkości. Prawda, że staje się to wśród niepokonanych prawie trudności.

Jakkolwiek postępowanie Witołda w sprawie młyna lubickiego mogło zaniepokoić i zniechęcić podejrzliwego z natury króla do księcia, jakkolwiek mogło nawet w łonie senatu jego rozniecić iskrę podejrzeń, to jednakowoż podejrzenia te byłyby zupełnie zginęły, skoroby powody, wywołujące je, usunięte zostały. Na nieszczęście powodów tych aż nadto wiele było a w interesie zakonu należało nietylko ich nie usunąć, ale przysparzać jeszcze nowego materyału do nieporozumień i dolewać niejako tym sposobem oliwy do tlejącéj iskierki. Wykonanie bowiem pokoju melneńskiego nie postawiło ani o krok naprzód pod względem uregulowania granic polsko krzyżackich, komisye mające według ugody grodzieńskiéj tę kwestyą załatwić odbyły już raz bezskuteczną próbę około Jasieńca. Atoli mistrz pewnym jest, że Witołd szczérze życzy sobie całkowitego wykonania pokoju, że w tym celu nastaje na króla, naraża się koronie polskiéj, gniewa senatorów a podraźnia złość nieprzyjaciół i mnoży ich obóz a i teraz liczy on na pewno, że książę nie przestanie i nadal naciskać na obie strony, na mistrza przyjaźnie i pochlebnie, na króla według okoliczności ostrzéj i stanowczo, do ukończenia dzieła. A zatém staraniem jego będzie utrudniać i zwlekać je, ale w sposób, aby widoczném było, że wina nie leży po stronie zakonu; zniecierpliwiać księcia i zwracać gniew jego na króla i Polaków. Objawy takiego gniewu mogliby agenci krzyżaccy rozmaicie interpretować Polakom, żywiącym niejakie podejrzenie względem księcia; obawy Jagiełły mogłyby wzrastać, i takim sposobem możnaby zasiać nie-

ufność i nieszczerość pomiędzy Polską i Litwą, a należyte wyzyskanie czasu i okoliczności, mogły napełnić mistrza otuchą, że nowe mogą zajść kolizye.

Zapytajmy czy też istotnie Russdorf w powyższy sposób wyzyskuje stosunki i zawiązuje intrygę? Przypomnijmy sobie, jako wnet po udaremnionym zjeździe w Jasieńcu mistrz oskarża Polaków przed Witołdem, jak z tego powodu książę wzywa króla, aby swoim nakazał postępować według ugody grodzieńskiéj, dodając z przyciskiem, że król powinien dbać o to, aby słowo jego nie było czczym frazesem, lecz że powinno być wykonane. Mistrz wié, że królowi mogą się nie podobać takie upomnienia, ale wiedział on i o tém, że ugoda w Grodnie wykluczała pewne punkta pokoju wiecznego i że z tego powodu wynikały wątpliwości, mogące przy zręcznéni i umiejętném kierowaniu sprawy, Bóg wié jak długo udaremniać jego wykonanie. A lubo w gruncie rzeczy Witołd, jako twórca grodzieńskiéj ugody, jest głównie winnym, można będzie przed nim zwalać całkiem otwarcie winę na upór Polaków, będąc przekonanym, że ci znowu wskazywać będą na księcia jako przyczynę uporu Krzyżaków.

I tak według dokumentu wiecznego pokoju, rozgraniczenie pomiędzy Marchią a Polską załatwić miał król z Krzyżakami. Możność takowego rozgraniczenia wyklucza atoli ugoda grodzieńska, według któréj, król uwalnia Krzyżaków od tegoż a zastrzega sobie, iż załatwi się pod tym względem z królem Zygmuntem jako panem Marchii. Zygmunt godzi się na wszystko, a Jagiełło uprasza go, aby zechciał oznaczyć komisyą i dogodny termin do wyznaczenia granicy. Zygmunt atoli, pozostający od niejakiego czasu w ścisłém porozumieniu z mistrzem, odpowiada królowi (1), iż daje pełnomocnictwo mistrzowi zakonu, aby z królem załatwił tę sprawę. Odsyła tedy Jagiełło do Russdorfa list Zygmuntów, zapytując go o termin i miejsce zjazdu komisarzy. Czyż zadziwi nas, jeżeli mistrz odpowié na to królowi, iż nie wié, ażaliby miał spełnić żądanie królewskie, gdyż na mocy ugody grodzieńskiéj uwolniony został od rozgraniczenia Nowéj Marchii. Co gdy odpowiedział, sprawę odłożono na zjazd senatorów; powstają tam spory i walki a król i Szafrańce tłumią wyrzuty, jakie z tego powodu żywią ku Witołdowi. Russdorf uzyskuje to, o co mu głównie chodzi, zwłokę w wykonaniu pokoju i poróżnienie wrogich książąt.

---

(1) List Zyg. do Kr. z 24 Maja 1426 u Raczyńskiego C. D. Lith. p. 319 i pełn. Zygm. dla Krzyżaków z tą że samą datą u Cazy L. C. I. p. 326.

(2) 7 Czerwca z Olkusza.

Przypuśćmy, że na zjeździe senatorów uchwalono, aby postępować ściśle według ugody grodzieńskiéj i tylko z Zygmuntem załatwić rozgraniczenie. Natenczas pisze Russdorf, wiedzący o zapadłéj uchwale, do Zygmunta, aby się wahał przystać na to czego żądają Polacy, gdyż jest on wykluczony na podstawie pokoju melneńskiego od spraw krzyżacko-polskich, a tak wątpliwości nasuwały się bez końca, tworzył się jak gdyby circulus vitiosus, udaremniający wykonanie pokoju. Co gorsza, w oczach Polaków głównie zawinił Witołd, gdyż on ustępstwami nastręczył Krzyżakom sposobność do uporu i matactwa; Polacy zaś w oczach Witołda, gdyż mistrz umié uzasadnić oskarżenie przed księciem.

Rok 1426, piąty już od czasu zawarcia pokoju, spełznął na rozwiązywaniu zagadki o Nową Marchią, przyczém Zygmunt Luksemburczyk coraz bliżéj przystępuje do akcyi i zapoznaje się z planem intrygi krzyżackiéj.

Jeżeli atoli w którą stronę, to szczególniéj w Litewską, z pewném wytężeniem zwraca Russdorf bystre swe oko. Nic ważniejszego, cobykolwiek tylko zaszło na Litwie nie uszło jego uwagi, z księciem żyje on w ustnéj i piśmiennéj korespondencyi, ustnéj sprawianéj przez posłów i powierników, a piśmienna zda się być tak szczerą i serdeczną, że zdołała nawet złudzić i uwieść znanego pruskiego historyka Voigta i to tak dalece, że nie mogąc się nacieszyć z powodu serdecznego tonu listów Witołdowych woła on w pewném rodzaju uniesienia (1), iż Witołd jeszcze nigdy tak szczerze nie sprzyjał Krzyżakom jak obecnie, a tak on jak i mistrz zdają się współubiegać o dostarczanie jeden drugiemu dowodów zaufania, szczerości i przyjaźni. Historycy dzisiejsi mogą się dać uwieść miodowym słowom listów z dawno ubiegłéj przeszłości; dla mistrza, któremu szpiedzy najdokładniejsze podawali relacye o czynach a nawet zamiarach Witołda, były one zręczném tylko pochlebstwem, a powodów do tego pochlebstwa szuka on w pskowskiéj wyprawie księcia. Agenci zakonu, komturowie inflanccy a nawet mistrz ich, liczne przesyłają do Malborga uwiadomienia, jako Witołd pod karą gardła nakazał zbrojnie wyruszyć Litwie w pole, jako we trzy tygodnie po św. Piotrze i Pawle ma stanąć w Połocku, jako bardzo silne zastępy przybywają mu z Polski i od Tatarów. Mówią powszechnie w Litwie, jako się książę niecierpliwi i spieszy, jak chciałby wszystko piorunem załatwić, a mistrz dawał wiarę, że starcowi mogło zależéć na pośpiechu. Teraz wyjaśnia się mistrzowi dla czego to Witołd na-

(1) Voigt. G. Pr. VIII. str. 485.

lega na króla, dla czego księżna Julianna zasyła mistrza darami a Witołd formalnie go niemi obrzuca. W Malborgu atoli wiedziano i to, że czas to złoto, że z okoliczności potrzeba korzystać, gdyż co dziś się przytrafi nie tak łatwo jutro nastąpić może. Łatwo wyrozumiéć można, że pracy zakonnéj w tym kierunku zawdzięcza mistrz, iż w Polsce wyprawy Witołda się nie podobają i budzą nieukontentowanie, że niejeden z przyjaciół Szafrańców gorzki zrobił wyrzut księciu, jako tenże dla zaspokojenia swéj ambicyi, dla jakiéjś tam pskowskiéj wyprawy, poniża koronę w obec Krzyżaków, że ustępuje im ziemie, które oni obficie przelaną krwią własną okupili. Pomimo że tysiące Polaków spieszy po znamię rycerskie pod chorągwie księcia, wyprawa jego dzięki zręcznie rozsiewanym plotkom obudza bezzasadne podejrzenia i w Polsce mówią sobie, że sam powód do wojny był nadzwyczaj błahy, gdyż Pskowianie nie dozwalali tylko wytykać granicy pomiędzy ziemiami swemi a Litwą, że z tego powodu biskup krakowski miał odradzać księciu zamiar wszczęcia wojny! Cóż dziwnego, jeżeli wśród tak pesymistycznych zapatrywań na czyny Witołda, coraz bardziéj rozszérza się mniemanie, że książę, co najmniéj, dla szczęścia Litwy upakarzał Polskę, któréj wszakże wszystko zawdzięczał.

Na Pskowską wyprawę, która do wieńca sławy Witołdowéj nowy liść wawrzynu wpleść miała, mistrz Russdorf nie wyprawia posiłków, jakby tego sobie życzył książę. Książę domyśla się powodu a nawet tego, że z dorady Russdorfa, nietylko mistrz inflancki ale i biskup Dorpacki wymawiając się dziesięcioletniém zawieszeniem broni z Pskowianami odmawiają posiłków. Lecz wyrozumiały książę uwzględnia interesa zakonu i nie bierze za złe téj odmowy zakonowi, przeciwnie zdaje się jéj nie dostrzegać i usiłuje zapomniéć. Pociesza się tém, że rozgraniczenia dalsze pomiędzy Litwą a Inflantami, które w początkach tego roku sprawował Hostik, dobrze poszły, i że mu Inflantczycy żadnych przeszkód w wojnie nie czynią. Mógł być przeto i pod tym względem z Russdorfa zadowolnionym, pod każdym innym był nim niezawodnie.

Russdorf bowiem odpowiada Witołdowi na podarunki podarunkami, na słodkie listy—uprzejmemi, a znać w nich męża o wielkiéj dystynkcyi, nie narzucającego się, owszem powstrzymującego uczucia swe w rezerwie. Książę powinien uznać, że powinno mu wielce zależéć na przyjaźni mistrza, ale mistrz nie da tego słowami Witołdowi do poznania, na to znajdzie się dość miejsca pomiędzy wierszami na pozór mało mówiących listów, a książę jest zarówno domyślny jak przebiegły, a przytém aż nadto wdzięczny, aby nie umiał ocenić rycerskiéj bezinteresowności mistrza. Znać ją w lakonicznych sło-

wach tak listów jako też legacyj zakonnych, a przytém słudzy zakonni używani do posyłek a i komturowie pograniczni, sprawujący na dworze książęcym zlecenia mistrza, są czasami wielomowni, i pewno Witołd nie podejrzywał Russdorfa, jeżeli taki Vochs, lub trefniś Henne, lub jaki inny sługa zakonu doda ze swéj strony objaśnienia do lakonicznego listu, z których książę pozna, że mistrz jest „świętą duszą“ i zasługuje na pełne zaufanie i przyjaźń. Książę rad słuchał i rozmawiał z prostaczkami a nikt zapewne nie umiał przemówić tak do jego serca i rozsądku, jak ci maluczcy pośrednicy „słudzy zakonu.“ Łatwo udawaną naiwnością i mniemaném nierozumieniem sytuacyi potrafili oni pozyskać przyjaźń książęcą dla swego mistrza, z większym skutkiem, aniżeliby tego dokonali byli starsi dostojnicy zakonu. Ostrożny bowiem książę niełatwo dałby się oszukać starym mataczom zakonnym, których znał na wylot; łatwowierność jego nie tak szybko obudziłby wielki komtur lub skarbniczy, lecz jakiż interes mógł mieć w donoszeniu rozmaitych wieści tak biedny służalec zakonu, jakim był Vochs lub Henne? Nadto mistrza nie wiązały wcale owe plotki, któremi kursorowie jego obdarzali księcia, gdyż oni je poufnie i na własną nibyto odpowiedzialność powierzali jemu, a w razie potrzeby będzie się umiał mistrz zasłonić wymówką, iż temu lub owemu słudze zakonu nie dawał zlecenia do mówienia takowych *potwarzy*. Będziemy widzieli, jak z tego właśnie powodu zacny mistrz kilkakrotnie zmuszony będzie uniewinniać się, aby zatrzéć ślady podejrzeń, a poważnione w skutek takich intryg strony nie będą nawet wiedziały, kto jest właściwym sprawcą nieporozumień, kto zamąca ich wzajemny stosunek i nawet na myśl im nie przyjdzie, że ich łatwowierność w obec maluczkich sług zakonnych lub zaufanych komturów wzmagała wzajemną nieufność i rodziła nieprzyjaźń. W ten tylko sposób, nabyty doświadczeniem i studyowaniem charakterów, mógł Russdorf bezkarnie i bez obudzenia podejrzeń snuć dalsze pasmo intrygi pomiędzy Jagiełłą a Witołdem i udaremniać wykonanie pokoju.

Około świąt Bożego Narodzenia przebywa Jagiełło u Witołda w Grodnie, wynurzając się ze skargami na upór krzyżacki i kłopoty z powodu rozgraniczenia od Nowéj Marchii. Russdorf wyséła natychmiast do Litwy komtura z Bałgi i plebana z Torunia. Ci przybywszy dziękują Witołdowi uprzejmie za dokument donacyjny Lubicza, opatrzony już i majestatyczną królewską pieczęcią i opowiadali, za co im książę rad dziękował, że od fuzy do Niemna odbyło się wyznaczenie granicy. Książę przyrzekał nawet według żądania mistrza osobiście załatwić rozgraniczenie, dalszych sprzecznych granic pomiędzy Litwą a Prusami. Posłom przyszło daléj wynurzyć

skargę mistrza z powodu udaremnionego zjazdu około Jasieńca, ale mały doktór, świadek przyjęcia posłów, który był obecnym i na zjezdzie, zbił te oskarżenia i to w tak dobitny sposób, że król Jagiełło polecił się ażeby posłowie oświadczyli mistrzowi, trzymać, ściśle słów dokumentu melneńskiego i żeby granice dóbr Drezdenka i rzeka Noteć były granicą pomiędzy Polską a Nową Marchią i ażeby mu dał znać o terminie przyszłego zjazdu pełnomocników i odpowiedź rychło jeszcze przysłał do Litwy. Posłowie zrozumieli życzenia królewskie pod względem granic Nowéj Marchii, znaczyło to bowiem, aby zakon nie przeszkadzał królowi, gdy będzie załatwiać tę sprawę z królem Zygmuntem, do którego w tym celu powtórnie wysłał poselstwo. Lecz jeżeli król odwołuje się na melneński dokument, to mądry Rusdorf uważa za stosowne zaznaczyć w swéj odpowiedzi, iż życzyłby sobie, aby i pod względem terminu trzymano się jak najściśléj Grodzieńskiéj ugody. Pochlebia on przez to Witołdowi, lecz stara się i nie narażać królowi, przeciwnie spełnia jego życzenie, przedłużając termin zjazdu w Drezdenku odbyć się mającym o 14 dni (tj. we dwa tygodnie po wielkiéj nocy) i wydając nadto żądanego przez króla zbiega. Zdaje się on niecierpliwie wyczekiwać, jak w obec powtórnego żądania królewskiego postąpi sobie król Zygmunt, wciągany już na dobre w intrygę przeciwko Polsce.

Witołd podczas pobytu króla na Litwie uprasza go i nakłania do zakończenia spornych spraw nie mających końca. Szczególniéj stara się przywieść króla do tego, aby pełnomocnikom swoim dał tego rodzaju instrukcye, aby jak to się niestety działo, dla lada drobnostki nie zrywali[1] rozpoczętego dzieła. Toż samo powtarzał on i mistrzowi, argumentując bez ogródek, „że i dla zakonu będzie to połączone z wielką korzyścią, jeżeli będzie miał ze strony Polski pokój i przyjaźń zabezpieczone.“ Zarówno Jagielle jak i mistrzowi, powtarza on żądanie, aby ściśle postępowano według Grodzeńskiéj uchwały, i na wypadek, gdyby jéj na przyszłym zjezdzie nie załatwiono, zdano ją pod sąd czterych polubownych sędziów i znowu na superarbitra. Russdorf równie jak przeszłego roku z powodu wyprawy Pskowskiéj domyśla się równie trafnie, że i tego roku mogła być bardzo nie na rękę Witołdowi, gdyby pomiędzy Polską a Krzyżakami wybuchły nagle rozterki, podczas gdy on zajęty będzie wyprawą na W. Nowogród, do czego obecnie czyni przygotowania. W obec Witołda zdaje się on nie zwracać nawet uwagi na te przygotowania, tak jak w obec Polaków zdawała się go nie obchodzić drażliwa kwestya hołdownictwa książąt mazowieckich; udaje bowiem, że szczerze był zajęty sprawami pokoju. Najdrobniejszéj sposobności nie pomija on, aby się tylko z téj strony przypomnieć księciu. I tak np. obecnie

skoro się tylko dowiedział, że senatorom polskim termin na zjazd w Drezdenku odbyć się mający zdawał się być zbyt wczesny, apelował natychmiast do księcia w pierwszych dniach Marca, jako dotychczas jeszcze nie otrzymał od króla Jagiełły żadnéj odpowiedzi ażali król wyszle swych pełnomocników na oznaczony termin lub nie. Witołd, bawiący podówczas w Dubiczu, pisze natychmiast po otrzymaniu listu do króla, aby raczył wnet odpowiedziéć mistrzowi czy i kiedy wyszle swych pełnomocników, ażeby nie zaszła znowu jaka zwłoka. Oczywista, że Jagielle nie mogło się podobać tak częste i doraźne naglenie ze strony księcia, tém bardziéj, że cała ugoda Grodzieńska nie budziła w nim zaufania a książę i teraz na jéj artykuły się powoływał. Nadto powziął był król Jagiełło nowe podejrzenie do zakonu.

Sposobność ku temu nastręczył mu tym razem król Zygmunt. Pomiędzy tym ostatnim a królem panuje stosunek dość znośny, lecz nieszczery; Zygmunt posądza króla o sprzyjanie Husytom, Jagiełło znowu podejrzywał Zygmunta o odciąganie książąt Mazowieckich z pod zwierzchnictwa korony polskiéj. Pomimo to stosunki dyplomatyczne mają pozory przyjaźni a król Jagiełło mając według ugody Grodzieńskiéj przedsięwziąć z Zygmuntem rektyfikacyą granic polskich do Nowéj Marchii, proponuje mu powtórnie, aby wyznaczył w tym celu termin i pełnomocników. Zygmunt zasiągnął informacyi od Russdorfa i odpowiada 22 Lutego (r. 1427), że wprawdzie radby zadość uczynić wezwaniu króla, atoli Prusacy (sic) napisali mu, iż oni z królem i w. księciem taki uskutecznili pokój, iż jak długo żyć tylko będą, żaden spór, albo zwada o granice nie powinna pomiędzy nimi nastąpić. Z waszéj K. MCI żądania, konkluduje logicznie Zygmunt, nie mógłbym tego wnosić. Jeżeli tedy król trwa przy swojém zdaniu, obliguje się Zygmunt pełnomocników swych wysłać z pełnomocnictwem jakiego król zażąda.

Kancelarya królewska otrzymawszy pismo Zygmunta wysyła je w kopii do mistrza z żądaniem wyjaśnień, a także i do Witołda, ażeby go niejako przekonać, jakimi to mataczami są jego pupilowie Krzyżacy i jak wielce zawiódł się na orędownictwie interesów zakonu. Witold, który nigdy niczego nie ukrywał, wysłał również kopią listu Zygmuntowego do mistrza, nie żądając nawet usprawiedliwienia. Przeciwnie usprawiedliwiał on zakon w obec Jagiełły, jako nie daje wiary, aby mistrz miał w ten sposób wyrażać się w obec króla Zygmunta, jakby to wnosić należało z listu króla Rzymskiego, według którego pisać miałby o rzeczach, o których wszakżeż nigdy mowy nie było w dokumentach ugodowych, gdyż król Jagiełło uwolnił zakon od rozgraniczenia ze strony Nowéj Marchii i ma je załatwić

z Zygmuntem. Witołd w te słowa odzywa się także i do mistrza i sądzić należy, że ta obrona i mniemana otwartość, którą późniéj nieraz dostrzeżemy, były wprost tylko taktyką ze strony Witołda; niepodobna bowiem sądzić, aby zakon w oczach księcia w tym zwłaszcza wypadku nosić miał niesplamioną suknię niewinności. Tą maską szczerości, któréj i w obec króla nie zdejmuje, usiłuje Witołd zniewolić zakon do uczciwego traktowania spraw dotyczących wykonania pokoju. Zrozumiał to dobrze Russdorf, szeroce się usprawiedliwiając z powodu listu Zygmuntowego i gorąco dziękował księciu, że go raczył uniewinniać przed królem. Żałować wypada, że dziś nie posiadamy tego listu, znając treść jego ze wzmianek tylko, atoli nie rozminiemy się z prawdą, jeżeli się domyślać będziemy, że zwalał on winę na trzecie osoby, na owych podrzędnych sług zakonu, które do tego nie mając upoważnienia wprowadziły króla Zygmunta w błędne mniemanie.

Z czego atoli wszystkiego ani król Jagiełło a tém mniéj Szafrańce nie byli zadowoleni. Przeczuwali oni słusznie jakąś intrygę i nie dowierzali zakonowi, królowi Zygmuntowi, a nadto niestety i Witołdowi. Obwiniają oni głównie księcia za owę dodatkową ugodę Grodzieńską, która podawała mistrzowi tyle sposobności do wybiegów. O czém wiedząc mistrz przygotowuje niejako Witołda na skutek przyszłego zjazdu mającego się odbyć 25 Maja w Drezdenku, wpajając weń mniemanie, jako Polacy nie zechcą według ugody Grodzieńskiéj postępować. Nadaremnie zaręcza mu Witołd, że wszystko musi pójść tak, jak to w Grodnie ułożono, mistrz zdaje się wątpić o tém a bardziéj się cieszyć tém, że książę w dobitny sposób naciska w tym duchu na senatorów polskich i na króla. Nadaremnie wysyła książę na zjazd sekretarza swego Sepieńskiego z poleceniem, aby przysłuchiwał się obustronnym wywodom prawnym i sprawę téj strony podtrzymywał, po któréj sprawiedliwości szala się przeważy; bezskutecznie poleca temuż, ażeby szczerze doradzał i dopomagał, iżby szlachetne dzieło doszło do pożądanego końca, zjazd w Drezdenku spełzł na niczém. Pomimo pośrednictwa i dobrych chęci Witołda pełnomocnicy polscy i zakonni rozjechali się, nie uskuteczniwszy niczego, przeciwnie wzmógłszy tylko wzajemne rozdrażnienie i niechęć.

Pierwsza połowa roku 1427 miała wkrótce upłynąć a sprawa wykonania pokoju wiecznego nie posunęła się ani o krok naprzód. Ale natomiast wzmógł się w tym właśnie czasie materyał do intrygi zakonnéj w nadzwyczaj ciekawy sposób, tém ciekawszy, że źródeł zkąd powstał, trudno nawet dojrzeć. Materyał ten nastręczają trzy

sprawy: wspominana już mazowiecka odgrywająca się w r. 1426, daléj mołdawska podniesiona również w tymże samym roku, którą atoli i rok 1427 nie ukończy, a wreszcie sprawa królowéj Sonki przypadająca na rok 1427, które kolejno po krótce przebiegniemy.

Jeszcze w roku 1425 przybywa do rozmaitych znanych już nam a piekących spraw w Polsce kwestya stosunku Mazowsza do korony. Na prowincyonalnym synodzie w Łęczycy, odrzucił, jak wiadomo, kler polski nałożoną przez papieża, za wstawieniem się Jagiełły i Witołda, kontrybucyą 20.000 zł. polskich, mającą posłużyć na wojnę husycką. Nie dość na tém; wśród rozpraw nad kontrybucyą powstał Stanisław Pawłowski biskup płocki, oświadczając, iż lubo ją papież na Polskę nakłada, to nie obejmuje ona wcale Mazowsza, które przecież własnych posiada książąt. Wspominając o tém zajściu, nie od rzeczy będzie dodać, że Witołd wspierał wybór Pawłowskiego na katedrę płocką i on to głównie swém wstawianiem się u Ziemowita i Janusza książąt Mazowieckich sprawił, że wybór kapituły padł na Pawłowskiego i że protegowanego przez króla, Stanisława Ciołka podkanclerzego, pominięto. Okoliczność ta nie pociąga wszelakoż za sobą żadnych konsekwencyj. Butne atoli orzeczenie biskupa płockiego obraziło mocno króla Jagiełłę, któremu kancelarya wytłómaczyła całą doniosłość słów biskupich. Dla czego też uchwalono w Brześciu Kuj. zawezwać książąt mazowieckich, aby się usprawiedliwili z postępku swego biskupa. Wyznaczono w tym celu książętom trzy termina w Gnieznie, w Łęczycy a w końcu w Bodzęcinie, ale oni ani razu nie stawili się na wezwanie. Na ostatni termin wypadający na 14 Września r. 1425 wysłali książęta posła prosząc o zwłokę i o nowy termin, na który jeżeliby z powodu słabości osobiście stawić się nie mogli, obiecują przysłać pełnomocników celem zadośćuczynienia woli królewskiéj. Król przyjął usprawiedliwienie i wyznaczył na św. Marcin ostateczny termin w drażliwéj sprawie, mającéj być na zjezdzie w Brześciu Lit. rozstrzygniętéj. Podniósł tam jak wiadomo Witołd kwestyą Lubicza i popiérał baronów żądających od książąt usprawiedliwienia się i złożenia hołdu koronie. Książę Ziemowit śmiertelną złożony chorobą nie przybył, ale Janusz brat jego i synowie jego byli obecni. Książęta ci pojmowali dobrze dla czego zjazd wyznaczono w obrębie władzy Witołda, to też uważali wszelki opór za niedorzeczność. Janusz złożył hołd we własném imieniu, synowie Ziemowita w imieniu ojca, który miał późniéj osobiście go złożyć. Ziemowit nie ratyfikował zobowiązań synowskich, śmierć bowiem (w pierwszych miesiącach r. 1426) uwolniła dumnego księcia od téj przykrości.

Po śmierci ojca, nie wiedziéć za czyim wpływem, synowie zmieniają swe zdanie. Znalazł się ktoś, który nietylko praktycznie począł książętom wyłuszczać złe skutki hołdownictwa, że lada szlachcic polski będzie ich mógł zwać wasalami swymi itp., ale podał radę, jakby można prawnie ominąć tę nieprzyjemność, a rada ta wymagała znajomości teoryi prawa, znajomości tajemnic archiwum familijnego książąt. Dość że w skutek tych rad, udają się książęta na dwór Zygmunta Luksemburczyka, bawiącego podówczas w Wiedniu, zaopatrzywszy się w dokument wprawdzie późniejszemi traktatami unieważniony, ale autentyczny, na mocy którego jeden z poprzedników książęcych wziął Mazowsze w lenno od Jana, króla Czeskiego. Książęta zażądali od Zygmunta widymacyi tego dokumentu a uczynny król nie odmówił téj prośbie. Było to pod koniec Marca r. 1426 a wkrótce już cała Polska wiedziała o tém, gdyż biskup Pawłowski wydać miał królowi *jakieś złe listy* z kancelaryi książęcéj, za co go książęta oddalili, skonfiskowawszy następnie jego dobra. Pawłowski udaje się ze skargą do króla Polski i do Witołda, którzy się za nim ujęli; Jagiełło napisał do Zygmunta z wyrzutami, że wbrew kezmarkskiemu pokojowi wchodzi w konszachty z książętami mazowieckimi i odciąga ich z pod hołdownictwa korony, a Zygmunt zmuszony jest usprawiedliwiać się, ba nawet zaprzeczać insynuacyom gdyż to *wszystko miało być wymysłem tylko złych ludzi*. Synowie Ziemowita musieli na dniu 8 Września r. 1426 złożyć hołd królowi a sędzią w téj i innych jeszcze mniejszéj wagi sprawach, jakie zachodziły pomiędzy koroną a ks. mazowieckimi (jak w kwestyi demisyi Pawłowskiego), był Witołd popierający gorąco interesa korony.

Nie potrzebujemy dodawać, że sprawa ta postawiła w złém świetle króla Zygmunta w obec Jagiełły i jego korony. Nie będzie to nas wcale dziwować, jeżeli w husyckiéj potrzebie lub tureckiéj Zygmunta wyprawie Polacy nie grzeszą zbytkiem entuzyazmu. Jeżeli Zygmunt w skutek nowéj zmiany swéj polityki rad był zająć Polskę wewnętrznemi sprawami, aby mu nie przeszkadzała w husyckiéj, to wnet zobaczymy, jak wśród wzrastającej ztąd nieufności korzystać będą *nieznani bliżéj ludzie*, siejąc ziarna niezgody i wzmagając ten nieszczery stosunek pomiędzy Polską a Zygmuntem.

Był on w istocie nieszczerym i dowodził, że Zygmunt koniecznie usiłował zająć Jagiełłę jakąś wojną, jak tego poucza sprawa mołdawska a raczéj wołosko turecka, które po krótce opowiemy.

Na mocy traktatu szramowickiego zastrzegł sobie Zygmunt, iż wojewoda mołdawski na wypadek wojny z Turkami ma mu osobiście

przyjść z posiłkami. Tymczasem wojewoda mołdawski nie bardzo zdawał się zważać na takie zastrzeżenia, lubo je poręczył był król Polski, względem którego był w stosunku hołdownictwa. Szczególniejsza, że obecnie, kiedy pomiędzy Jagiełłą a Zygmuntem wzmogła się nieszczerość wskutek sprawy mazowieckiéj, wojewoda Alexander wiąże się z wrogami Zygmunta. Było to bowiem w ciągu roku 1426 (przed Majem), gdy Zygmuntowi doniesiono, że niecny Alexander wchodzi w związki z Radułem, który z poręki sułtana Murada dzierżył Bessarabią czyli „Małą Wołoszczyznę", jak ją téż podówczas zwano. Pośrednio więc wchodzi Alexander w przyjazne stosunki z Turkami, wspierającymi Raduła przeciwko Danowi, innemu kandydatowi na wojewodzińskwo wołoskie, którego w tym celu protegował król Zygmunt. Co spowodowało Zygmunta i tak już nie dowierzającego królowi polskiemu, że oskarzył wojewodę Aleksandra o wykroczenie przeciwko artykułowi traktatu szramowickiego i wezwał króla, aby albo przystąpił do uchwalonego na ten wypadek podziału Mołdawii, albo téż surowo upomniał wojewodę, ażeby ten nietylko od związków z Radułem odstąpił, ale nadto z należącemi się królowi posiłkami do Brailowa przybył. Przyczém uprasza Zygmunt Jagiełłę, aby mu ze swéj strony przyobiecany pięcio tysięczny oddział ku pomocy przeciwko Turkom przysłał. Jagiełło wysłał natychmiast Michała z Buczaca, starostę halickiego, do wojewody Aleksandra z upomnieniem,—a ten upokorzywszy się, usprawiedliwia się ze swych z Radykiem nierozsądnie uczynionych związków a nadto czyni zadość nakazowi i przyobiecuje przybyć Zygmuntowi z pomocą, celem wsparcia Dana przeciwko Turkom. Zmiana ta w usposobieniu wojewody mołdawskiego mogła być na rękę królowi Zygmuntowi, to téż chcąc z niéj należycie skorzystać, uprasza ponownie króla, aby wojewoda ze swemi wojskami i przyobiecane królewskie posiłki na święto Jana Chrzciciela stanęły w Turn-Severynie, dokąd na tymże samym dniu i król Zygmunt nie omieszka przybyć. Nadto upraszał on i Witołda o posiłki, a tak w listach do tegoż jako i do króla pisanych szczególniejszy kładł nacisk na to, że *syn ślepego Turka* uciekł odeń z niewoli i prosił, aby na granicach starano się go przetrzymać i napowrót wydać. Ów Turek, bliżéj nam nieznany, musiał być jakąś dostojną i wielce ważną osobistością, może jakiś syn z oślepionych przez Murada wezyrów, skoro Zygmuntowi tak na jego przyaresztowaniu zależało, a jak się późniéj dowiemy, na wydaniu jego wielce mu zależéć będzie. Witołd wprawdzie żądanych posiłków nie dał sam wojska potrzebując, ale nalegał na króla Jagiełłę, aby skarcił wojewodę, gdyż hańbąby było, mówił on—aby hołdo-

wnik Polski przeciwko chrześciaństwu knuł zgubne zamiary, a nadto przyobiecywał wydać Turka, skoro go tylko przetrzyma na granicach. Wnosić można, że głównie w skutek nacisku Witołda nakazał król Jagiełło wyruszyć zbrojnie saméj wszakże tylko szlachcie ruskiéj na pomoc Zygmuntowi.

Nakaz królewski ogłoszony na Rusi zastaje szlachtę bardzo niechętną do zagranicznéj i dalekiéj wyprawy, a byli i tacy, którzy go nie usłuchali i pozostali w domu. Na czele posłusznych stanął Janusz z Kobylan i połączywszy się z wojewodą zdążył do Braiłowa. Tam atoli blisko dwa miesiące nadaremnie oczekując Zygmunta, wracają obaj do domu.

Pomimo daremnych trudów wyprawy i pomimo, że w tymże roku z powodu Lubicza Witołd w niebardzo serdecznych zostawał stosunkach z Jagiełłą, poparł on zamiar królewski w ten sposób, że starcowi przybyło energii i pociągnął nieposłuszną szlachtę do odpowiedzialności. Baronowie atoli, którzy z powodu sprawy mazowieckiéj niechętném okiem patrzyli na Zygmunta a w części wraz z nieposłusznymi dzielili niechęć do zagranicznéj i dalekiéj wyprawy, poczęli się wstawiać za ruską szlachtą u króla jakoteż u księcia. Jagiełło trwał w zamiarze ukarania jéj, a Witołd w początkach r. 1427 ostrzegł i upraszał baronów, aby się nadal nie wstawiali za nieposłusznymi (1). Baronowie usłuchali, król kazał nieposłusznych jako buntowników pochwytać i bez różnicy stanu i godności zamknąć w więzieniu, dobra zaś ich odebrano na własność korony. Ale czy to wszystko podobać się mogło baronom, których starania udaremnił w tym wypadku Witołd, to znowu inne pytanie. Zaznaczamy je tylko, jako materyał do intrygi, z którego wrogowie Witołda w Polsce nie omieszkują skorzystać w stosownym czasie i wśród sprzyjających konfliktowi okoliczności. Przypomnijmy sobie, że nietylko pod tym względem nalegał Witołd na baronów, aby spełniono jego wolę. Była wszakżeż kwestya młyna i ustawiczne przypominania, aby przy dalszych rozgraniczeniach z Krzyżakami postępowano według ugody Grodzieńskiéj.

Król Zygmunt nie przybył wprawdzie w r. 1426 na oznaczony termin do Braiłowa, był bowiem nadto zajęty sprawami czeskiemi, aby pamiętać o innych, ale przybył tamże w Marcu 1427, spóźniwszy się więc tylko o dziesięć miesięcy na owę wyprawę przeciwko Raduło-

(1) Liber. Canc. I N. CII. p. 181.

wi. Niedziwna, że już nie zastał w Brailowie wojewody, ani też Polaków. Która to okoliczność nie przeszkodzi Zygmuntowi do oskarżenia wojewody przed Jagiełłą, jako tenże nie stawił się z powinnym pocztem na wyprawę, i żądania, aby jak to sobie na ten wypadek zawarowano w traktacie, przystąpiono do podziału Ziemi Mołdawskiéj. Zanim to nastąpi, Zygmunt dozna klęski od Turków i przekona się o potrzebie sprowadzenia Krzyżaków do ujść Dunaju, aby bronili wstępu wdzierającym się siłą Turkom, témbardziéj, że pupil jego Dan dozna zwykłego losu protegowanych przez Zygmunta książąt i głowa Dana ma spaść w tymże r. 1427 pod toporem kata na rozkaz Raduła przeciwnika. Sprawa wołoska jest i będzie jeszcze materyałem niezgody i niesnasków pomiędzy Jagiełłą a Zygmuntem, a i z niéj nie omieszka w swoim czasie skorzystać Russdorf.

Zanim atoli o tém pomówić nam wypadnie, wspomnimy o trzeciéj z rzędu sprawie jako materyale do intrygi, o plotce prawdziwie potwornéj, która w początkach r. 1427 targa sławę ukoronowanéj niewiasty a z nią i powagę korony polskiéj. Niewiastą tą jest matka Jagiellonów, ongiś księżniczka kijowska, królowa Zofia. W Marcu tego roku opłakuje ona z królem stratę syna Kazimierza, oddając się wraz z królem do zbytku żalowi. Nie w tym stopniu żałowali dziecięcia panowie koronni, pocieszający się zdrowiem piérworodnego a nadto i tą okolicznością, że królowa znowu tego roku okazała się być brzemienną. Ależ jacyś nieznani wrogowie rzucili właśnie z powodu przytoczonéj okoliczności bezczelną potwarz na królowę. Z ust do ust przechodzi rzucone oszczerstwo i przybiera potworne rozmiary. Łatwowierność baronów wyzyskiwano równie haniebném jak i cała plotka kłamstwem, że Witołd, do którego może jeszcze nie doszła wieść o potwarzy, podziela prawdziwość pogłoski.

Doszła ona i to daleko rychléj tam dokąd nasamprzód była przeznaczona, do uszu królowéj. Łatwo sobie wyobrazić można, jakie na niéj wywarła wrażenie, tém bardziéj, gdy jak tego się dorozumiewać należy, doniesienie było tak sformułowane, że panowie koronni podzielać mieli podejrzenia zawarte w plotce. Nie wiadomo w skutek czyjéj dorady, dość, że wysyła królowa list do Witołda ze skargą, jak haniebnie została oczernioną, ucieka się do jego rady i wzywa pomocy, okazując nawet chęć złożenia przysięgi oczyszczającéj, gdyby tego wymagała potrzeba. Jakkolwiek dotknęła boleśnie księcia ta skarga, to bardziéj zdawał się on być zdumionym, iż taka potwarz znalazła posłuch pomiędzy senatorami polskimi, jak to było wyrażono w liście królowéj. Ale jako mąż czynu, napisał wnet do senatorów, aby haniebnéj téj potwarzy nie dawali wia-

ry, gdyż jest ona bezczelném kłamstwem i uprzedzał ich, aby zechcieli współpracować nad tém, aby królowa mogła się oczyścić z haniebnie przypisywanéj jéj winy.

Tak działał mąż czynu, sprawiedliwy i energiczny książę, nie wiedząc może ani się spodziewając, w jak trudne i dwójznaczne mógł wejść położenie, chcąc ratować honor królowéj niewiasty od hańbiącéj potwarzy. Ale Witołd chociaż przewidywałby tego rodzaju ewentualność, sądzimy stanowczo, że ani na chwilę nie zawahałby się ratować czci słabéj niewiasty i honoru rodziny, któréj był tak blizkim członkiem. To téż ci, którzy potwarz rzucili, obmyślili plan jéj dokładnie, wiedząc jaki przebieg weźmie ta brudna sprawa, w którą Witołda koniecznie wmięszać należało, a jak się dowiémy, o niego głównie chodziło.

Przypomnijmy sobie tylko, że Witołd pozostawał podówczas w nieporozumieniu z Jagiełłą, że nawet baronowie, drobne wprawdzie, ale zawsze ku niemu żywili żale. Jakżeż tedy mógł sobie postąpić Witołd, aby nie obudzić podejrzenia ze strony Jagiełły i nieżyczliwego mu stronnictwa w Polsce, aby nie wywołać pytania ażali szczérze działa i w istocie ocalenie czci królowéj ma na celu, czyli też chce tylko wystawić królowę na hańbę i obmowę, będąc według pogłosek na nią trochę zagniewany, jakie to pogłoski według relacyi Długosza rzeczywiście nastąpiły. Proźbie królowéj nie wypadało wszakżeż odmówić a zwołać znowu króla i senatorów polskich na naradę coby czynić należało, do tego brakowało właściwego powodu, gdyż potwarz podawano sobie z ust do ust pod największym sekretem i oskarżyciela brakowało. Że téż nikt nie wyjawił, z których ust potwarz po raz piérwszy wyszła i że nikomu na myśl nie przyszło złamać sekretu i wyjawić nędzników. Ci co potwarz rzucili wiedząc z praktyki, że o to nie będą się robić poszukiwania, które gdyby nawet przedsięwzięto, nie doprowadziłyby do rezultatu i nie wykryły rafinowanych zbrodniarzy. Wszakże pod zarzutem podobnéj winy pozostawała bogobojna królowa Jadwiga, jéj następczyni Anna Cylejka!

Następny krok Witołda, o którym mamy opowiedziéć, obudził podejrzenie króla, który bawiąc pod ten czas na Rusi mógł nawet nie wiedziéć jeszcze o potwornéj plotce. Łatwo bowiem przypuścić, że nikt z otoczenia królewskiego, chociażby nawet już plotka dotarła była na Ruś, nie ośmielił się jéj królowi udzielić. Mniejsza atoli o to, dowiaduje się on o niéj od Witołda, ale w sposób niekoniecznie, napełnić go mogący otuchą, że książę szczerze działa. Witołd bo-

wiem, tak opowiada nam Długosz, opowiedziawszy królowi skargę królowéj, wymógł na królu, aby się z nim na dniu 14 Września zjechał w Horodle, dla zaradzenia szerzącym się wieściom i obmowom i padającéj tak na królowę jako i na króla niesławie. Zapewne, że przeciwko temu nie miał król nic do zarzucenia, lecz skoro Witołd dowodził potrzeby zjazdu, że ze względu na zgrzybiały wiek króla plotka, gdyby nie zaradzono temu, mogła coraz bardziéj się rozszerzać, to przyznać należy, że argumentacya taka mogła się podejrzliwemu królowi nie podobać.

Na zjazd w Horodle sproszono tych tylko senatorów, którzy, jak to Długosz donosi, potakiwali w zdaniach księciu, śmielszych zaś wykluczono, aby nie czynili żadnych przeszkód. Sądzić należy, że Szafrańców nie było przy obradach horodelskich, które się zresztą odbywały w tajemnicy i o których przeto mało co wiemy. To tylko pewna, że uchwalono, aby królowa złożyła oczyszczającą przysięgę, co téż pod sam koniec tego roku nastąpiło, po powiciu trzeciego syna przez królowę. Cobykolwiek tam atoli obradowano, niepodobna zaprzeczyć, że mówiono o kwestyi bardzo drażliwéj i srodze łechtającéj ambicyą króla, a Witołd, tém właśnie, że mimowoli przyjął na się rolę oskarżyciela i roztrząsał szczegóły potwarzy odgrywał bardzo dwójznaczną rolę. Długosz słusznie sądzi, że Jagiełło nie wiedział coby miał o Witołdzie pod tym względem sądzić, działali oni szczérze lub przeciwnie. Donosi nam daléj Długosz, że Witołd miał podzielać prawdziwość podejrzeń rzucanych na królowę, czemu zaprzecza ton listu wystosowanego w tym przedmiocie do senatorów polskich. Ostre atoli uchwały zapadłe w Horodle, które on również poszczególnia, zdaje się potwierdzać ta okoliczność, że pomiędzy wymienionymi w jego relacyi dworzanami królowéj, znajdujemy jednego Jana Kraskę, którego jak to zkądinąd wiemy, kazał król w istocie osadzić w więzieniu a w parę lat późniéj wypuścił na wolność, co Witołda mocno oburzyć miało.

Rzucamy zasłonę na tę zakulisową sprawę, wykazującą, że ci, którym na skutkach jéj zależało, nie wzdrygają się naruszyć czci słabéj niewiasty, aby tylko osiągnąć celu. Cel ich uświęca chociażby najpotworniejsze środki; konstatujemy go: oto Jagiełło począł być bardziéj drażliwym i podejrzliwym względem Witołda a podejrzliwość ta udziela się pomału i panom koronnym. O królowę tu nie chodzi, ona na trzecim planie; zmyła potwarz przysięgą oczyszczającą jak ongiś Jadwiga, ale ani król, ani baronowie nie mogli być wdzięczni Witołdowi, że plotka skutkiem zaproponowanego przezeń zjazdu nabrała hańbiącego koronę rozgłosu, tak że narodziny trzeciego z rzędu Jagiellona nie rozbudziły w Polsce wesołości. Może-

my na śmiało sądzić, że owi śmielsi senatorowie, nie wezwani na zjazd, poczęli sarkać z tego powodu, że obecnie wszelka władza królewska i wszystkie sprawy zdawały się spoczywać w ręku Witolda a mało z malkontentów było takich, którzy, jak Długosz, dodawali, że działo się to w skutek wielkiéj energii księcia a więcéj jeszcze w skutek uczciwego sposobu myślenia szlachetnéj i wspaniałéj duszy, tych wrodzonych przymiotów, które przystały wielkiemu i znakomitemu księciu. Szafrańcy inaczéj sądzili.

Dr. Antoni Prochaska.

(Dok. nast.).

SYLWEK CMENTARNIK.

(*Ciąg dalszy*).

V.

Dom, w którym mieszkali Szarscy, był budową drewnianą, dwupiętrową i w kilka facyatek u góry zaopatrzoną. Niegdyś, mogły się tam znajdować wcale porządne nawet mieszkania, teraz jednak, nietynkowane ściany spoglądały na świat pozbawionemi szyb otworami a u szczytu, pośród zczerniałych i kruszących się kominów, stérczały tu i owdzie ogołocone z dachówek krokwie. Spiczaste daszki facyatek, kształtem swym przypominające domki z kart przez dzieci budowane, a także wysokie rusztowanie ciesielskie do ścian przystawione, nadawały domowi temu o zmroku szczególniéj, pozór czegoś fantastycznie połamanego. Właściciel całéj téj posiadłości miejskiéj, przez niedbalstwo lub uboczne jakieś cele, część tę własności swéj w stanie rudery pozostawiający, zamierzał snać kiedyś odnawiać ją i do porządku przyprowadzać. Zamiar ów zaniechanym został, lecz rusztowanie pozostało i wraz z przystawioną doń wysoką, kominów aż sięgającą drabiną gniło sobie zwolna na słotach i śniegach, na podobieństwo olbrzymiego skieletu, stróżując nad dziedzińcem błotnistym, zaśmieconym, a pomiędzy budową, mieszczącą w sobie handel Chaima i staremi budowlami, zaciskającym się w wązką, ku zaułkowi wyciągniętą szyję.

Rusztowanie owo i owa drabina przedstawiały od czasu do czasu napowietrzną scenę, pośród któréj odegrywało się widowisko, dla mieszkańców zapadłego kąta tego niezmiernie ucieszne. Hilary Szarski, z odkrytą głową i w łużnym, poplamionym paltocie, który od lat już paru stanowił jedyne jego ubranie, wypadał z bocznych, na dziedziniec otwierających się drzwi szynku i wymachując ramionami, zataczającym się, lecz o ile stan jego na to pozwalał spiesznym

krokiem, dążył ku rusztowaniu. Przez całą drogę, która jakkolwiek krótką była, dość długo zazwyczaj trwała, nieustannie, ani na sekundę jednę nie milknąc, mówił a raczéj bełkotał.

— Pójdę... pójdę... ot już idę! Teraz już dojdę... żeby tam nie wiem co, dojdę i prośbę moję podam! Co to! Pana Boga w niebie nie ma, czy co, żeby takie krzywdy dziać się mogły na świecie. Apeluję, do najwyższéj instancyi... Poczekajcie, będzie wam dobrze jak Pan Bóg Wszechmocny sprawę pomiędzy nami roztrzygnie... Idę... idę... Szedł, a dosięgłszy celu swéj wędrówki rozpoczynał niezmiernie mozolne wdrapywanie się na drabinę. Wtedy, wszystko cokolwiek żyło lub przypadkowo znajdowało się w sąsiednich domostwach, wylegało na dziedziniec. Liczni zawsze goście Chaima, wysoka i blada praczka w dużéj chustce na głowie, mąż jéj, stróż nocny, z wielką fajką przy ustach, zaułkowi przechodnie, którzy zasłyszeli na dziedzieńcu niezwykły gwar i ruch, wszystko to skupiało się u stóp rusztowania, podnosiło głowy, wybuchało śmiechem, rzucało ku oszalałemu człowiekowi drażniące i egzasperujące go zaczepki i żarty. Jeżeli dzieci Szarskiego znajdowały się w domu, co jednak zdarzało się nieczęsto, wybiegały one także z przepaścistéj sieni domu, krzycząc rzucały się ku drabinie i ręce ku ojcu wyciągając, płaczliwie a wrzaskliwie prosiły go i zaklinały, ażeby wrócił na ziemię, szedł do domu, bo spadnie, stłucze się, albo nawet i zabije... Damek krzyczał najgłośniéj a niekiedy łajał nawet ojca, nazywając go pijakiem i waryatem, Miś i Klarka zalewali się rzewnemi łzami. Oprócz tych wszystkich osób na dole stojących, przedstawienie odegrywające się pośród suchych ramion rusztowania posiadało zazwyczaj dwie jeszcze spektatorki, które spoglądały nań z góry. W jedném z okien górnego piętra ukazywała się ładna jeszcze, choć zwiędła i blada twarz Heleny Szarskiéj, która podnosiła do oczu chustkę, znikała, aby znowu ukazać się i z krwawym rumieńcem na czole i policzkach przerażone spojrzenie rzucić przez szyby; na spadzistym zaś, ukośnym dachu staréj drwalni siedziała trzynastoletnia Antka, w koszuli i krótkiéj spódnicy z rozpuszczonemi włosami, a z wysokości téj na widowisko spoglądając śmiała się tak zapalczywie, że aż długie, nagie jéj nogi dziwne takty wybijały po zgniłych gontach dachu.

Ze szmatą papiéru podjętą ze śmietnika a z kieszeni paltota wystającą, obu rękami czepiając się drabiny, Szarski wdrapywał się ze szczebla na szczebel powoli i z niesłychanym mozołem. Chwiał się i drabina uginała się pod silnie zbudowaném a ociężałém jego ciałem. Mówić przecież a raczéj bełkotać nie przestawał ani na chwilę. Zatrzymywał się czasem na jednym ze szczebli i z trudno-

ścią usiłując wznieść w górę rękę z wyjętą z kieszeni szmatą papiéru, wołać zaczynał.

— Królu całego świata... Sędzio sprawiedliwy... przychodzę ze skargą... pozywam o otrucie duszy mojéj... o niedolę moich dzieci... o wstyd, o hańbę, zgubienie... pozywam...

Nagle, ni ztąd ni zowąd, uderzał się z całéj siły pięścią w piersi i rzewnie płacząc jęczał.

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu... I znowu wędrował w górę.

— Daleko, mówił kręcąc głową i głupowato uśmiechając się, daleko!... wysoko... ale to nic! nic! dojdę! ot, niedługo... jutro, pojutrze... pewnie dojdę...

Bójne krople potu występowały mu na żółte czoło, dyszéć zaczynał głośno i ciężko, od czasu do czasu boleśnie stękał, każdemu zaś stęknięciu, każdemu pijanemu wykrzykowi szaleńca tego, odpowiadał wielki chór żartów i śmiechów ludzi stojących na dole i najgłośniejszy ze wszystkich, przenikliwy, nieskończone, chromatyczne gamy w powietrze rzucający śmiech siedzącéj na dachu wpółnagiéj dziewczyny.

Niekiedy Szarski spadał z drabiny, tłukł się strasznie o bruk dziedzińca i długo potém chorował, najczęściéj jednak rozeznawał w tłumie wrzeszczących dokoła głosów, głosy i płacze dzieci swoich, a wtedy zatrzymywał się w pochodzie swym i z idyotycznym uśmiechem zaczynał w dół spoglądać.

— Aha! mówił, wołacie mię... wróble wy małe... ojciec wam potrzebny? co? biedne wy sieroty bez ojca ni matki... No, Miś, cicho już bądź! Klarka! przestać mi zaraz płakać! a ty Damek, jak będziesz tak wrzeszczał to ot zlazę zaraz i rózgą wyćwiczę...

Damek zaczynał wrzeszczéć głośniéj jeszcze.

— Niech już ojciec wyćwiczy mnie, ale niech zlezie na ziemię, bo mi wstyd ludziom w oczy patrzéć... I tak już chłopcy u ślusarza wypiekają mi oczy, żem syn pijaka...

Miś z piąstkami przyciśniętemi do oczów, w niebogłosy lamentował.

— Za co my takie nieszczęśliwe... nie dość, że ojciec pijanica jeszcze spadnie i zabije się, a my... już chyba z głodu poumieramy... czy co?

Klarka nie myślała o wstydzie ani o głodzie, lecz załzawione swe, turkusowe oczy wznosząc ku ojcu, chlipała od płaczu, drobne ręce w górę wyciągała, wołając.

— Papciu! papciu! papciu!

Potém ogarniała ją złość. Zaczynała tupać małemi nogami, wydymała usta i z cicha wyrzekała.

— To tak zawsze! upije się i potém gryzie mnie tylko! jak zabije się, to umrze... jak Tadzio...

I uczepiwszy się drabiny właziła za ojcem na parę najniższych szczebli.

— Papciu! wołała, proszę mi rączkę podać... ja papciowi pomogę zléść...

Wtedy Szarski zwolna zaczynał zstępować w dół. Znalazł się zawsze w tłumie ktoś litościwy, kto mu w téj powrotnéj, niebezpieczniejszéj jeszcze niż poprzedzająca wędrówce dopomógł, a po chwili widzowie rozchodzili się, wiedząc, że nic już więcéj ciekawego nie zobaczą i ze świeżo odegrywanego widowiska czyniąc wniosek, że Szarski pewnie już przez tygodni kilka upijać się nie będzie.

Istotnie, sceny owe włażenia na drabinę w celu zaniesienia Bogu skargi na doznaną krzywdę, od lat już dziesięciu, bywały w życiu Szarskiego zakończeniem okresów pijaństwa, po których następowały dłuższe lub krótsze okresy trzeźwości. Tak jak pewne rodzaje umysłowego obłąkania, nałóg jego miał tę właściwość, że z kolei ogarniał go i odstępował. Był to szał raczéj niż nałóg, szał, który niby palący huragan przelatywał po tém steraném życiu a potém milkł i ustępował miejsca grobowéj ciszy. O ile pijanym będąc Szarski gadatliwym był, tak gadatliwym, że mowa jego wydawała się nieustannie a monotonnie ciekącym strumieniem, o tyle, gdy się wytrzeźwił milczącym stawał się i zamkniętym w sobie. Na twarz jego zoraną i zżółkłą spadała wtedy nieruchomość kamienna, a spuszczone zwykle powieki podnosiły się z ciężkością i ukazywały spojrzenie mętne a nieprzezwyciężenie chylące się ku ziemi. Przedstawiał on wtedy sobą, obraz milczącéj jak grób rozpaczy i wstydu, który żadném już udawaniem godności człowieczéj osłaniać się nie chciał. Kiedy dawni przyjaciele i koledzy jego wypadkiem napotkawszy go, przypominając mu dawne jego czasy, do upamiętania i poprawy zachęcać go usiłowali, słuchał wszystkiego co mówiono mu cierpliwie, aż do końca, a potém wzruszając ramionami odpowiadał krótko i sucho.

— Cóż robić? stało się!

Uparte milczenie to i krótkie te odpowiedzi, ludzie poczytywali za cynizm i czelność. W istocie, była to tylko, beznadziejność. Nie przyrzekał nic i nie usprawiedliwiał się nigdy. Czasem tylko, gdy zapytaniami i napomnieniami przyciśnięto go do muru, w kształcie objaśnienia mówił.

— Miałem zawsze słaby charakter... Lepiéj byłoby pewnie, żebym był innym, ale cóż robić? stało się!

O krzywdzie doznanéj, o stosunkach rodzinnych, na które pijanym będąc wciąż wyrzekał, nikt zeń, gdy był trzeźwym, słowa jednego wydobyć nie mógł. Nie chciał mówić nic i zresztą niewiele miał do mówienia czasu. Stawał się wtedy zaciekle pracowitym. Szedł do urzędników i adwokatów miejskich z prożbą o zajęcie; że zaś pisał poprawnie i prędko, a przytém, wiele jeszcze zapamiętał z posiadanych dawniéj wiadomości, dawano mu chętnie robotę, z tym przecież warunkiem, aby spełniał ją na miejscu, do domu nie zanosząc. Najmniéj nawet ważnego dokumentu, żadnéj godziny czasu dla spełnienia pracy potrzebnéj, nikt mu już powierzyć nie chciał, nikt bowiem, ani on sam zapewne przewidziéć nie mógł kiedy grobową ciszę jego, gorliwą, umiejętną pracowitość przerwie i pochłonie gadatliwy i nieprzytomny szał. Pracował więc za domem. Od rana do zmroku siadywał w gabinetach urzędników i adwokatów schylony nad robotą swą, kamiennie obojętny na wszystko co było i działo się wkoło niego, pochłonięty całkiem jedyną żądzą zdobycia jaknajwiększego możliwie zarobku. Zdawać się mogło, że pragnął i usiłował zarobić tyle, ażeby wystarczyć to mogło nietylko na teraz, ale i na dalszy, bezzarobkowy a przewidywany czas. Wracał do domu w późne wieczory, obładowany sprawunkami przeróżnemi, zapasami żywności, opału lub odzieży. Bez względu na terminy opłacał wtedy komorne, uiszczał się z długu ślusarzowi, u którego terminował Damek, nakoniec przez ostrożność niby i niedowierzanie sobie, wszystkie piéniądze, jakie mu pozostawały jeszcze, oddawał żonie. To ostatnie, czynił zawsze z widoczną niechęcią, z wahaniem się i tylko z ciężkiego musu. Gdy patrzał na żonę, gdy zmuszonym był przemówić do niéj, kamiennie nieruchoma w porach tych twarz jego nerwowo drgać zaczynała a grobowa cisza, zamykająca mu usta, ustępowała przed tłumionèm, lecz wciąż wybuchającém rozjątrzeniem. Na stolik umieszczony przy brudnym jéj szezlągu rzucając garść monety lub parę asygnat, ustami wykrzywionemi, mówił.

— Zmiłuj się Heleno nie zmarnuj tylko tego na fatałaszki i romansowe książki. Bądź choć raz dobrą matką i rozsądną kobiétą. Schowaj ten grosz na chléb i obuwie dla dzieci... Teraz już wszystko im kupiłem, ale żeby na później było... Nie mogę trzymać przy sobie piéniędzy... kuszą. Muszę powierzać je tobie, choć... Bogiem a prawdą... wszystko to jedno!...

Czynił ręką gest najwyższego zniechęcenia i znowu zapadał w milczenie, którego żona nie przerywała mu nigdy. Oddawna już,

Helena nie przemawiała do męża ani jednego słowa. Czasem, zdawało się, że chciała się do tego przymusić; spoglądała na niego, otwiérała usta i odwracała się wnet z wyrazem nieprzezwyciężonego wstrętu na twarzy, z poruszeniem wzgardy niewysłowionéj. Wtedy, on, patrząc na nią zdaleka, bez uniesienia, ale szydzącym i pogardliwym tonem mówił.

— Nie masz czego odwracać się tak odemnie... ty, hrabianko na Wątorach... ani mi wzgardliwe miny swe pokazywać... Niech ci się nie zdaje, żebyś była lepszą odemnie. Jam pijak i ty pijaczka... tylko że ja upijam się wódką a ty drukowanemi romansami. Ja w wódce szukam zapomnienia, a ty w książkach... wyimaginowanéj rozpusty. Dobraliśmy się. Powiniśmy od rana do wieczora sobie buzi dawać. Dla czego zaś ty mnie znielubiła i ja cię nie cierpię... albo ja wiem? Może dla tego, że gdybyś ty była inną, jabym się był nie rozpił, a gdybym ja był inny... no, gdybym, naturalnie, eleganckim był i bogatym, tybyś kochała mnie, choćbym tysiąc razy był gorszy niż jestem... Znam cię! Dla najgorszego złoczyńcy byłabyś dobrą, gdyby on tylko wyglądał jak romansowy bohatér a ciebie wielką panią zrobił... I dzieci swoje kochałabyś także, gdyby to byli panicze i panienki.. znam cię, ty, co myślisz żeś z książęcego tronu zstąpiła, choć was pięcioro dzieci na kiepskiéj folwarczynie ojcowskiéj siedziało... ty, co myślisz, że uczciwą kobiétą jesteś, choć nic więcéj nie robisz tylko romansujesz... przez imaginacyą... Znam cię!

Znał ją istotnie. Mogłaby była szaléć za najnikczemniejszym złoczyńcą, gdyby posiadał on wytworną powierzchowność i świetne położenie w świecie jednego z tych wicehrabiów lub margrabiów, o których czytywała w romansach i w których kochała się nieustannie aż do śmiertelnéj tęsknoty i spazmatycznego płaczu. Mogłaby była nawet szaleć za zbójcą, któryby się pojawił przed nią w stroju malowniczym, z gorejącemi dziko oczami a upadłszy przed nią na klęczki opowiedział jéj szereg tragicznych, przebytych przez się przygód. Kochałaby też niezawodnie dzieci swe, gdyby podobnemi one były do margrabiąt i książątek. Nędzę nawet przeniosłaby odważnie i chętnie, gdyby przyczyną jéj była jakaś dziwna awantura a okrasą jaskrawa poezya; gdyby posiadała ona w sobie coś, coby rozogniać mogło jéj wyobraźnią i zaspakajać zmysły.

Wyobraźnia i zmysły chorobliwym rozrostem swym zagłuszały w niéj wszystkie inne składowe części ludzkiéj jéj istoty. Stopniowo zapewne stawała się, lecz teraz już w zupełności była istotą złożoną z rozdrażnionych nerwów i upojonego mózgu, wiecznie trawioną przez gorączkę nieprawdopodobnych rojeń i niespełnionych żądz, istotnie, szczerze i strasznie cierpiącą.

Od czasu do czasu i ona także miewała epoki wytrzeźwienia i gorączkowego zrywania się do praktycznych, domowych czynności. Bywało to zwykle w porach, w których nie miała za co nabyć lub wypożyczyć nowéj książki a te, które posiadała, po wielokrotném ich przeczytaniu, przestały wywierać na nią upajające i roznamiętniające wrażenia. Wtedy, zdawała się ona wracać do życia rzeczywistego i jasno spostrzegać to, co się wkoło niéj działo. Zaczynała też pracować po swojemu. Po całych dniach, z zapalczywością niesłychaną, białemi swemi przezroczystemi rękami, misternie haftowała kołnierze dla synów swych, których surduciki i spencerki dziurami świeciły na łokciach i plecach; dla Klarki kupowała wytworne cienkie obuwie, które dziecko wiecznie zbijające bruki dziedzińca i zaułka niszczyło w dni parę; przy ogniu, dla rozpalenia którego wzywała praczkę mieszkającą na dole, własnoręcznie gotowała czarną kawę a pijąc ją sama z rozkoszą, pieszczotliwie do picia jéj namawiała dzieci, które się nią brzydziły a praczkę Ambrożową błagały, aby poszła lub Tomka posłała do garkuchni po obiad. Zdarzało się, że w epokach tych trzeźwości i działalności, Helena Szarska wziąwszy na kolana swe Klarkę a synów ku sobie przyciągnąwszy całowała dzieci w czoła i policzki, uśmiechała się do nich czule i smutnie, wyzywała ich do rozmów i opowiadań. Chłopcy jednak, zarówno jak dziewczynka niechętnie, co najmniéj obojętnie znajdowali się względem matki a gdy się czasem rozgadali, używali nieprzystojnych wyrazów, grubych zaklęć i przekleństw. Dziwne w istocie wrażenie sprawiać musiało, gdy pięcioletnia dziewczynka składając śliczne swe, drobne usta w nadąsaną minkę mówiła. Niech jego licho porwie, Tomka tego! Tak mi wczoraj w kark dał, że aż upadłam! Jak tylko zobaczę Sylwka, powiem mu, żeby go za to wyłupił...

Helena spuszczała z kolan najmłodsze swe dziecię, starsze ogarniała spojrzeniem powłóczystém, pełném melancholii zmięszanéj z gniewem i odchodziła ku szezlągowi swemu, na którym ułożywszy się w pozie znękanéj, załamywała dłonie, z rozpacznym szeptem.

— Nie; nigdzie i w niczém nie ma dla mnie pociechy!...

Damek zato, Miś i Klarka znajdowali w niezbyt wesołéj doli swéj liczne pociechy. Damek uważał się wprawdzie za najnieszczęśliwszego z pomiędzy wszystkich sprzyjaźnionych z nim rówieśników; dni powszednie bowiem, zmuszonym był spędzać u ślusarza, w którego pracowni, napełnionéj zgrzytaniem żelaza i donośnym głosem majstra, nie musiało mu być jak w raju. Ile razy ktokolwiek, uderzony niezwykłą długością uszu jego, zapytywał go żartobliwie

o jéj przyczynę, Damek, nie spuszczając oczu, owszem, niespokojnym wzrokiem swym czelnie w twarz pytającego patrząc, odpowiadał.

— Majster powyciągał!

— Jakto! majster ci w ten sposób uszy powyciągał? Dla czegóż jest on dla ciebie tak niedobrym?

— Dla tego, z jednaką wciąż śmiałością odpowiadał chłopiec, że ojciec nieregularnie mu za naukę moję płaci.... Tych, co regularnie płacą, za uszy nie targa...

Potém, spuszczając oczy i ponuro w ziemię patrząc, dodawał.

— Dzieckiem pijaka wszyscy poniewierać mogą.... wiadomo!

Niezawsze jednak Damek bywał w tak złym humorze. W dniach świątecznych i wieczornych godzinach, które na wyłączną własność swą posiadał, jedną z największych uciech jego była przyjaźń z Antką, z ową trzynastoletnią, długo-nogą dziewczyną, która ze szczytu śpiczastego dachu drwalni bywała zwykle rozweseloną aż do spazmów spektatorką widowiska, odgrywającego się od czasu do czasu, pośród szkieletowych ramion rusztowania. Kim była Antka? kto byli jéj rodzice? gdzie urodziła się i przepędziła pierwsze lata swego dzieciństwa? Nikt ją o to nie zapytywał nigdy i ona sama, bynajmniéj nie łamała sobie głowy nad zagadnieniami temi. Jak kropla deszczu z chmurnego nieba lub odbryzg błota wyskakujący z pod kół ulicą pędzących, spadła dnia pierwszego na dziedziniec, na którym mieszkali Szarscy i tam już pozostała. Wydalała się z dziedzińca tego tylko dla wyżebrania na mieście kilku groszy, za które kupowała sobie w szynkach i sklepikach kęs chléba, bułkę, kawałek twardego séra, czasem okrawkę słoniny lub wędzonego mięsa. Ze zdobyczą tą, ukrytą za koszulą, zręczna jak małpka, czepiając się gałęzi drzewa wystających belek ścian lub słupów ogrodzenia, wdrapywała się na którykolwiek z otaczających dziedziniec dachów i tam rozsiadłszy się pomiędzy dachówkami, wsparta niekiedy plecami o zczerniały komin gryzła żywność swą z widoczném poczuciem bezpieczeństwa i zadowolenia zupełnego. Zwyczaj takiego jadania na dachach wyrobił się snać w niéj, przez liczne doświadczenia, śród których żywność ciężko zdobywaną wydzierać jéj musieli silniejsi od niéj towarzysze, kto wie? psy może? Stopniowo jednak nabyła ona w akrobatycznych ćwiczeniach tych niezmiernéj wprawy a wielkiego w swych górnych siedliskach zamiłowania. Większa część życia jéj upływała na dachach, możnaby nawet powiedziéć, że tam było jéj stałe mieszkanie. W bardzo tylko mroźne,

dżdżyste lub śnieżne dni i noce chowała się do otwartéj, zawsze do pustéj prawie drwalni, śpiąc tam na pościelisku gnijących trzasek i wiórów. Jedyną na ziemi istotą ludzką, która oprócz towarzyszy zabaw i swawoli zdawała się zajmować Antkę i posiadać z nią dawne stosunki, była kobiéta nie stara jeszcze, lecz z brzydkim trądem na twarzy w bardzo ubogiém, nie żebraczem jednak odzieniu. Od czasu do czasu przychodziła ona na dziedziniec przez Antkę zamieszkiwany, przywoływała ją z dachu lub wynajdywała w czarnych głębiach drwalni, dawała jéj starą odzież jaką, niekiedy kawał chléba, albo miedziany piéniądz i odchodziła, ani słowa najczęściéj nie przemówiwszy. Czasem wprawdzie mówiła ona coś do dziewczyny, ale było to ciche i monotonne mruczenie, którego nikt nie rozumiał a co prawda i nie podsłuchiwał, którego nie rozumiała może i nie słuchała sama Antka. Kim była kobiéta ta przychodząca niekiedy w odwiedziny do dziecka, które nikogo więcéj na całym świecie nie zdawało się obchodzić? Jakim był stan jéj? Jakiéj natury stosunki wiązały ją z Antką? Nikt ani myślał dowiadywać się o tém. Z pozoru wyglądała ona na bardzo ubogą i stéraną służącą. Była może pijaczką, złodziejką, czy kobiétą zgubioną? nie wiadomo, Antka nie miała do niéj przywiązania najlżejszego. Jedynym przedmiotem jéj miłości zdawały się być koty, przemieszkujące na strychach i przechadzające się po dachach budynków. Nietylko przepadała sama za niemi, ale potrafiła ich oswoić z sobą i do siebie przyzwyczaić. Szczególny to był widok dziewczyny téj, gdy z długiemi nogami swemi, pozłoconemi przez zachodzące słońce, z ciemnemi bujnemi włosy rozpuszczonemi do koła okrągłéj twarzy, siadywała ona u śpiczastego szczytu staréj drwalni, plecami wsparta o komin i większą część przyniesionéj tu żywności rozdzielająca pomiędzy usta własne a kilka ocierających się o jéj ramiona i zcicha miauczących pyszczków kocich. Dzieliła się z niémi obiadem swym, a ze skoków ich i pieszczot śmiała się na całe gardło. Miała wtedy pozór istoty doskonale szczęśliwéj. Jednego szczególnie żółtego kotka zabrała sobie na wyłączną własność. Gdy był małym nosiła go przy piersi za koszulą, albo wpółukrytego włosami swemi na ramieniu; kiedy wyrósł przyuczyła go chodzić za sobą wszędzie kędy się tylko obróciła a bądź na dachu, bądź w głębi drwalni na trzaskach, usypiała zawsze trzymając go w objęciu, z ustami sennym pocałunkiem przyklejonemi do żółtéj jego sierści. W ten sposób żyjąc wyrosła na dziewczynę dużą a niekształtną, bo nogi jéj były zbyt długie w stosunku do tułowiu, a wydłużała je jeszcze krótkość odzieży. Włosy za to miała prześliczne, do połowy ją okrywające, a często przez wiatr lub gwałtowne jéj ruchy tak na twarz opadłe, iż z za nich

przeglądało tylko dwie ciemne źrenice, posiadające blask i wyraz oczu zmyślnego zwierzęcia. Dykcyonarz słów, któremi się posługiwała Antka, był niezmiernie szczupłym. Najprostszéj mowy dojrzałego choćby prostaka nie rozumiałaby pewnie, w zamian, wybornie i z wprawą wielką umiała liczyć piéniądze a miasto całe znała aż do najciaśniejszych jego zakątków, przejść i zakrętów. Umiała zjawiać się pośród ulic i placów głównych i znikać z nich tak szybko, w sposób tak nieledwie widmowy, że najdoświadczeńszy agent policyi długoby musiał łamać sobie głowę nad tém zkąd wychodziła i gdzie przepadała.

W parę tygodni po ulicznéj maskaradzie owéj wspólnemi siłami małéj gromadki obmyślanéj a pod wodzą Sylwka uskutecznionéj, o zapadającym zmroku, Damek, z szybkością huraganu wpadł na dziedziniec i krążąc dokoła drwalni, we wnętrze i na dach jéj zaglądając, przyciszonym głosem wołał. Antka! Antka! Antka!

— Ha? ozwał się z czarnéj głębi budowy pytający zaspany głos.

— Chodźno! chodźno tu prędzéj!

Wysmukły cień zarysował się w drzwiach drwalni i wnet przybrał postawę siedzącą.

— Takem się dziś zlatała po mieście... że mało mi nogi nie poodpadają! żałośliwie jęknęła Antka. Ziewnęła potém głośno a odwracając się ku wnętrzu budowy, zawołała. Kici! kici! kici!

— Nie bój się! nie poodpadają! sarknął Damek; kiedy zlatałaś się to i jeszcze trochę polatać możesz... Mam ci coś powiedziéć! Nastaw ucho!

— Nie pójdę już nigdzie! nie chcę! idź precz! zaczęła dziewczyna i nagle krzyknęła. Aj aj! co to?

Nad uchem jéj Damek przeraźliwie zadzwonił pękiem żelaztwa.

— Nie wiesz co to? głupia.., toż to my o tém tyle razy z sobą gadali! Dokuczałaś mi wciąż: dostań! dostań! weź u majstra! no i dostałem, wziąłem! zgubi głowę szukając a nie domyśli się kto mu to zabrał.... z pod nosa! jak Boga kocham, z pod nosa mu wziąłem. Siedział i baraniemi swemi oczami na mnie patrzał a ja tymczasem, myk! i wytrychy pod stołek.... Wychodząc, nachyliłem się tylko; cichutko do czapki wrzuciłem i dobranoc, panie majstrze!

Antka aż zalegała się od śmiechu; skoro ta wesołość była u niéj rzeczą zwyczajną.

— No! zawołała zrywając się na nogi, lećmy!

— Aha; widzisz! a mówiłaś że już nigdzie nie pójdziesz! Jednakowoż poczekaj troszkę! Wcześnie jeszcze. Niech ludzie spać pokładną się. A gdzie polecim?

— Ehe! już ja wiem, nie bój się! Zaprowadzę! Tam na Mokréj ulicy.... w jednym sklepie co jabłek! strach! i ptaki pozabijane i séry takie wielkie...

Damek językiem o podniebienie uderzył jak smakosz, spostrzegający w oddali wyborne przysmaki.

— Wiesz Antka! rzekł, takaś mądra dziewczyna, że zjadłbym cię... ot oczyska! co wszystko na całym świecie widzą! Jak wyrosnę, to ożenię się z tobą... będzie z nas para...

Tymczasem, uszczypnął ją w ramię tak, że aż krzyknęła i w zamian z całéj siły uderzyła go w plecy. Nie pogniewali się jednak z sobą. Były to owszem przyjemne igraszki i wymówne dowody przyjaźni. Przysunęli się bliżéj ku sobie i zaczęli rozmawiać bardzo cichym szeptem. Od czasu do czasu, słychać było tylko wyraz jakiś głośniéj wymawiany.

— Het! w dziedzińcu... daleko... za stajnią... rzucając ręką w mroczną przestrzeń mówiła Antka.

— Którędyż?

— Nie bój się! nie twoja głowa... już ja wiem...

— Nie udźwigniem...

— A nie udźwigniem...

— Tomka by wziąć i Misia... pomogą... zamyślili się i milczeli. Potém, Damek zaszeptał coś znowu do ucha dziewczynie.

— Wielka sztuka! fuknęła Antka. Na dach zaniosę i w gonty powpycham! Takie zgniłe, że palcem pchnąć to i dziura zrobi się.

— Hi! głupia! narobisz to tyle dziur wiele tam jabłek i serów! a jak deszcz spadnie...

— Aha! tonem refleksyi wyrzekła Antka.

— No to i gdzież? gdzież? z niecierpliwością dopominał się o odpowiedź Damek.

— Ot tam!

Rzuciła ręką we wnętrze drwalni, w progu któréj siedzieli oboje.

— Jak raz! Ambrożowa przyjdzie po trzaski i znajdzie i jeszczeby tam koty twoje nam szkody narobiły!

— Niech robią! niech robią! z wielkiego zapału aż krzyknęła Antka, ja sama im dam...

I odwróciwszy się zawołała.

— Kici! kici! kici!

Damek szturchnął ją pięścią w bok.

— Będziesz ty mnie tu teraz ze swemi kotami bawić się, kiedy na mojéj głowie interes taki... gadajże gdzie? słyszysz?

Dziewczyna ręką brodę podparła. Dumali oboje długo.

— Wiesz? ozwał się Damek, może by....

Resztę dopowiedział szeptem.

Dziewczyna z radości zabębniła nogami o próg drwalni.

— Aha! aha! aha! wołała.

Damek dłonią przycisnął jéj usta. Cicho bądź! jeszcze kto posłyszy!

Upadła na wznak i śmiała się jak waryatka.

— Jak wyśmiejesz się, rzekł Damek, to pójdziesz po Tomka a ja Misia rozbudzę, bo smarkacz już tam gdzieś śpi aż chrapie... Dobrze im! o niczém sobie nie myślą i gotowe im do rąk przyjdzie. Ja zaś wszystko obmyśléć i przygotować muszę...

— A ja, upomniała się Antka.... żebym cię nie namawiała, tobyś sam nie domyślił się... ha?

— To prawda! mnie tylko dziw zkąd ty taka mądra wzięła się...

— Ot! albo to człowiek i uszu nie ma.... odparła z powagą.

W parę godzin po téj rozmowie, cztéry małe cienie, w znacznéj jeden od drugiego odległości, posuwały się szybko pod płotami i ścianami wązkich, bocznych ulic miasta. Ten, który postępował przodem, znikał czasem tak nagle jakby zapadał w ziemię, lecz za nim, w témże samém miejscu znikały i inne, aby po chwili wyłonić się znowu niby z ziemi, na głębokiemi cieniami okrytą przestrzeń warzywnego ogrodu jakiegoś, z którego, otwór w płocie ledwie dostrzegalny, albo wąziuchne za budynkami przejście, wiodły ku innéj znowu ulicy, czasem, w kącie podwórka, w którego nielicznych oknach żadne już nie paliło się światło, cienie te zbiegały się ku sobie na cichą i bardzo krótką naradę, czasem też, jeden z nich brzęknął w biegu pękiem nieuważnie poruszonego żelaztwa, a wtedy wszystkie zatrzymywały się nagle, stały w nadsłuchujących postawach i na najdalszy choćby odgłos kroków ludzkich, znikały kędyś jak widma, możnaby mniemać, że wsuwały się w ściany domóstw lub szczeliny ogrodzeń. Małe były, ciche, lekkie a zostające pod przywództwem tego z pomiędzy nich, który znał, policzył i wybornie pamiętał, wszystkie bramy i podwórza, dziury i podłamy płotów, załomy murów, gzémsy nizko spuszczających się dachów, ławki na których siadywali drzémiąc stróże domów i niedostrzegalne prawie

szczeliny, przez które prześlizgując się lub pełznąc, okrążać je było można.

W godzinę potém, drzwi izdebki Kępy otworzyły się nieco i wsunęła się przez nie głowa Damka, bez czapki, z rozczochranemi włosy i ogniście zarumienioną twarzą.

— Sylwek! Sylwek! zawołał.

W izdebce, oprócz Kępy, Sylwka, Łukasza i staréj Kępowéj, która zdawała się już spać na swym barłogu, nikogo więcéj wieczora tego nie było.

Sylwek wstał z ziemi i wyszedł. Po chwili ukazał się znowu we drzwiach. Śmiał się.

— Dziadźku Łukaszu, zawołał, ani spodziewacie się jaka was radość spotka... Chodźcie szczury! nie lękajcie się! nikt tu was za czupryny nie weźmie!

Wtedy, stał się w izdebce ruch, zamęt i gwar taki, że zrazu, trudno byłoby rozróżnić tam przedmioty i głosy. Antka upadła pośrodku izdebki jak długa i na wznak leżąc a nogami o podłogę bębniąc, zdawała się ze śmiechu dostawać spazmów. Damek, bosy, z dwóch butów na plecach przyniesionych, sypnął po izdebce gradem ślicznych, rumianych jabłek; Tomek, idyotycznie śmiejąc się, rzucił Łukaszowi pod nogi, ogromnego zabitego indora i kilka kółek wędzonych kiełbas; Miś przykucnął przy progu i z pośpiechem świadczącym o apetycie wyrosłym do stopnia głodu, zapuścił zęby w trzymany obu rękami wielki, biały sér.

Od wieczora owego a raczéj od nocy owéj, w podziemiu z małém, okratowaném okienkiem, dziać się poczęły rzeczy dotąd tam niewidziane. W długie jesienne wieczory palił się w żółtym piecyku suty ogień a siwobrody żebrak, z obliczem, któremu zorane czoło i łysa czaszka nadawały wyraz szczególnéj powagi i szanowności, nieustannie gotował tam coś, piekł lub smażył. Czynił on to wszystko z ruchami i mimiką kuchmistrza z profesyi i zamiłowania, a otaczali go mali, lecz gorliwi i weseli pomocnicy, z których jedni, z zajęciem i zadowoleniem niezmierném pomagali mu w przyrządzaniu materyałów kuchennych, inni wymykali się niekiedy z izdebki i po chwili wracając przynosili coraz nowe zasoby. Kędyś, w obszernéj téj a opuszczonéj budowie, zwinne i skrzętne szczury te posiadać musiały swoję śpiżarnię. Znajdowała się ona może nad samą izdebką Kępy, bo ilekroć którekolwiek z małych przyjaciół, z głuchą latarenką w ręku, opuszczało izdebkę, nad sklepionym sufitem jéj, dawały się słyszéć stąpania i stuki poruszanych przedmiotów, wzmagane i powtarzane przez głuche, przeciągłe echa. Zresztą, chodząc, gospodarując, zwijając się, kosztując przyrządzanych jadeł, gryząc

jabłka, séry lub bułki, szczury te bawiły się wybornie. Radość i rozweselenie tryskały z twarzy ich, objawiających też niekiedy ten rodzaj skupionéj powagi, z którą małe dziewczynki ubiérają lub do snu kołyszą lalki a mali chłopcy, udając dorosłych, dosiadają drewnianych koni. Możnaby mniemać, że wszystkie czynności swe tak zadomowe jak gospodarskie spełniały one nietyle jeszcze dla nasycenia głodu lub łakomstwa jak dla rozrywki i zabawy. Z pomiędzy wszystkich, Antka była w porze owéj najszczęśliwszą. Przyprowadzała bowiem z sobą żółtego kotka swego i opychała go żywnością, więcéj zajmując się karmieniem jego niż siebie samćj; we dni zaś siedząc na dachu drwalni wyprawiała całéj gromadzie ulubieńców swych, istne uczty, rozdzielając pomiędzy nich przysmaki za koszulą i w fartuchu przyniesione. Nigdy też koty nie objawiały względem niéj tak żywéj czułości i nigdy tak szalonych harców wkoło niéj nie dokonywały; z czego była ona tak uszcześliwioną, że gdyby nie nadzwyczajna akrobatyczna zręczność, którą we wszystkich członkach swych posiadała, byłaby nieraz, w przystępach szalonego śmiechu, z dachu na bruk dziedzińca upadła.

Zkąd przecież wzięły się w podziemnéj izdebce, potrzebne dla sporządzania obfitéj żywności, naczynia i narzędzia? Zkąd wziął się tam niewielki samowarek, imbrykiem ukoronowany a przed ogniem często kipiący i szumiący? Jakim sposobem dostarczano tam sobie dzbanów napełnionych piwem, których, zwinne i wesołe szczury z nocnych wycieczek swych, nie przynosiły? Były to już owoce pracy i przemysłu siwobrodego żebraka, który od czasu do czasu, śród najuboższych rynków miasta, albo w domach średniéj zamożności, gdzie oddawna znano go i lubiono, z pod sukiennego swego, połatanego płaszcza wydobywał różne przedmioty żywności, zabite indory lub zające, garnki masłem napełnione itd. żałośliwym głosem błagając, aby je za byle co, za groszynę jaką, kupiono. Kupowano też, najprzód dla tego, że sprzedawał za bezcen, następnie, aby uczynić przysługę biédakowi, którego obdarzył ktoś przedmiotem tak dla niego niestosownym i nieużytecznym. Naturalnie, były to wszystko dary, przez niezręcznych dobroczyńców jakichś ofiarowane starcowi wyglądającemu tak szanownie, że powierzchownością swą przypominał on ludziom Patryarchę Noego a umiejącemu za oddaną mu przysługę dziękować tak żarliwemi modlitwy i wymownemi słowy.

— Abyś ich na prawicy swojéj w towarzystwie wybranych twoich postanowić raczył, Ciebie prosimy.... cienkim swym, starym, chrypiącym głosem zawodził Łukasz, oddalając się zwolna do tych,

którzy go ze srogiego wydźwignęli kłopotu,—a długa srébrna broda jego trzęsła się od wewnętrznego śmiechu.

Nie od razu jednak, eks-stróż cmentarny zgodził się na przyjmowanie udziału w ucztach, przez małe szczury, w podziemnéj izdebce wyprawianych. Z razu, doświadczał on pewnych skrupułów, wyrażanych pełném powątpiewania wstrząsaniem głowy i półgłosem wymawianemi słowami.

— Oj biéda! co ja tu pocznę! umiérając mówiła do mnie: daj obietnicę!.... Biedna moja Nastaśka... kobiecina moja, z którą żywot ten mój doczesny spędziłem... mówiła: daj obietnicę!... Dałem. Jak nie dotrzymam, duszyczka jéj zmartwi się i nawiedzić mię jeszcze gotowa.... Uf!

Wstrząsał się. Widać było, że *duszyczek* nawiedzających ludzî żywych bał się okrutnie i że wspomnienie o zmarłéj żonie roztkliwiało go i zasmucało. Wstrząsał się ze strachu i wzdychał z żałości, a oczy mu aż paliły się i ręce drżały do przedmiotów, które dzieci ze śmiechem i swawolą pchały mu w ręce, rzucały pod nogi i na kolana, wołając. Macie! macie! jedźcie! zgotujcie! usmażcie!

A zajadały same aż im szczęki latały i policzki wydymały się do potwornych rozmiarów. Łukasz, powtarzał półgłosem.

— W téj ostatniéj godzinie mojéj.... powiedziała... daj mi obietnicę, że cudzego nie poruszysz.... Rzekłem jéj: tak mi Panie Boże dopomóż, w ostatniéj godzinie mojéj....

Lękliwe spojrzenia rzucał dokoła i szeptał. Kiedy Chrystus Pan pokaże się na obłokach i podzieli ludzi na kozły i barany....

Siwe brwi jego zsuwały się i jeżyła się nad łysą czaszką szczypta białych włosów. Brał czoło w dłonie i lamentować zaczynał.

— Oj Nastasiu! Nastasiu! czemuś ty mię odumarła i biédnego sierotę na świecie tym zostawiła.... Ani mi teraz u kogo poradzić się, ani przy kim serca strwożonego uspokoić.... Wieczne odpoczywanie racz jéj dać panie a światłość wiekuista....

Piérwszy wieczór zszedł cały na wahaniach się tych, trwogach i lamentach. Wpływ Anastazyi, która za życia, łajaniem i kułakami, może téż wierném przywiązaniem swém utrzymywała męża w granicach trzeźwości i uczciwości, i teraz jeszcze w zupełności nie zniknął. Słabą jest przecież moc umarłych nad żywymi; słabą i łatwo poddającą się pokusom bywa natura ludzka.

— Do królestwa niebieskiego droga daleka i przez czyściec wiodąca!... zawołał nazajutrz Łukasz i z rozpaczliwą decyzyą zabrał się do używania darów bożych, tak obficie dokoła niego zgromadzonych, że aż ręce mu się trzęsły a wargi w rozkosznym uśmiechu

otwarte drżały, gdy czynił pomiędzy niemi wybór i ku wspólnemu z otaczającymi ich używaniu, przyrządzać je zaczynał.

— Sylwek! jédz! wołały uprzejme, bo nad wyraz rozweselone szczury, do młodego chłopca, który na katarynce swéj siedząc, skrzypce Kępy w ramionach trzymał i usiłował wybrząkać na nich piosnkę jakąś, którą niedawno gdzieś zasłyszał a od dwóch dni nieustannie półgłosem nucił.

Nie wzdragał się bynajmniéj. Gdy był głodnym, gryzł białemi zębami bułki, séry i suche mięsiwa a wciąż przygrywał na skrzypcach, lub przerywając jedzenie, pamięci swéj dopomagał nuceniem. Nie wybredzał jednak i nie przebierał; chwytał pierwszą lepszą żywność, zjadał ją prędko i łakomie, czasem nawet wcale jeść nie chciał. Nie głodnym, mówił; na mieście podjadłem a co mi z tego opychania się przybędzie?

— Sylwek! chodź ty jutro z nami... wspinając się na palce szeptał mu do ucha Damek; tam... w jedném miejscu, tak wiele, tak wiele wszystkiego... że nie udźwigniem... pomożesz!

I chichocząc z cicha, pokazywał mu starannie za surdutem ukryty pęk wytrychów. Sylwek obojętnie wzruszał ramionami.

— A mnie to po co? odpowiadał. Wam... co innego... byle nazrzéć się i przytém... swawola! Mnie, rąk w tém maczać nie warto... ja, nie tego żądam!

— Dziadźku Szymonie, zwracał się ku gospodarzowi izdebki, coście tak zmarkotnieli i siedzicie jak mruk gęby nie otwierając..... ja tylko uszy nastawiam i czekam kiedy gadać zaczniecie!

Kępa zmarkotniał istotnie. Siadywał wieczorami na staréj skrzyni tak zapalczywie łatając stare obuwie, które mu do odnawiania dawali różni uliczni i szynkowni przyjaciele jego, że możnaby myśléć, iż pragnął ślepym być i głuchym na wszystko co go otaczało. Milczał też. Tak wymowne i gadatliwe zwykle usta jego, zamykać zdawał się uśmiech przykry i krzywy, pełen smutku i niesmaku, podnosił czasem twarz, spoglądał przez chwilę na gromadkę wirującą w ciasnéj izdebce na kształt pszczół w ulu i boleśnie wstrząsając głową, półgłosem mówił do siebie.

— Jakże silném jest ciało człowieka a duch jego słabym! O, zepsuta aż do dna naturo ludzka! jakże ci trudno przekroczyć stopnie nizkich pożądliwości cielesnych a wznieść się ku szczytom kędy panuje duch... miłość... idea!

Czasem z przymusem widocznym i smutkiem głębokim mówić zaczynał.

— Pełném jest serce moje pobłażliwości dla maluczkich i cierpiących; nie mogę jednak zataić przed wami, drodzy moi, że to co

czynią biedne te ofiary niesprawiedliwości i samolubstwa ludzkiego, bynajmniéj użytecznėm nie jest dla dzieła, którego wszyscy tu robotnikami jesteśmy, albo być chcemy... Nie takiemi, nie takiemi drobnemi środkami, walczyć nam trzeba. Nie tajemnych i drobnych zdobyczy potrzeba nam, bracia moi, lecz olbrzymich pomysłów, któreby jak nowe słońca zajaśniały nad ziemią i wielkich katastrof, któreby aż do dna wstrząsnęły sumieniem ludzkości...

Do owych, jak się wyrażał, drobnych środków służenia idei jego, któremi posługiwały się małe szczury, oprócz uznania ich bezpożyteczności, uczuwał wstręt głęboki, choć milczącéj pobłażliwości pełen. Nigdy téż, żadne prośby i namowy, nie zdołały skłonić go do przyjęcia najlżejszego udziału, w odbywających się dokoła niego ucztach. Niekiedy, widocznėm stawało się, że pożądliwości ciała, odzéwały się i w nim także z mocą wielką. Mimowoli i nieprzezwyciężenie, wzrok jego odrywał się od grubéj spełnianéj roboty a ukośnemi spojrzeniami biegł ku smażącym się mięsiwom lub rozsypanym na podłodze rumianym jabłkom a z za stérczących końców czerwonawéj chustki widać było jak kościste gardło jego pracowało w ciągłém przełykaniu śliny. Wyszukiwał wtedy pomiędzy papiérami i szewieckiemi narzędziami kawałek zeschłego czarnego chléba, który zanurzał w garnku z wodą i jedząc zwolna, łagodził sobie tantalowe męczarnie spoglądania na żywność, któréj tknąć nie chciał.

— Czyniłem tak od najwcześniejszéj młodości mojéj, mówił, odmawiałem sobie wszystkiego, umartwiałem się, zwyciężałem ciało moje.... I dla tego to, wierzcie mi, duch mój wzrósł i spotężniał, dla tego stałem się takim.... jakim jestem!

Podnosił głowę i długą swą bladą rękę przyciskał do piersi z takim na twarzy wyrazem, że widać było, iż radosne poczucie wielkości własnéj dopomagało mu niezmiernie do przenoszenia bólu kurczących się z głodu wnętrzności.

Nikt mu sprzeciwiać się ani zaprzeczać nie myślał; owszem, patrzące nań i słuchające go istoty ludzkie miały go téż za wielkość niedościgłą i niezupełnie im zrozumiałą, wywierającą przecież na nie wpływ pociągu, potężny przez zaspakajanie tysiąca ich ciekawości, przez drażnienie tysiąca pragnień ich i żalów. W całém otoczeniu człowieka tego, zwiększającém się niekiedy ludźmi, którzy przybywali tu z ulicy, siadali w kątach izby, palili fajki, słuchali go i podziwiali, jedna tylko zgrzybiała żebraczka, ze zczerniałą skórą na twarzy i rękach, zdawała się przedstawiać duch sprzeciwieństwa i objawiać powagę względem tego, który dla wszystkich innych, sam był uszanowanie budzącą powagą. Od pierwszego zaraz wieczora, w którym małe szczury ściągać zaczęły do izdebki obfite spiżarniane

zapasy, stara Kępowa, przestała gdérać i wyrzekać i jednym tylko, ale często powtarzającym się gestem, rozmawiała z synem. Z rana, zbudziwszy się i usiadłszy na swym barłogu, patrzała na niego dopóty, dopóki nie zwrócił ku niéj spojrzenia. Wtedy, milcząc, podnosiła wyschły swój, czarny palec i trzęsła nim w powietrzu zawzięcie a długo. Z gestem tym, wchodziła zawsze z ulicy do izdebki; wieczorami zaś, wychylając się z kąta swego, wlepiała w syna mgliste, spłowiałe źrenice swe i pochwytywała każdą sposobność, aby wznieść znowu palec i trząść nim dopóty, aż spuścił lub odwrócił oczy. W milczącym geście tym skieletowatéj jéj ręki i w uroczystym wyrazie okrywającym wtedy skurczoną, bezzębną jéj twarz, wyczytać można było rozpaczliwe upominanie i ponurą groźbę.

Nie każdego jednak wieczora ucztowano i bawiono się w sklepionéj izdebce. Owszem, zdarzały się często i takie, w których dzieci przychodziły blade, zziębłe, z pustemi rękami. Wtedy, Antka nawet nie śmiała się już i nie przyprowadzała z sobą swego kota. Smutne i znudzone siadały jak najbliżéj pieca i w milczeniu zdawały się oczekiwać na coś, na sen może, który jednak nie chciał sklejać powiek cierpiących i zdenerwowanych tych istot. Dla Kępy przecież wieczory takie były istnemi festynami. Opuszczał on wtedy szewiecką swą robotę a swobodny od wstrętów i umartwień uczuwanych w wesołéj dla innych porze uczt, przysuwał jedyny stołek swój do pieca, w którym żarzyły się węgle i oddawał się cały rozkoszy karmienia głodnych i nauczania nieumiejętnych. Piekł kartofle i rozdawał je dzieciom; które skupiały się u kolan jego i tak łakomie wyciągały po nie ręce, że rzadko bardzo mógł donieść do ust własnych część skromnego pożywienia tego. Tym razem także doświadczał uczucia, które tak jak w chwilach innych uznania wielkości własnéj, łagodziło mu głód i pozwalało przenosić go z łatwością. Było to uczucie nieskończonéj litości nad małemi istotami temi, a może też i ten rodzaj uszczęśliwienia z jakiém aktorowie wyobrażają siebie samych w ulubionych pozach swych i rolach. Wygrzebując z popiołu kartofle zamyślał się chwilami i w jeden punkt wpatrzony uśmiechał się błogo. W wyobraźni swéj, widział wtedy siebie samego karmiącego własnemi rękami gromadkę maluczkich i cierpiących, do kolan jego przytuloną i obraz ten znajdował czarująco pięknym i wzniosłym.

— O! wołał w uniesieniu, przyjdzie czas, w którym rozstąpią się i rozszerzą ściany wszystkich ciasnych i ubogich mieszkań a napełnią je twarze wesołe, nasycone, pogodne jak dzień wiosenny i serca niewinne, kochające się, wolne od zgryzot, zawiści i smutków wszelakich.

— Za pozwoleniem, przerwał gruby głos wychodzący z ciemnego kąta tego, z którego też wysuwały się brudne kłęby dymu palonéj fajki; za pozwoleniem, żeby wszystkie izby poprzemieniały się w pałace i nikt już żadnego smutku ani żadnéj zgryzoty nie miał, to trzeba chyba, żeby wszyscy ludzie na świecie zrobili się bogatymi...

— Naturalnie, odparł Kępa; wszyscy też opływać będą we wszystko. Kiedy nastąpi równy podział bogactw pomiędzy równymi sobie ludźmi, znikną zbytki, ale też znikną nędza i ubóstwo, nie będzie pokus, które psują jednych, ani cierpień, które przegryzają wnętrzności innych... Duch człowieczy uwolniony od trosk i więzów ziemskich wzniesie się...

— Aha! zawołał w kącie innym piskliwy głos niewieści, gdyby to wszystkie dusze wznieść się chciały do Boga najwyższego i naśladować życie Pana naszego Jezusa Chrystusa i Matki Jego Maryi Panny. Ale czy to grzech zniknie kiedy z tego świata! a z przeproszeniem pańskiém dopóki będzie na świecie grzech, dopóty będzie i bieda... Ot na ten przykład: mój nie statkuje, łajdaczy... żeby tam jemu największe bogactwo dać nie ustatkuje się... taka jest natura jego...

— Natura ludzka, dobra kobiéto, zmieni się, zagrzmiał Kępa, ja wam mówię, że zmieni się... Człowiek nie do grzechu stworzony, ale do cnoty, nie do nienawiści ale do miłości. Wiem to z doświadczénia własnego. Miłości pełen byłem a nienawiści nie było we mnie ani kropli. Dziś nienawidzę ludzi niektórych... dla czego? Bo jad ten grzechami swemi w serce moje wleli. Gdyby nie zło od nich doświadczone, czysty byłbym jak kryształ a niewinny jak tylko co urodzone dziecię. Widzisz więc, dobra kobiéto, że złego nie ma na świecie. Zło jest wytworem ludzkim, a co ludzie zrobili to i odrobić mogą. Wszak zegarmistrz, który do zrobionego przez się zegara wstawił sprężynę złą, może wyjąć ją i zastąpić dobrą? prawda? Tak samo i człowiek. Włożył on w siebie grzech, może go z siebie wyjąć... nic nawet łatwiejszego; trzeba tylko, żeby go kto nauczył jak ma to uczynić...

W cieniu zaszemrało parę głębokich westchnień.

— Otóż to, z wahaniem w głosie wymówił człowiek jakiś, którego młoda, lecz wyniszczona i na chudéj długiéj szyi osadzona twarz wysuwała się z ciemności, pod światło łojówki. Otóż to... niby to prawda co pan mówi. A jakże! kto zrobił, odrobić może... ale jakim sposobem to zrobić... ot?

— Sposób na to jest tylko jeden i bardzo łatwy, bracie mój, nauczał Kępa; trzeba, żeby wszyscy ludzie byli zadowolonymi, zadowolonymi doskonale we wszystkich potrzebach swych, żądaniach,

skłonnościach i namiętnościach... Żądania, skłonności i namiętności ludzkie nie są nigdy złemi, bo tworzy je doskonała i nieomylna natura. Stają się one złemi wtedy tylko, gdy zadowolenia nie znajdują, czyli, gdy podlegają uciskowi i niesprawiedliwości. W czasach przyszłych, w czasach, które przybliżyć przez całe życie me usiłuję, człowiek każdy mieć będzie wszystko co lubi, co mu się podoba, czego natura jego potrzebuje, używać mu będzie wolno wedle własnego wyboru uciech ciała czy ducha, serca czy wyobraźni... Stoły obficie zastawione pokarmami i napojami oczekiwać będą tych, którzy grubsze posiadając organizmy oddawać się zechcą uciechom jedzenia i picia. Wzniośli i poetyczni zaspokoją pragnienia swe płynącemi wszędy potokami muzyki i poezyi; czułych i pożądających rozkoszy miłosnych otoczą roje dziewic i niewiast cudnych a swobodnych też jak motyle i żadną niewolą nieskrępowanych. I tak daléj, i tak następnie, i tak bez końca. A gdy wszyscy w ten sposób zadowolonymi się uczują, gdy skłonnościom ich, pożądaniom i namiętnościom, sztuczne ustawy i obrzydłe niesprawiedliwości przeszkody stawić przestaną, zkądże wtedy powstanie grzech? Powiedzcież mi, bracia moi? Kędy będzie mogło ukrywać się wtedy źródło grzechu? jakim sposobem, zkąd, dla czego miałby istniéć wtedy grzech?

Roztworzył ręce jak człowiek ze zdumieniem najwyższym o coś zapytujący i toczył dokoła wzrokiem pełnym doskonałéj, dziecięcéj, cieniem wątpliwości niemąconéj wiary.

— Tak to tak; ślicznie pan mówi i przepowiada; ozwał się znowu głos, od czasu do czasu ssaniem fajki przerywany; ale na ten przykład: kobiéta moja ot! piękna jak lanszaft i nie ma co powiedziéć, gospodyni dobra... tylko że strasznie lubi szczerzyć zęby do kawalerów i śmieszki różne a szeptania z nimi prowadzić... Tłukę też za to i ją i kawalerów, co się zmieści... Jeżeli i w tym tam czasie, o którym pan mówisz tak samo postępować sobie będzie, jak Boga kocham, tłuc będę... i ot będzie zgryzota i grzech... choć może i nie grzech, bom przecie żonkę dla siebie nie dla kogo brał... ale zgryzota pewnie...

— Albo mój! albo mój! zakrzyczał w kącie innym piskliwy głos niewieści; im więcéj jeszcze wódki staw, tém więcéj będzie jéj żłopał... i kiedy te tam stoły z jedzeniem i napojami staną już na tym świecie, tak mi Panie Boże dopomóż, że ani na minutę trzeźwym nie będzie...

Kępa spochmurniał i po chwili przemówił.

— Nie zrozumieliście myśli mojéj, w całéj rozciągłości jéj i głębokości. Mówiłem przecież, że natura ludzka zmieni się do dna, stanie się z nią, jako z szatą, którąby ktoś nosił podszewką na

wierzch... W godzinie odrodzenia, ludzkość ujrzy, że podszewka ta brudna i poplamiona, odrzuci więc ją ze wstrętem a przyodzieje się w purpurę i złotogłowie. Bo i któż, drodzy moi! mogąc nosić purpurę i złotogłowie zechce przyodziewać się brudnym i poplamionym łachmanem? prawda? A gdy odmieni się na téj ziemi wszystko a wszystko i człowiek téż odmienić się musi? prawda? W tém rzecz, ażeby się wszystko odmieniło... o naturę ludzką bądźmy spokojni; zmieni się ona w oka mgnieniu i na całéj kuli ziemskiéj nie pozostanie ani jedna niewiasta, skłonna do niewierności, i ani jedno oko, któreby na nią spoglądało pożądliwie, wtedy gdy przez innego ukochaną już ona została; nie pozostanie téż ani jeden duch tak nizki, aby oddawał się pijaństwu i tym podobnym zwierzęcym uciechom i ani jeden umysł tak słaby i ciasny, aby nie zrozumiał dobroczynności cnoty i nie poprzestał na tych rozkoszach, które tryskają z prawdy, dobra i piękna...

Tym razem, słuchacze jednogłośnie prawie westchnęli. O, jakże różnym troskom ich i dolegliwościom schlebiała nadzieja, że wkrótce nie będzie już na ziemi ani żon niewiernych, ni mężów pijaków, ani grzechu żadnego, który zawsze jednak niepokoi nieco człowieka i na tym świecie do turmy a na tamtym do piekła zawieść go może! Ktoś przecież, przedstawił mistrzowi jednę jeszcze wątpliwość.

— A jak wszystko odmieni się i wszyscy zrobią się bogaci kto wtedy będzie pracował? Bogaty nie pójdzie ziemi orać, ani drzewa rąbać, ani butów szyć... za nic nie pójdzie! pocóżby jemu?

Kępa odpowiedział.

— Praca rąk zniknie z tego świata jak wszystko co ciężkie, przykre i bolesne... Spełniać ją będą maszyny... Człowiek pracować będzie tylko myślą i sercem!

— Oj, oj, oj! zawołała z kąta kobiéta, mężem pijakiem stroskana; już niech co chce będzie, *taki* my nieszczęśliwe kobiéty dzieci hodować i z niemi srogą pracę a utrapienia mieć będziem...

Tu Kępowa z nad barłogu wychylając głowę i trzęsącym się palcem na syna wskazując krzyknęła.

— I takich durniów jak ty w srogich boleściach rodzić będziem...

Kępa pochylił nizko głowę i zamyślonym głosem mówić zaczął. Niewinięta, których pielęgnowanie oblewa potem czoła matek i z oczu ich łzy wyciska, przyjmie na potężne ramiona swe społeczeństwo; zgrzybiałych starców, którzy obciążają kroki i trują dni dojrzałych mężów, szerokiém swém skrzydłem okryje, społeczeństwo. Z ramion i nóg człowieka spadną wszystkie ciężary i wszystkie więzy; ojcem i matką, bratem i siostrą, dziecięciem i przyjacielem, będzie mu ludzkość.

W ten sposób, z kartoflem upieczonym w jednéj ręce, że szczyptą soli w drugiéj, nauczał i z wiernymi swymi rozprawiał Kępa. Wychudłą dłonią swą gładził on przytém od chwili do chwili rozrumienioną pod ciepłem żaru a pożądliwie na kartofel patrzącą twarz Antki, albo wkładał pożywienie w nadąsane i po ptaszęcemu otwierające się usta Misia.

Jeden z uczniów jego nie bywał przecież obecnym wieczornym tym scenom.

Maurycy Lirski, nie mogąc pogodzić się z towarzystwem, które wieczorem znalazł był raz w sklepionéj izdebce, odwiedzał nowo poznanego mistrza w południowych godzinach. Rozmawiali z sobą codzień prawie i długo ale sam na sam.

VI.

Spokojna i łagodna Placyda Lirska nie mogła dosyć oddziwić się nowemu całkiem usposobieniu, które od czasu pewnego w synie swym spostrzegała. Nigdy dotąd nie wpadał on w tak długie zamyślenia i zarazem nie miał tak ożywionego, często nawet wzruszonego wyrazu twarzy. Prawda, że nigdy też tak jak teraz nie poniewierał matką, lecz cóż znaczyć dla niéj mogły osobiste przykrości lub upokorzenia, w obec zadowolenia i dobréj zabawy syna! Że w czasie nieobecności swych w domu, trwających codziennie prawie i w południowéj porze dwie lub trzy godziny, bawił się on wybornie, świadczyły o tém niezwykłe rumieńce i blask oczów z jakiemi do domu powracał. Okazywał się też teraz bardziéj obojętnym niż dawniéj na drobne wygódki i przyjemnostki codziennego życia a nawet w obojętności téj dosięgał takiego stopia wspaniałomyślności, iż zaniedbywał czynić matce wyrzuty za niedostateczną ilość przypraw w potrawach, brak starego wina przy stole lub niedość wytworne wyprasowanie bielizny i krawatów.

— Mniejsza o to, mówił z gestem pobłażliwości pełnym gdy matka przepraszała go za niemożność dogodzenia zwykłym jego gustom i wymaganiom; mniejsza o to! cierpiał człowiek już tyle, pocierpi jeszcze trochę! wkrótce będzie z nami inaczéj, zobaczy mama. W kącie siedząc i całe życie tylko o gospodarstwie myśląc, mama ani wyobraża sobie co to się na szerokim świecie robi, no, nie robi się jeszcze, ale przygotowuje... ho, ho, ucho nie słyszało, oko nie widziało, co się to na świecie wkrótce dziać zacznie. Zmiany, zmiany ogromne, kapitalne, żaden kamień leżéć nie będzie tak jak leży teraz, żaden człowiek żyć tak nie będzie jak żyje teraz. Świat zrobi

się jak huśtawka, ci co teraz na dole, fiut! pójdą na górę, a ci co na górze...

— Jezus Marya! Morysiu, co ty wygadujesz. Cóż to się stanie takiego? Czy, broń Boże, uczeni trzęsienie ziemi, albo przejście komety zapowiadają?

— O, będzie trzęsienie, z uroczystą miną odpowiadał Moryś, będzie im trzęsienie... zatrzęsą się! Mówię mamie, że wielkie rzeczy przygotowują się na świecie, ale jakie? tego powiedzieć nie mogę, za nic nie mogę!

Z ciekawością i niepokojem Lirska prosiła syna, aby jéj przerażające przepowiednie swe wytłómaczył. Moryś wstawał z krzesła, wznosił wysoko pełne dumy czoło i z tajemniczą uroczystością odpowiadał.

— Jest to tajemnica. Przysiągłem, że ją nie zdradzę, a miałbym jeszcze przed kim mówić! Przed mamą! żebyś mama zaraz z językiem poleciała do wujowstwa.

— Mój Morysiu, zlituj się, alboż ja gdzie kiedy z językiem latam...

— Kiedy powiedziałem, że nie powiem, to nie powiem i proszę mnie darmo nie nudzić! To tylko wolno mi jest przed mamą wyjawić, że...

Tu schylał się nad matką i z cichym śmiechem kończył.

— Że wujaszeczek kochany wkrótce cienko zaśpiewa... oj, cienko!

— Jezus Marya! wołała Lirska, za cóż ma on cienko śpiewać, dobroczyńca ten nasz i taki zacny człowiek!

— Aha! wszyscy ci zacni i wielcy Krezusy cienko zaraz zaśpiewają. Dosyć nażyli się i nażywali, pora teraz i nam do uczty życia zasiąść i potrzebom, które wlała w nas nieomylna natura zadość uczynić. Ludzie są równi sobie i tylko niesprawiedliwość wielka sprowadzić mogła na tę ziemię wszystkie złe i przykre rzeczy. Kiedy wszystko na świecie przewróci się do góry nogami, wtedy dopiéro zapanuje prawdziwy raj...

Używał teraz w mowie swéj wyrażeń, których dawniéj, przed spotkaniem z Kępą, nie zrozumiałby nawet. Widoczném było, że powtarzał to, co mu kędyś przez kogoś powiedzianém zostało. Był jednakże silnie i szczerze przejętym, świéżo zdobytemi wiadomościami a pełnym istotnego zapału dla nadziei, które w nim obudzono, i pomysłów, które przed nim odkryto. Wzrok jego, zatrzymujący się dotąd na najbliżéj umieszczonych i najściśléj związanych z nim samym drobnych przedmiotach, olśnionym został perspektywą, która nagle i po raz piérwszy w życiu jego roztworzyła przed nim pełne

obietnic swe głębie. Do pustéj głowy téj, wiedziona tam nicią osobistych żądz i zażaleń, po raz piérwszy zawitała idea i upoiła ją, jak narkotyk sprowadzający rozkoszne sny. W najmniejszym stopniu nie zostawał on w możności dokonania krytycznéj analizy nad ideą tą i wszelkiemi składowemi jéj częściami; widział tylko przed sobą świat jakiś inny, nowy, raj, w którym drzewa rodziły pasztety i bifsztyki, fontanny tryskały najwytworniejszemi winami, stawy i jeziora, zamiast lodem, napełnione były srebrzystém punch-glacé; raj w którym mnóstwo dziewic, jak krople wody podobnych do kuzynki Aurelii, wyciągały ku niemu miłosne ramiona: w którym skromne nazwisko jego wymawianém było przez ludzi z taką samą uszanowania pełną intonacyą głosu jak dziś wymawianemi były nazwiska wuja jego i równych mu „wielkich tego świata.“ W snach i na jawie, nerwami i wyobraźnią uczuwał on przedsmaki wszystkich tych niewysłowionych rozkoszy zmysłów i próżności; i błogosławił dzień, w którym spotkał się z Kępą a wiernym uczniem i gorliwym pomocnikiem nieocenionego męża tego być, święcie i szczerze sobie przyrzekał.

Piérwszą przysługą, którą miał oddać mistrzowi swemu, było dostarczenie mu wiadomości o miejscu zamieszkania i nazwiskach, pewnéj, znacznéj liczby rodzin możnych, bądź stale zamieszkujących miasto, bądź doń na zimę przybyłych. Kępa powtarzał mu po wiele razy, że ogłoszenie drukiem wielkiego dzieła jego, przyspieszyć może znakomicie odrodzenie się świata. Tak czy inaczéj, z tém czy bez tego, świat odrodzić się musi, mawiał; lecz gdy tylko myśli moje żywym potokiem rozleją się śród ludzkości a każdy kto tylko zapragnie będzie mógł się zeń napić, wnet prawda jak słońce stanie się jasna każdemu i wszystkim... Wielcy, kto wié? dobrowolnie może zmaleją a maluczcy podniosą głowy i wyrosną!

Morysiowi, tego tylko było potrzeba, aby wielcy zmaleli a maluczcy wyrośli, jakkolwiek bowiem nie poczytywał siebie bynajmniéj za maluczkiego, to jednak nie mógł nie zeznawać przed sobą, że za sprawą niepojętego a jak dziś wiedział już dokładnie, obrzydle niesprawiedliwego trafu, był on znacznie mniejszym od wielu innych na świecie tym ludzi a pewnie już i srodze nawet cierpiącym. Wierzył Kępie bezwarunkowo. Ze czcią, podobną zapewne téj z jaką ludy piérwotne spoglądają na cudotwórcze fetysze, spoglądał na okrywające skrzynię arkusze rękopisu. Z udzielaniem jednak żądanych wiadomości zwlekał nieco. Znał on trochę ludzi tych do których Kępa udawać się zamierzał, spotykał ich od czasu do czasu u wuja i gdzieindziéj i coś mu szeptało, że... nie tacy to oni, żeby tak zaraz zrozumiéć mogli sprawiedliwość i dobrowolnie zmaléć! Pewnego wieczora jednak dążył ku staremu gmachowi szybkim bardzo

krokiem i z niezwykle rozognioną twarzą. W dniu tym doświadczył ciężkiéj obrazy i zgryzoty. Tytus Tarżyc dawał proszony obiad, jego zaś nie zaprosił. Nie zmartwiłoby go to i nie obraziło jeszcze tak srodze, gdyby nie wiadomość, którą kędyś w garderobie czy kredensie wujowstwa wyszperał, że na obiedzie tym ma być pewien młody i bardzo przystojny krezus, w kuzynce Aurelii zakochany i zamierzający podobno oświadczyć się o jéj rękę. Dreszcz trwogi i płomienie gniewu ogarniały Morysia, gdy myślał, że wprzód, zanim świat się odrodzi, kuzynka Aurelia poślubić może Krezusa i w skutek sztucznych ustaw przez zepsutą naturę ludzką wytworzonych, czyli w skutek więzów małżeńskich połączonych z przesądami o wierności i czystości niewieściéj, zostanie dla niego na wieki straconą. Postanowił tedy iść do Kępy i przynaglić go do szybkiego działania. Niech sobie, myślał, poprobuje szczęścia u tych objadaczy świata... Jeżeli trwać będą w pysze i samolubstwie swém, człowiek z taką nauką i wymową wynajdzie inny jaki sposób prędkiego sprowadzenia na świat sprawiedliwości... O! wynajdzie najpewniéj! Głowę ma nie do proporcyi przecież, kiedy tyle arkuszy zabazgrać potrafił! Phi! żeby mi kto kazał tak dużo pisać, dalibóg, wyrzekłbym się nawet... lepszéj przyszłości świata!

Jakkolwiek nigdy inaczéj nie odwiedzał Kępy, jak o białym dniu, w godzinach, w których był pewnym, że koledzy jego, do téjże co i on szkoły uczęszczający, bywają tam nieobecnymi, tym razem przecież tak mu było pilno, zaczerpnąć w pierś nieco pociechy i nadziei a Kępę do działania przynaglić, że ku zrujnowanemu gmachowi dążył dość późnym nawet wieczorem. Gdy wszedł w zaułek i zbliżył się do *handlu* Chaima, ogarniać go począł niepokój pewien. Skrzepiał się jednak na duchu tém, że noc była księżycowa, widna a pośród warstwy śniegu, spadłéj dnia tego, każdy najdrobniejszy przedmiot, zdala już wybornie dojrzéć i rozpoznać było można. Odważnie też i krokiem pewnym zstąpił z kilku wschodków do podziemia wiodących i wszedł na wązki, krótki korytarzyk, w którego głębi znajdowały się niziutkie drzwiczki, do izdebki Kępy wiodące. Nagle-przystanął. O ucho jego obiły się szmery jakieś, które dla tego może zwróciły jego uwagę, iż we wnętrzu swém uczuwał wciąż lekkie, lecz ostrożność budzące, drżenie trwogi. Po chwili jednak uspokoił się zupełnie. Wyraźnie rozeznał, iż szmery zasłyszane były niczém innėm, tylko sapaniem i chrapaniem dwóch, trzech a może i większéj ilości uśpionych osób. W mgnieniu oka niepokój jego zastąpionym został przez ciekawość.

— Jak Boga kocham! szepnął do siebie, gdzieś tu, w téj ruderze, jest jakiś sypialny pokój... ciekawym bardzo czyj!...

W korytarzyku, wieczora tego ciemno nie było. Rozwidniała go struga księżycowego światła, spływająca z góry, przez długą ukośną szczelinę, pośród któréj rozeznać można było osrebrzone wschodki, na górne piętro rudery wiodące. Cicho, ostrożnie, na palcach nóg, Moryś począł na wschodki te wstępować. Im daléj szedł, tém wyraźniéj senne oddechy ludzkie świadczyły mu, że kędyś, na górze, znajdowało się kilka osób w głębokim śnie pogrążonych. U szczytu wschodków stanął jak wryty i ze zdziwienia roztworzył usta. Przed nim, przed otworem w którym stanął a który niegdyś był drzwiami, rozkładała się obszerna przestrzeń napełniona księżycowém światłem, obficie płynącém przez kilka ogromnych szyb pozbawionych okien. Była to wielka sala, niegdyś może do tańca i wielkich przyjęć służąca, dziś pusta zupełnie, tu i ówdzie przegrodzona belkami i deskami opadłemi z sufitu i tkwiącemi w wyżłobionych przez się dziurach podłogi. Tu i ówdzie na ścianach wysokich i pajęczynami jak festonami pookrywanych, pod światłem księżyca połyskiwały niestarte jeszcze złocenia i farby; z dziurawego miejscami a miejscami wydymającego się w dół sufitu, zlatywać zdawały się Amorki i spadać różowe wieńce. W obszernéj i pełnéj światła mięszających się z cieniami pustce téj, ciekawe i zarazem lękliwe nieco spojrzenie Morysia rozeznało naprzód, wychylającą się z pod szmat sukiennych a na garści słomy wspartą, głęboko uśpioną, siwobrodą głowę starca. U stóp ściany, po któréj spłowiałém siném tle, migotały tu ówdzie złocone gzygzaki, głowa ta spoczywała na nędzném swém posłaniu, w pełnym majestacie starości, połączonéj z niezmąconą pogodą ducha. Łysa czaszka starca połyskiwała pod zdającą się ją głaskać, smugą księżyca, na zoraném czole, osiadła duma niby długiego a nieskazitelnego żywota, zwiędłe wargi otwiérały się pełnym łagodnéj dobroduszności uśmiechu a wypływały z nich przeciągłe chromatyczne gamy chrapania. Oprócz głowy téj widać było jeszcze pomarszczoną rękę, wyciągniętą na słomie i pomimo uśpienia silnie trzymającą łyżkę drewnianą, nie zupełnie jeszcze oschłą z tłustéj strawy. W pobliżu szanownéj głowy téj, w półcieniu, niewielka jakaś postać ludzka, o niewyraźnych zarysach wystawiała na księżyc bose tylko stopy, daléj zaś nieco spały trzy jeszcze istoty: dziewięcioletni Miś, którego cherubinowa twarz, zadąsana w śnie nawet, gniewać się zdawała na księżyc czy na spuszczającego się z sufitu Amorka; Damek z długiemi uszami, ramieniem obejmujący szyję Antki i Antka, która wyciągając na podłodze długie swe nogi, głowę opiérała na ramieniu chłopca a gęstemi włosy swemi okrywała mu piersi. Starca i dzieci, sen zaskoczyć tu musiał pośród uczty obfitéj, w dziwnéj spiżarni téj odbywanéj, bo nie-

tylko starzec w ręku swém trzymał wilgotną jeszcze łyżkę, ale obok bosych stóp ukrytego w cieniu Tomka stał garnek w połowie jeszcze napełniony wybornym, lipcowym miodem; pyzate policzki i aż zmarszczone czoło Misia uczernione były powidłami, a ramiona jego silnie przyciskały do piersi słoik, z trochą jeszcze przysmaku tego na dnie; dokoła zaś Damka i Antki leżało mnóstwo nadgryzionych i niedbale, w przesycie jakby rzuconych jabłek, okruch, bułek i serów, kawałków wędzonego mięsiwa. Majestatyczna starość i niewinne dzieciństwo, ze spokojem niepokalanym, z zadowolniem naiwném a głębokiém, usypiały tu pomiędzy szczątkami zdobytych przez się i zużytkowanych łupów.

Moryś uśmiechał się. Aha! szepnął, maluczcy i cierpiący... tęgo sobie dziś balowali... ale, zkąd oni mogą dostawać sobie to wszystko?

Tu, spostrzegł przedmiot, którego dotąd nie zauważył jeszcze. Obok Damka, leżało na ziemi coś silnie błyszczącego pod światłem księżyca, coś, jakby pęk kluczy lub innego jakiegoś żelaztwa. Pewny, że nie obudzi nikogo z tych, którzy tak głęboko i rozgłośnie usypiali, Moryś, cicho bardzo postąpił kroków parę, pochylił się i patrzał.

Nagle, wyprostował się i prawie głośno zawołał.

— Wytrychy!

— A! wyrzekł do siebie, więc tu takie rzeczy się dzieją...

Wzrok jego z wytrychów przesunął się na twarz Antki.

— Ładna z niéj będzie dziewczyna! szepnął.

Istotnie, twarz Antki przybrała we śnie całkiem inny charakter, niż ten, który ją w czasie czuwania odznaczał. Nie było to już zmyślne i małpiozmienne zwierzątko, z łakomstwem w oczach a dzikim śmiechem na rozwartych ustach; było to ładne dziecię, z delikatnym, znędzniałym nieco profilem i drobnemi usty zamkniętemi pełnym ciszy i niewinności uśmiechem.

Z jednaką zawsze ostrożnością zstąpił ze wschodów a w korytarzyku zatrzymał się znowu, z palcem, w głębokim namyśle, do ust przyłożonym.

— Więc tu takie rzeczy robią się i dzieją... Powtórzył i dodał: ciekawym czy i *on* także do tego należy!... Och! gdybym mógł go złapać...

On, znaczyło: Sylwek Katarynkarz, który sprawił mu kiedyś wielką *nieprzyjemność*. Spotkał go on u Kępy, rozmawiał z nim nawet niekiedy, ale nie cierpiał go zawsze i coraz może więcéj. W ulicznym chłopcu tym było coś, co imponowało wypieszczonemu synowi Placydy Lirskiéj. Nie śmiał mówić mu *ty*, albo nie odkłonić się,

gdy przy spotkaniu na mieście, kataryukarz uchylał przed nim brzeg tyrolskiego kapelusza swego. Lękał się go trochę a bardziéj i częściéj myślał, że gdyby miał takie oczy jak ten przebrzydły cygan, możeby i bez odrodzenia się świata rozkochał w sobie Aurelkę tak, że... wujaszek musiałby wydać ją za niego!

— Och! gdybym mógł go złapać!

Z wewnętrznym tym, namiętnym wykrzykiem otworzył drzwi izdebki Kępy. W oprawie nizkich a szerokich drzwiczek, na tle malowanych ścian i żółtego światła łojówki, ukazał się Kępa siedzący przed skrzynią i ze zgarbionemi plecami, z profilem skurczonym od wielkiego natężenia myśli, z okiem pod czerwoną powieką rozgorzałém, piszący, piszący, piszący z zaciekłością gwałtownego i wahań się żadnych, ani namysłów nie znającego natchnienia. Nazajutrz Kępa wychodził na miasto w długim swym i starym, lecz bardzo starannie oczyszczonym surducie i z czerwonawą chustką, w innym nieco niż dotąd sposób zawiązaną. Pozbyć się jéj całkiem nie mógł, gdyż w więzieniu przemroził sobie był uszy tak bardzo, że lękały się one strasznie każdego zetknięcia się z powietrzem, lecz zawiązał ją z większém uwzględnieniem estetyki, czyli, że końce jéj nie pod brodą jak wprzódy, ale nad głową mu sterczały. Na głowie zresztą, miał kapelusz stary bardzo i odmienéj mody, ale formę cylindra posiadający a na rękach, czarne, ogromne, połową niezapełnionych palców zwisające rękawiczki. Uczynił wszystko co mógł, aby powierzchownéem wyglądaniem swém nie zrazić i nie zniechęcić ludzi do których się udawał. Teraz już miał głębokie przeświadczenie, że ubiór jego był doskonale prawidłowym, blizkim nawet wykwintu a zniżenie się to do wymagań światowych uważał sobie za ważne uczynione ustępstwa i ciężką ofiarę dla idei poniesioną.

Niezmiernie starą a papiérami wypchaną tekę pod ramieniem niosąc, kroczył on ulicami miasta i wchodził w bramy pięknych domów i kamienic, z kapłańską powagą i uroczystym wyrazem twarzy. Pomimo powagi przecież i uroczystości, znać po nim było, że uczuwał niepokój, dosięgający niekiedy stopnia trwogi. Cel, dla którego piegrzymkę swą przedsięwziął, był mu nad wszelki wyraz drogim; jeżeli go nie dosięgnie, najpiękniejsze nadzieje jego usuną się znowu w dal niedoścignioną, najważniejsza część życiowéj pracy jego, przez czas nieokreślony jeszcze, na wieki może, a ku śmiertelnéj szkodzie ludzkości, pozostanie w ukryciu...

Od dnia owego, pośród wyższych warstw towarzyskich znajdujących się w mieście, toczyć się zaczęły długie i wesołym śmiechem przeplatane rozmowy, o zabawném indywiduum jakiémś, chodzącém od domu do domu i każdemu ktokolwiek go do obecności

swéj przypuścił, wpychającém w ręce szpargały jakieś i wypowiadającém w długich tiradach niesłychane niedorzeczności. Zgadzano się powszechnie, że był to waryat; zdania dzieliły się tylko co do niewinności, lub szkodliwości jego szaleństwa. Ludzie dobrego humoru i skłonni do lekkiego sądzenia napotykanych zjawisk utrzymywali, że był to człowiek niezmiernie śmieszny i co najwyżéj obudzać mogący litość taką, jaką obudza się zwykle ludzi dotkniętych najstraszniejszém z kalectw. Inni jednak, którzy baczniéj wsłuchiwali się w jego mowę i uważne spojrzenie rzucili na parę kart rękopismu, który on z natarczywością niesłychaną, z błagalnym lub na przemian groźnym wyrazem twarzy, przed nimi rozkładał, wyrażali mniemanie, iż waryaci podobni niebezpiecznymi być mogą dla publicznego spokoju i porządku. Najogólniéj jednak, zapatrywano się nań pobłażliwie i wydawano rozkazy służbie, aby gdy się ukaże, wprowadzała go do jadalni lub bocznych pokojów mieszkań. Litościwe panie domów, patrząc na twarz jego zdrobniałą i skurczoną od nędzy i trudów, uprzejmie prosiły, aby jak najczęściéj przychodził do nich dla zjedzenia obiadu lub wypicia herbaty, które w przedpokoju lub garderobie podanemi mu będą. Zdziwienie było wielkie i powszechne, gdy na zaprosiny te włóczęga ten czy ten szaleniec prostował się, dumnie podnosił głowę i odpowiadał.

— Nigdy nie byłem żądnym nasyceń i uciech cielesnych, nie zjadałem okruch, spadających z czyichkolwiek rąk lub stołów!

Panowie znowu odsuwając od siebie rękopism, którego sama już olbrzymiość obudzała w nich powątpiewanie i przestrach, wydobywali z kieszeni portmonetki i probowali zakończyć sprawę ofiarowaniem szczególnemu gościowi swemu banknota większéj lub mniejszéj wartości. Gość przecież, ze stanowczością oporu nie cierpiącą, odmawiał przyjmowania darów wszelkich.

— Żebrakiem nie jestem, mawiał; owszem, posiadam skarb o jakim wy, wielcy i możni tego świata, wyobrażenia nie macie. Skarb ten potrzebuje tylko ręki, którąby go za pośrednictwem nędznego kruszcu z ukrycia wydobyła i pokazała światu. Marny grosz, który mi dajecie na nic mi się nie przyda, nie opłaci mi życia całego, spędzonego w niesłychanych trudach i bólach, nie zastąpi rozkoszy, których używają wszyscy na świecie ludzie, a których ja dobrowolnie wyrzekłem się dla idei... zlitujcie się nie nademną, lecz raczéj nad ludzkością, którą zdrój myśli moich, w dziele tém zawartych, zbawić ma, odrodzić, oczyścić i uszczęśliwić... Lecz nie, zlitujcie się i nademną także! wszak tu zawarte są wszystkie ambicye i nadzieje moje, cała ogromna praca stéranego życia mego.

Gdy z głębokim smutkiem na znędzniałéj swéj twarzy, z dziecięcą szczerotą w łzami zaszłych oczach, głosem błagalnym i niemal pokornym przemawiał on w ten sposób stawał się istotnie i dla najweselszego nawet wzroku wzruszającym. Zdarzało się też, że dla przyniesienia ma ulgi przez chwilowe obudzenie nadziei i okazanie mu szacunku niejakiego, kryjąc uśmiech, proszono go o pozostawienie rękopismu na dni kilka, dla przeczytania... przejrzenia... Lecz Kępa na rozstanie się ze skarbem swoim za nic zgodzić się nie chciał.

— Któż mi zaręczy, wołał, że nie zdradzicie mię, że nie zniszczycie kart tych, krwią i łzami memi zapisanych, skoro przekonacie się, że nie zawiérają one żadnych dla was pochlebstw i obietnic, lecz przeciwnie pełne są srogich nauk i gróźb....

Tu wybuchały już dokoła niego niepodobne do powstrzymania śmiechy; niektórzy, obraźliwsi lub ostrożniejsi a coś niedobrego w wyrazie twarzy jego dostrzegający, rozkazywali mu bez ceremonii, aby szedł za drzwi. Kobiéty jednak i dzieci stale i gorąco ujmowały się za nim. Te ostatnie przynosiły mu czasem cukierki, owoce lub inne przysmaki i wdzięczne za zabawę, którą im sprawiał, pieszczotliwie dotykały rąk jego, odzieży i lnianych, miękkich, siwiejących włosów. Wtedy, po twarzy Kępy rozlewała się nieopisana rzewność i czułość, przyjmował ofiarowywane mu dary a małych ofiarodawców brał w objęcia, ze zmięszaniem tkliwości i namaszczenia całował białe ich czoła, mówiąc przytém.

— Biedne, biedne małe istoty! wyście niewinne jeszcze, nieskalane łzami i potem waszych bliźnich, wasze ofiary i pieszczoty przyjąć mi wolno... lecz o! cóż się stanie z wami, gdy wybije godzina sprawiedliwości i wielkich katastrof.... biedne ofiary losu, który rozkazał wam urodzić się na łonie zbytku, pychy i samolubstwa!

Ofiary nie zdawały się być wcale zasmuconemi brzmiącą nad ich głowami groźną przepowiednią, lecz obecni scenom tym starsi członkowie rodzin wszelkimi sposoby starali się skrócić szczególną wizytę i jak najmniéj zachęcić odwiedzającego do jéj powtórzenia.

Niezachęcany wracał przecież, błagał znowu, przedstawiał, groził, monologował o równości ludzkiéj, o maluczkich i cierpiących, o potrzebie sprawiedliwości, o przyszłym niezawodnym raju ziemskim, o konieczności rdzennego i jak najrychlejszego odmienienia natury ludzkiéj i wszystkiego w ogóle, co ludzkiém dotąd było; monologował o tém wszystkiém tak długo, że jedni uczuwali się znudzonymi, inni na prawdę przelęknionymi a wszyscy z mniejszą lub

większą niecierpliwością powtarzali mu stanowczo, że dzieła jego wydawać nie myślą i że jeżeli życzy sobie przychodzić do ich domów od czasu do czasu dla otrzymania pożywienia lub wsparcia, to dobrze, a jeśli nie, to każą lokajom drzwi przed nim zamykać, lub nawet w potrzebie ze wschodów go strącać. Gdy odszedł nakoniec, długo jeszcze domowi pomiędzy sobą i z gośćmi toczyli rozmowy przeplatane śmiechem, których on był przedmiotem.

Nie wesoło jednak, nie wesoło i wcale nie śmiesznie wyglądał Kępa, gdy z wypraw tych, cieniem pomyślności nieuwieńczonych wracał do swéj sklepionéj, z okratowaném okienkiem izdebki. Niekiedy, drżał cały jak w febrze, trzęsącemi się rękami zdejmował potwornie długie rękawiczki i odwieczny cylinder, drogocenny nawet rękopism swój bez najmniejszego uszanowania ciskał na skrzynię i, usiadłszy na pieńku lub ziemi, długie godziny przesiadywał nieruchomy, z twarzą w dłoniach, pogrążony w ponuréj i milczącéj jak grób zadumie. Z pod ściany, Sylwek próżniaczo rozciągnięty na ziemi, rzucał mu czasem krótkie pytania.

— A co? będzie co z tego czy nie?

Kępa odsłaniał twarz i osłupiałym wzrokiem patrząc na towarzysza, odpowiadał.

— Nic nie będzie.

Czasem, rozmowa dwóch tych ludzi ograniczała się na takich lakonicznych zapytaniach i odpowiedziach. Z natury przecież, jeden z nich był gadatliwym i rozjątrzonym, drugi namiętnym i niepowściągliwym; wybuchali więc najczęściéj, długiemi żalów swych i gniewów opowiadaniami. Kępa wyrzekał jak zwykle na nieugiętą pychę i niezłomne samolubstwo wielkich tego świata; lecz co było w nim nowém zupełnie, to żal budzący się za wszystkiemi straconemi dla idei uciechami i dogodnościami życia i głuche przezwyciężane ze wszystkich sił, lecz coraz mocniéj ogarniające go zwątpienie, ażali życie to daremnie zmarnowaném nie zostało. Było to może bardzo proste następstwo fizycznego wycieńczenia, połączonego ze straszną boleścią, jaką sprawiał mu widok szpargałów rozrzuconych na skrzyni a które chyba.... pewnie nawet.... w skutek ubóstwa jego a zatwardziałości możnych, dziennego światła ujrzéć nigdy nie miały. Jakkolwiek bądź, zwątpienie to, doświadczone po raz pierwszy w życiu, wprawiało Kępę w stan egzasperacyi, śród którego istotnie, wyraz obłąkania zjawiał się mu na twarzy i w bardziéj niż kiedy obrzękłych zaczerwienionych oczach.

— Zdaje mi się, mówił do Sylwka głosem... słabym i skarżącym się, zdaje mi się jakobym umiérał.... jakoby dusza moja konała we

mnie. Czyżbym miał omylić się, własne siły przecenić, marnie przepaść....

Niekiedy, monotonnym, sennym głosem snuł żale swe i marzenia.

— Szczęśliwi ci, których wzrok nie ścigał nigdy słońc, zawieszonych wysoko, i których myśl nie kąpała się nigdy w płomieniach wielkich miłości! Szczęśliwi ci, którzy urzeczywistnić mogli sielankę młodych lat swoich, a o zachodzie życia, jako pogodne wieczory, znikają zwolna, przy blasku swoich gwiazd! Szczęśliwi ci, których myśli i żądze, drzémiącą strugą, po gładkich płyną równinach i którzy serc swych nie wydzierają z piersi, aby je rzucać w ofiarne płomię ołtarzy!..... Szczęśliwi....

W sposób ten marzyłby i żalił się długo jeszcze, lecz przed nim podnosiła się wysmukła postać młodzieńcza a rozognione czarne oczy wpijając się w twarz jego, mowę mu tamowały. Sylwek podnosił się, prostował i może, przez senny głos ten wypowiadający skargi swe i tęsknoty, natchniony, wołał.

— Nie, nie! nieprawdę mówicie! Ja nie tak myślę! ja nie tego żądam! ja, powiem wam, kto szczęśliwy!....

I zarzucając na głowę oba swe gibkie ramiona, z drgającą twarzą wzniesioną w górę, mówić zaczynał.

— Szczęśliwy byłby ten, ktoby miał takie szerokie i mocne skrzydła, ażeby na nich do wysokiego słońca zalecieć, w złotą twarz jego spojrzéć i napić się jego promieni! Szczęśliwy byłby ten, ktoby zamienił się w drzewo na pustém polu stojące i niczego nie chciał i żadnych żalów nie miał a tylko słuchał jak ptaki śpiewają w gałęziach a wiatry niebieskie szumią i grają w powietrzu! Szczęśliwy byłby ten, ktoby zamienił się w śpiewanie, w muzykę i leciał nad światem, na wietrze, na chmurze, na szerokie pole pieśni jak paciorki sypał, na wysokich wieżach siadał i tak grał, ażeby ludzie, jak kiedy dzwony kościelne huczą, klękali i modlili się... do niego!.... Szczęśliwy byłby ten, ktoby po ogromném morzu płynął, we dnie patrzał w chmury, co na niebie stoją jak malowanie dziwne a w ciemne noce, z samego dna wody wołał do siebie te cudne dziewczyny, co tam białe jak perły, z włosami jak księżyc z morskiego ziela wianki sobie plotą i słuchają tylko, słuchają czy ich kto do kochania nie woła!... Szczęśliwy byłby ten, ktoby kochankę sobie z dna morza wywołał i pogrążył się z nią w takiéj puszczy bezludnéj, ażeby nikt, nikt mu nie przeszkadzał kochać ją i całować i śpiewać jéj do snu wszystkie pieśni, które mu drzewa, na złotych strunach słonecznych, wygrają....

Mówił to wszystko coraz śpieszniéj, coraz ogniściéj a głos jego nabierał coraz bardziéj śpiewanych, rytmicznie kołyszących się tonów. Było to śpiewanie raczéj niż mówienie; była to dzika improwizacya, lejąca się z ust jego lawą słów, a z oczu snopami błyskawic.

Milkł potém i wspierając twarz na dłoni a zwolna, rytmicznie kołysząc się w strony obie, zapytywał z cicha.

— Czyście słyszeli kiedy, jak kobiéty różne śpiewają do snu dzieciom?

Nie czekając odpowiedzi, mówił daléj.

— Kiedym był mały..... tam niedaleko cmentarza mieszkała w chacie kowala dziewczyna z oczami takiemi jak niebo. Lubiła ona bardzo swoich małych braci a najmniejszego kołysała każdego wieczora i tak śpiewała jak dzwonek dzwoni... Tam... w szynku, słyszę zawsze jak żydówica kołysze dzieciaka i do snu mu śpiewa a mnie się zdaje, że to złota mucha w brudnéj pajęczynie brzęczy... Dla czego nikt nie kołysał mię nigdy i nigdy mi do spania nie spiewał?

Mówił teraz, znacznie ciszéj jak wprzódy i z na wpół przymkniętą powieką. Pytanie, którém niby powtarzającą się wciąż zwrotką kończył każdy z wypowiadanych okresów, wymawiał tonem głębokiego zdziwienia.

— Kiedym z Łukaszem po mieście chodził i około katarynki skakał a śpiewał, widziałem jak chłopcy różne i dziewczynki biegły przez ulice do szkoły, w któréj uczyły się świat ten poznawać i po nim prosto, łatwo sobie chodzić... Dla czego nigdy nikt nie zadbał o to, abym ja świat ten znał i łatwo po nim chodził?

Milczał chwilę, potém znowu.

— Ten ma matkę a ten ojca, ten ma siostrę a ten kochankę.... Przed tym ot, leży rodzicielskie pole, przed tamtym drzwi własnego domu otwarte stoją a tamten zdaleka choć widzi dorobki i pociechy różne.... Dla czego u mnie niéma nikogo? Czemu przedemną niema nic?

Kępa śmiał się cichym, zdławionym chichotem i w rozmarzonego chłopca wlepiając przeszywający wzrok, zapytywał.

— Nie wiesz: dla czego? Jeszcze nie wiesz: dla czego? Sylwek zwracał ku niemu twarz i ze snu jakby oburzony, odpowiadał.

— Wiem. Wyście mi to powiedzieli tam.... kiedy jeszcze mały byłem. Zapamiętałem! o, zapamiętałem! Ale teraz wiem lepiéj jesz-

cze, bo codzień mowy waszéj słucham... pytam czasem, tak sobie, z żalu! ale... wiem!

Mimowoli jakby, pięści jego ściskały się.

— Słuchajcie, dziadźku, wołał dopóki was tu nie było, smutek i złość zjadały mi często serce, ale... mogłem żyć. Teraz, kiedyście mi oczy na wszystko otworzyli, kiedym zrobił się przy was uczeńszy i rozumniejszy... już nie mogę! Już mi ulica nie towarzyszka, już mi szynk nie wesołość, już mi katarynka moja nie muzyka! Błota mam po uszy, a wieprzem być nie mnie! Nie chcę jedzenia, nie chcę picia, nie chcę tych świń i wilczyc, co niby kobiétami są! Chcę mieć takie buty, o jakich rozpowiada bajka, żeby w nich pół świata przeskoczyć od razu, chcę wykąpać się w takich wodach, co człowiekowi odbierają pamiętanie o wszystkiém co było! Dajcie wy mi buty takie! Zaprowadźcie mię do takiéj wody!

Kępa wstrząsał głową

— Uspokój się, mówił, cierp, czekaj! Przyjdzie czas.... Sylwek przerywał mu przykrym, urągliwym śmiechem,

— Przyjdzie! powtarzał; a kiedyż on przyjdzie? czy wtedy gdy tym co cierpią rosa oczy wyje? czy wtedy, kiedy kości moje spróchnieją w zimnéj mogile? Mówiliście, że czas ten przyjdzie, kiedy te wasze pisanie, możny pan jaki, przed światem ogłosi. Ot nikt nie ogłosi... Drwią sobie z was, te... pijawki, na obiady swoje was zapraszają a upamiętać się i sprawiedliwość zrobić ani myślą... Kiedyż tedy ten wasz czas przyjdzie? czy to nie macie już żadnych sposobów innych? Kiedy tak, to puście mię od siebie, pójdę w głębokie lasy i powieszę się na suchéj gałęzi, a wtedy to już pewnie kruki czarne i drzewa skrzypiące do snu mi zaśpiewają!

Niekiedy, Kępa zbliżał się do towarzysza swego, siadał na ziemi tuż przy nim i namiętne uniesienia jego uspokajał długiém, cichém szeptaniem. Od czasu do czasu, Sylwek odpowiadał mu równie cicho i długo, a dwa te głosy szemrzące w grubych ciemnościach, które po zagaśnięciu łojówki napełniały izdebkę, wydawały się duetem dwu zbuntowanych i tajemniczo spiskujących duchów. Czasem jednak, znękany sam i z rozpaczą czujący, że na niezłomnéj dotąd wierze swéj i nadziei upadać zaczyna, Kępa chwytał skrzypce swe i grał. Żółta świeczka gasła, lecz on grał. Wybornie i na oślep znał struny te, w które przez życie całe zaklinał wszystkie ognie swéj rozszalałéj fantazyi. W grubych ciemnościach wzdychał, śmiał się i szlochał na strunach i wszystkie zwątpienia swe i upokorzenia i resztę pozostałych w nim jeszcze nadziei i chwalby, dźwiękami ich opo·

wiadał. Kiedy przez okratowane, dwoma szybami z pod ziemi wydobywające się okienko, siny świt zaglądał do izdebki, muzyk leżał u stóp żółtego pieca z rozwartą u piersi odzieżą, z twarzą spłakaną i miotał się w śnie, a tuż przy boku jego, na brudnéj glinianéj podłodze skrzypce zdawały się jeszcze drgać żółtemi strunami. W kącie zaś izby, pod ścianą szarzejącą trupiemi wizerunkami drzew, świeciły czarne bezsenne oczy, sinemu świtowi zdające się rzucać pytania czy prośby.

(C. d. n.)

E. Orzeszkowa.

STOSUNKI GMINNE

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM

i właściwy kierunek ich rozwoju.

Znane są narzekania, powszechne w naszym kraju i codzienne prawie, na nienormalny u nas rozwój stosunków gminnych. Narzekania owe, znajdujące dobitny odgłos w prasie peryodycznéj, są po większéj części natury ogólnikowéj, czemu dziwić się wcale nie należy, skoro nie mamy jasnego, statystycznego obrazu owych stosunków, któryby żywym przykładem i wymownemi cyframi popiérał stawiane instynktowo premisy i konkluzye. Nie u nas jednych stosunki gminne wywołują krytykę i narzekanie, własnością jest utworów ludzkich stopniowo tylko się doskonalić, do czego prowadzi jedynie jasne zrozumienie danych okoliczności i położenia. Ustawa gminna, obowiązująca w Galicyi, również jest krytykowaną, a chociaż jéj udoskonalenie i reforma, według obowiązującego tam prawodawstwa, należy do reprezentacyi krajowéj; pomimo to jednak dotychczas mało jeszcze pożytecznego w tym kierunku zrobiono. Trudno pogodzić różnostronność zapatrywań i interesów, które to głównie wstrzymują skuteczne na polu reformy działanie.

Wydział krajowy galicyjski, w dążeniach swoich do ulepszenia administracyi w ogóle i w uznaniu potrzeby przygotowania należytéj podstawy działania, ustanowił w swym składzie oddzielne pod kierunkiem profesora Tadeusza Pilata dobrze uposażone biuro statystyczne, którego jednym z ważniejszych zadań było uformowanie do-

kładnéj, o ile można wyczerpującéj statystyki gminnéj, w celu jak najdokładniejszego wyjaśnienia odnośnych kwestyj. „Do takiego zaś wyjaśnienia“, powiada prof. Pilat we wstępie do owéj pracy „nic bardziéj przyczynić się nie może, jak bezstronne, ściśle przedmiotowe przedstawienie rzeczywistych stosunków, wykazanie jak funkcyonuje istniejąca obecnie organizacya.“

Jeżelibyśmy chcieli szukać podobnego materyału do ocenienia naszych stosunków gminnych, byłoby to zadanie zupełnie nie możliwe. W braku jakiegobądź centralnego statystycznego organu dla Królestwa, które nosząc w sobie mnóstwo odrębności historycznych od reszty państwa Rosyjskiego potrzebuje dla trafnego ocenienia i charakterystyki stosunków społecznych danéj chwili, całości ekonomicznego obrazu, szukający ilustracyi do owych stosunków musiałby zbiérać różne cyfry ze sprawozdań gubernatorów 10-u gubernij Królestwa.

Jak jest ważną rzeczą całkowity obraz ekonomicznego stanu kraju, a nawet części jego noszących odrębny charakter, pewnik ten nie potrzebuje dowodów, skoro we wszystkich państwach cywilizowanych egzystują odrębne specyalne biura dla statystyki państwowéj i prowincyonalnéj, jak np. Królewsko Pruskie biuro statystyczne, które od 20 lat wydaje oddzielne specyalne czasopismo (1), w jakowém nie biurokratycznie, lecz najzupełniéj naukowo a zatém bez zgóry powziętéj myśli wszystkie kwestye bardzo szczegółowo bywają obrabiane.

Za dawnéj administracyi tutejszego kraju uznawano zawsze potrzebę prac statystycznych, to też za Księstwa Warszawskiego, cały zarząd administracyjny był obowiązany do gromadzenia statystycznego materyału, zaprowadzenie zaś aktów stanu cywilnego i ksiąg ludności dało możność dokładnego regestrowania ruchu ludności, jakowy sposób jest bez porównania wyższym od wszelkich innych, opartych na jednorazowych spisach (rewizya). Za rządów Królestwa, próbowano różnych form dla instytucyi statystycznéj, które się opierały na urządzeniu rozmaitych komitetów, jakowe bez wyjątku miały tę kardynalną wadę, że zwalały zupełnie dodatkową czynność na ludzi mających inne obowiązki, i nie były dostatecznie uposażone, gdyż nie ulega wątpliwości, że tylko niezależna i płatna oddzielna instytucya może zapewnić statystyce rzeczywiste nauko-

---

(1) Zeitschrift des Königlich Preussischen statistischen Bureau.

we znaczenie. Jednakże statystyczne biuro przy komisyi spraw wewętrznych oddało pewne usługi, skoro na zasadzie zebranych tam materyałów, wydany był atlas geograficzno-statystyczny Radeckiego r. 1830; biuro to wszakże po r. 1831 zostało zamknięte. W następstwie robotę statystyczną przyczepiono jako annex do komisyi spraw wewnętrznych, wszelkie bowiem projekty urządzenia centralnéj statystycznéj instytucyi, z właściwemi na prowincyi organami, jak np. projekty genarał guber. ks. Strogonowa dyrekt. kom. spr. wewnętrzn. Pisarewa i dwukrotne projekty (w r. 1861 i 1876) senatora Gudowicza nie doszły do skutku dla braku środków finansowych, lub téż i z innych polityczno-administracyjnych widoków. W każdym jednak razie chociaż przy braku odpowiednéj specyalnéj organizacyi, statystyczna praca koncentrowała się w komisyi spraw wewnętrznych, co téż dawało możność rozmaite daty sprowadzać do jednego mianownika. Ukaz r. 1864 i specyalny rozkaz r. 1865 zwolniły wójtów od ciążącego na nich przedtém obowiązku dostarczania statystycznych wykazów, a skasowanie komisyi spraw wewnętrznych ostatecznie wszelką jednolitą w téj mierze organizacyą rozprzęgło; tém bardziéj, że ustawa z dnia 21 Grudnia 1866 „o gubernialnych i powiatowych zarządach w Królestwie“ wspomina o statystyce w sposób zupełnie nieokreślony, nie wskazując kto ma być pierwotnym dostarczycielem wiadomości. Jedyna możliwa do przypuszczenia konsekwencya jest ta, że obowiązek ten leży na zarządach powiatowych. Z tego samego wypada, że poddani bezpośredniéj opiece naczelników powiatowych wójci gmin są dostarczycielami owych pierwszych materyałów statystycznych, jakowe są przez nich przy braku czasu, bezpośredniego obowiązku i odpowiedzialności, nie zbierane, lecz tylko przez pisarzów komponowane przypuszczalnie i układane w gotowe szematyczne, przesłane im tabele. Takiéj wartości materyał przedystylowany przez powiat koncentruje się w gubernii, gdzie i występuje w postaci rocznych sprawozdań gubernatorów.

Sprawozdania te niedostępne prawie dla szerszego koła publiczności i z trudnością dające się zgromadzić, przez sam wzgląd na źródło z którego czerpią i sam sposób owego czerpania bardzo mało mogą budzić ufności, o ile zaś sam sposób obrobienia mało ich robi pożytecznemi nie potrzebujemy tego podnosić, wolimy bowiem oprzéć się na nie wątpliwéj w téj mierze powadze. Za taką powagę poczytujemy profesora Statystyki Uniwersytetu Warszawskiego pana Simonenko, który w dziele swojém „Po-

równawcza Statystyka Królestwa Polskiego" T. 1 str. 86 (1) tak charakteryzuje praktyczną wartość wspomnianych materyałów: „niepodobieństwem jest robić jakiekolwiek porównawcze konkluzye o stanie oddzielnych gubernij ze sprawozdań o nich gubernatorów. Dla tych, którzy na seryo chcą zbadać jaki bądź przedmiot, możliwém jest ostatecznie zwalczyć przeszkody techniczne, chociaż byłoby do życzenia, żeby tych przeszkód spotykało się jak najmniéj. Ale są przeszkody bardziéj poważne, których niepodobna uchylić pracą pojedyńczych ludzi. Do tych należy przy badaniu i opracowaniu miejscowego materyału statystycznego, mnóstwo luk i niedokładności, które się jedynie dają wytłómaczyć brakiem jakiegobądź centralnego statystycznego urzędu, któryby dawał odpowiedni do celu systematyczny kierunek wszystkim pracom statystycznym, przedsiębranym w tutejszym kraju, a także brakiem gubernialnych i powiatowych komitetów statystycznych, któreby reprezentowały jakikolwiek zapas sił zbiorowych, zdatnych do wypełnienia tych zadań pierwszorzędnéj wagi, jakie dla gubernialnéj i powiatowéj statystyki stawiają administracya i nauka."

Nic nam już do tego nie pozostaje dodać, chyba tylko parę cyfr dla ilustracyi.

Wiadomo jest, że rok 1873 odznaczył się szczególną jakąś klęską na żyto w czasie jego kwitnienia, w skutek czego przy dosyć dobrym urodzaju na słomę, kłosy były po większéj części próżne, tak że nie dawały więcéj jak połowę zwyczajnego namłotu. To też w tym roku nietylko wywóz żyta za granicę był bardzo mały, lecz masę jeszcze zboża sprowadzano do Królestwa z Litwy na miejscową konsumpcyą, tak że niektórzy właściciele mniéj oględni, takiém kupném żytem musieli karmić czeladź na przednówku, kiedy cena jego doszła do niepraktykowanéj dotąd wysokości 6 rub. za korzec. W dobrach gubernii Piotrkowskiéj, których rachunki mamy pod ręką, przeciętny namłot żyta wynoszący 2.500 korcy rocznie spadł w owym roku do 1.300, to jest zredukował się do 51% zwyczajnego urodzaju. Tymczasem w statystyce p. Załęskiego znajdujemy w tablicy N. 41 i 42 na str. 120 i 122, ułożonych podług urzędowych danych, że w roku 1873 zebrano żyta 7.365.081 czetwierti, w roku zaś normalnym 1872 zebrano żyta 7.136.476 czyli że rok nieurodzajny dał 228.605 czetwiertwi więcéj.

---

(1) Srawnitelnaja statistika Carstwa Polskawo i drugich Jewropejskich stran profesora I. W. Uniwersiteta Gr. Simonenko. Warszawa 1879.

Prace uformowanéj w Warszawie z decyzyi p. ministra spraw wewnętrznych w r. 1877 komisyi dla reformy podatków gminnych przedstawiają jak zapewnia p. Simonenko (1), członek tejże komisyi, bogaty materyał do studyów nad ekonomicznem i finansowém położeniem Królestwa Polskiego. Żeby jednak bogactwo owego materyału miało być wszechstronném, o tém pozwalamy sobie najzupełniéj wątpić. Być może, że z powodu udziału w pracach komisyi kilku znaczniejszych przemysłowców, stosunki fabryczne w Królestwie zyskały materyał do ich obrazu bardziéj szczegółowy i dokładny, statystyka jednak gminy wiejskiéj nie była zbogaconą żadnym nowym nabytkiem, o ile bowiem wiadomości nasze sięgają, projektowane w téjże komisyi szemata, bardzo wyczerpujące wszelkie możliwe stosunki finansowe i ekonomiczne gminy, nie zyskały aprobaty i nie były rozesłane, z pomiędzy innych rozmaitych względów, po części i dla braku funduszów na ich wydrukowanie, co, jak widać, musi stosunkowo znaczne przyczyniać koszta. Nie możemy sobie jednak żadną miarą przedstawić, jakim sposobem można projektować jakąkolwiek reformę bez najdokładniejszego obrazu tego co reformować przychodzi, a więc pod względem gmin wiejskich obrazu przedstawiającego choćby przybliżony stosunek wszelkich sił i materyałów zdolnych ponosić ciężary w gminie, do własności gruntowéj jako wyłącznie opodatkowanéj, nie mówiąc o wielu innych stosunkach, które przy zupełnéj i sprawiedliwéj reformie koniecznie mieć na względzie należy.

W obec takiego położenia kwestyj statystycznych u nas, mając zamiar przedstawić o ile można przedmiotowy i wyczerpujący obraz stosunków gminnych w naszym kraju, potrzebny dla lepszego wyjaśnienia kwestyi tak dalece ogół interesującéj, pozostawało nam dwie drogi: albo ograniczyć się na ogólnikowém przedstawieniu rzeczy w wyrażeniach szablonowych i powszechnie już utartych, albo téż wyrzec się spełnienia zadania jako przechodzącego możność pojedyńczego człowieka. Woleliśmy jednak obrać pośrednią drogę, przedstawić objektywnie stosunki choćby 3 gmin jednego powiatu, znajdujących się mniéj więcéj w różnorodnych warunkach, i na takim chociaż monograficznym materyale oprzéć ogólniejsze wnioski. Do tego celu wybraliśmy 3 gminy powiatu Radomskowskiego w gub. Piotrkowskiéj, z których jedna Radziechowice czysto wiejskiéj natu-

---

(1) Lekcye publiczne w r. 1878. „Carstwo Polskoje srawnitelno z Poznaniju i Galicijéj.

ry, dwie zaś drugie, Gidle i Brzeznica, zawiérają w swym składzie dwa niegdyś miasta, dzisiaj osady, Pławno i Breźnicę.

I.

Gmina jako ostatnie ogniwo administracyi państwowéj, pierwsze zaś miejscowego samorządu, musi być wyrazem terytoryalnym, który może być bardzo rozmaitego obszaru w miarę jak pierwsza lub druga potrzeba przy normowaniu się stosunków miała wpływ przeważny.

W miastach stosunek terytoryalny w połączeniu z odrębnością interesów miejscowych zarysowuje się najwyraźniéj. Na wsiach te dwa czynniki zlewają się właściwie tylko w bardzo małych zakresach. Gdzie ustrój gminy pozostał jako produkt miejscowych stosunków, tam egzystuje gmina tak nazwana miejscowa (Orthsgemeinde), pozostała po dawnych stosunkach feudalnych, gdzie administracya i sąd dominialny oraz wspólności rozmaitych użytków majątku gminnego łączyły mieszkańców dominium w pewną odrębną całość. Tego rodzaju czyli raczéj pochodzenia spotykają się gminy po większéj części w Prusach i Austryi, gdzie stanowią odrębne od obszarów dworskich (Rittergüter) jednostki administracyjne. Połączenie gmin z dworskim obszarem, lub jednych gmin z drugiemi dla uformowania większéj całości podług ustawy galicyjskiéj może nastąpić tylko za dobrowolną uchwałą stron interesowanych.

Oprócz takiego łącznika interesów pochodzenia historycznego jest inny łącznik moralnéj natury, który najbardziéj może zbliża sąsiadujących ze sobą mieszkańców; łącznikiem tym jest wspólność parafialna. W ten sposób pierwszy zawiązek samorządu angielskiego utworzył się w parafii.

Wyrzucona z uniwersalnéj kancelaryi Napoleona I, pisana na kolanie, konstytucya W. Księstwa Warszawskiego, wyrzekła zwięźle w §. 67 że: „chaque municipalité est administrée par un maire ou President.“ Mer, mianowany bezpośrednio przez króla, miał być ostatnim organem centralistycznéj biurokracyi. Z jakich obszarów i elementów miały powstać owe municypalności, konstytucya nie zaznacza; nieznajomość bowiem warunków historycznych i miejscowych i brak przytém czasu, nie dały możności prawodawcom modyfikować doktrynerskich formuł warunkami życiowéj, wyrobionéj wiekami praktyki. Nie wierzone zresztą w jakąkolwiek jéj wartość, czego do-

wodem art. 69, który wyrzekając że „Le Code Napoléon formera la loi civile du Duché de Varsovie“ nie przypuszczał, żeby naród egzystujący od 10 wieków wyrobił sobie jakie bądź prawodawstwo i obyczaje cywilne. I nic dziwnego skoro podobne przypuszczenie pochodzi z obozu, który wybudował swoje namioty na polu zupełnie oczyszczoném od wszelkich śladów jakiéjbądź wegetacyi. Rzecz tak postawiona nie mogła wejść w praktykę, i w roku 1809 dla wprowadzenia jakiéjkolwiek administracyi postanowiono, ażeby wójtów wiejskich prowizorycznie prefekt z pomiędzy piśmiennych obywateli gminy mianował. Gdy prawo nie określiło zasad podziału, nie mamy wiadomości jak ten podział w praktyce przeprowadzonym został. Konstytucya z r. 1815 dla Królestwa kongresowego wydana utrzymała zupełnie biurokratyczne znaczenie gminy, orzekając w art. 84, że „w każdéj gminie będzie wójt, dla wykonywania rozkazów rządowych jako ostatnie ogniwo administracyi krajowéj.“

Musiała praktyka rozwiązać jakoś kwestyą terytoryalnego podziału, skoro ustawa o organizacyi władz administracyjnych z dnia 3 Lutego r. 1816 (1) o zasadach podziału nic nie nadmienia. Dopiéro postanowieniem Namiestnika z dnia 30 Maja r. 1818 orzekła, że każda wieś mieć może oddzielnnego wójta, byleby się najmniéj z dziesięciu dymów mieszkalnych składała (2). Ztąd widać, że z jakichś obszerniejszego zakresu podziałów wrócono do zasady gminy miejscowéj (Orthsgemeinde), dopóki ukazem z dnia 16 Marca roku 1859 nie postanowiono w widokach łatwiejszéj administracyi, ażeby gmina wiejska składała się najmniéj z piędziesięciu domów mieszkalnych.

Nie taki zupełnie mechaniczny pogląd miała komisya sprawiedliwości, pracując w r. 1862 nad ułożeniem nowéj ustawy gminnéj (która jak wiadomo z pewnych nadzwyczajnych wypadków nie została wprowadzoną w wykonanie). Komisya uznając, że ukaz r. 1859 uwzględniał głównie udogodnienie służby rządowéj, przyjęła raczéj pierwowzór podstawy angielskiego samorządu, uznając parafią za główną zasadę podziału terytoryum na gminy, (3) co w motywach swoich do projektu ustawy wymownie usprawiedliwia.

---

(1) Dz. Pr. T. 2 str. 31.

(2) Item T. 6 str. 34.

(3) Naturalnie że pomimo uznania zasady téj za podstawową ustawa dopuszcza konieczne w niektórych razach modyfikacye.

„Dziś“, powiada komisya, „gdy ważne i wiekopomne reformy w stosunkach włościańskich, od lat dwóch zaprowadzone, dozwalają przewidywać, iż w niedalekiéj przyszłości przybędzie krajowi dziesięćkroć większa liczba obywateli, ulegających jednym prawom, ponoszących jednakowe obowiązki, a tém samém mających równe prawo z właścicielami większymi do czuwania nad najbliższemi a wspólnemi interesami, nie byłoby odpowiedniém i pożyteczném tak dla rządu jak i dla mieszkańców utrzymywać dawny podział na gminy w zupełnie odmiennych widokach obmyślany.“

„Owych potrzeb i interesów miejscowych, owego węzła niejako familijnego, który członków społeczności gminnéj jakoby w jedno ciało jednoczyć powinien, żadna ustawa stworzyć, ani zabezpieczyć nie jest zdolną. Związek taki sam się tylko wyradza, z pobudek naturalnych, a uświęca go czas, tradycya historyczna i ciągłe zetknięcie się ludności w celach i widokach wspólnych. Ztąd wynika, że dla utworzenia gminy, mającéj istniéć dla siebie, a razem dla ogólnéj harmonii porządku krajowego, niepodobna zamykać jéj w dowolnie zakreślonym obrębie, lecz trzeba szukać istniejącego już i wiekami utrwalonego ugrupowania ludności.“

„Taką społecznością, rzec można naturalną, niepożytą wiekami, niezawisłą od zmian prawodawczych i administracyjnych, zrosłą z uczuciami i wspomnieniami każdego mieszkańca, jest bez zaprzeczenia *parafia*. Parafia jestto ognisko, w którém jednoczą się najtrwalsze i najżywotniejsze uczucia ludności. Od wieków pokolenia całe przywykły gromadzić się około kościoła *jako świadka początku* i końca ich żywota. Od wieków kościół ten i złączone z nim instytucye miłosierdzia i nauki były nieustannym przedmiotem pieczołowitości, zabiegów, wydatków i chluby mieszkańców. Zwykłe ogniwa, łączące familie i pojedyncze indywidua, zdwajają swą siłę, i każdy oderwany przez los od téj najpiérwszéj społeczności, zachowywa w swém sercu tak żywe wspomnienie i przywiązanie do parafialnego gniazda, że ono zaledwie familijnym uczuciom pierwszeństwa ustępuje. Zbliżenie się i wspólność interesów materyalnych w ślad idzie za spójnią interesów duchowych. Zlanie obu tych interesów w jednym obrębie zapowiada nietylko konieczny, ale równie pomyślny jak trwały ich rozwój.“

Cytowaliśmy te piękne motywa (do których bez wątpienia przyjdzie się nam jeszcze w dalszym ciągu niniejszéj pracy odwołać), nie dla tego, żebyśmy mieli życzyć koniecznie dzisiaj powrotu do jednéj z najlepszych zasad podziału gminnego; zanadtoby wiele trzeba

było do tego nowéj łamaniny. Przywyka się nieraz i do rzeczy aplikowanych czysto-mechanicznie, czego dowodem może służyć nietylko przywyknienie, ale nawet pewnego rodzaju zamiłowanie do kodeksu Napoleona. Cytując owe motywa, mieliśmy bardziéj na względzie owe szablonowe a zwykle publicznie przez rossyjskich uczonych i publicystów robione naszéj inteligencyi zarzuty sobkowstwa i dążności do uciemiężania warstw niższych. Niezdemoralizowana to była ostatecznie społeczność, skoro mogła wystawić w piérwszym szeregu ludzi z szerszym i sprawiedliwym poglądem, kiedy jéj publiczne interesy własnego kraju powierzone zostały.

W skutek nie wejścia w życie ustawy z roku 1862 prawo z r. 1867 o urządzeniach gminnych znalazło podział terytoryalny, wynikły z ukazu r. 1856, który przedstawiał, jak to widać z postanowienia urządzającego komitetu z dnia 19 Kwietnia r. 1864, 3.083 gmin w Królestwie. Gdy ten podział był przedsięwzięty głównie w widokach większego ułatwienia władzom administracyjnym, rzecz naturalna, że musiał i daléj zmierzać w tym kierunku i dążyć ku zmniejszeniu liczby i powiększeniu obszaru gmin; tak że w r. 1869 liczba ich, podług Załęskiego (1), wynosiła już tylko 1.351 czyli 43% piérwotnéj ilości, obecnie zaś podług imiennego wykazu gmin podzielonych pomiędzy sądowe okręgi w pamiętniczku Warszawskiego Okręgu Sądowego (wyd. Olechowskiego r. 1880) naliczyliśmy ich 1.278, rodzielonych na 372 okręgi sądowe.

W ten sposób przy ogólnéj przestrzeni Królestwa, wynoszącéj podług statystyki oficerów general. sztabu, 2.216 mil kwadratowych, nie biorąc w uwagę terytoryów miejskich jako stosunkowo do ogólnéj przestrzeni mało znacznych, wypada w przecięciu na 1 gminę po 85 wiorst kwadratowych, i po 3.423 mieszkańców wsi i osad z wyłączeniem ludności miejskiéj, biorąc zaludnienie z r. 1866 wykazane we wspomnianéj statystyce wojennéj. Stosunki te dla pojedyńczych gubernij przedstawia poniżéj zamieszczona tablica.

---

(1) Statystyka Porównawcza Królestwa Polskiego r. 1876 str. 38 tab. 10.

Nazwy gubernij	Liczba okręg. sądowo-gm.	Liczba gmin	Przestrzeń w mil. kwadr.	Ludność ogólna	Ludność miast.	Ludność wsi i osad	Ludność wsi i osad na 1 milę kwadr.	Na 1 gminę wiorst kw.	Na 1 gminę ludność wsi i osad
Warszawska . .	44	152	255.7	816.073	328.142	487.931	1.913	82.2	3.210
Piotrkowska . .	43	147	211	610.496	110.741	499.755	2.368	70.3	3.399
Kaliska	41	135	197	567.441	80.852	486.589	2.469	71.5	3.604
Radomska . . .	41	139	223.8	471.658	54.544	417.114	1.870	78.6	3.000
Kielecka . . .	37	128	170.4	451.197	29.944	421.253	2.477	65	3.291
Płocka	38	110	188	428.413	65.897	362.516	1.715	83.7	3.295
Siedlecka . . .	40	146	249.2	459.770	60.334	399.436	1.604	83.5	2.735
Lubelska . . .	41	145	294.6	619.284	76.552	542.732	1.864	99.3	3.742
Łomżyńska. . .	25	84	207	430.896	66.194	364.702	1.761	120.7	4.342
Augustowska . .	27	92	218	464.135	71.339	392.796	1.801	115	4.269
Razem	372	1.278	2.216	5.319.363	944.539	4.374.824	1.974	85	3.423
Według zaludnienia z r. 1873 w cyfrze podan. ogólnie na Królest.				6.938.793	1.136.280	5.262.313	2.375	85	4.118

Szczegółowe cyfry ludności oddzielnych gubernij z r. 1866 są wzięte, jak powiedziano wyżéj, ze statystyki wojennéj. Ludność miast wzięliśmy u Załęskiego za rok 1869 z powodu, że w owym roku ludność ta w części przeszła do kategoryi gmin wiejskich a mianowicie z miast zamienionych na osady, różnica dała nam cyfrę ludności do gmin należącéj. Co do zaludnienia z r. 1873 to tylko ogólną cyfrę ludności z tego roku znaleźliśmy u Załęskiego (str. 18), która pokazuje przyrost za lat 8 na 20,3%.

Odciągając od téj cyfry zwiększoną o takiż procent ludność miejską, otrzymujemy ostatni wyraz ludności gmin wiejskich, któréj przeciętna na jednę gminę podnosi się z 3.423 na 4.118. Przeciętne cyfry ludności z lat 1866 i 1873 na milę kw. przedstawiają się w cyfrach 2.400 i 2.700, saméj zaś ludności wsi i osad na takąż milę wypada w piérwszym razie 1.974 w drugim 2.375.

W ogóle z rozpatrzenia się w powyższéj tablicy zdaje się spostrzegać, że w 8 guberniach, gminy jak pod względem rozległości, tak i pod względem zaludnienia, bardzo mało się od przeciętnych cyfr oddalają; w dwóch tylko guberniach, Łomżyńskiéj i Suwalskiéj które powstały z dawnéj Augustowskiéj, gminy są znacznie większe niż w innych, tak pod względem obszaru, który w innych guberniach nie dochodzi 100 wiorst kwadratowych, w dwóch zaś pomienionych przedstawia cyfry 120 i 115 wiorst, jak i pod względem zaludnienia, gdy przeciętna w nich cyfra ludności, ogólną przeciętną 3.424 blizko o 1.000 mieszkańców w każdéj po oddzielnie przechodzi.

W dalszym szeregu stosunków gminnych zaczyna już nam braknąć szerszego statystycznego materyału, zmuszeni więc ograniczyć się w dalszym ciągu do monograficznych sprawozdań, musimy ścieśnieć obręb badania, przechodząc do gubernii i powiatu, z którego ostatecznie mamy czerpać przykłady.

W powiecie Radomskowskim, gubernii Piotrkowskiéj, na 36.2 m. kw. przypada ludności w ogóle 81.815: miejsk. 4.385 gm. wiejsk. 77.430. Wypadnie zatém ludności wiejskiéj (i osad) na milę 2.150, na każdą zaś z 24 gm. powiatu po—3.226 i po 73¼ wiorst kw. przeciętnie.

Przechodząc do gmin nas zajmujących, znajdujemy, że

w gminie Brzeźnica jest grunt. włość.	9.620	morg.
gruntów dworsk. w tém pastw. i nieużytk. . .	15.162	„
Razem .	24.782	„

co stanowi 118 wiorst kw. przestrzeni

w gminie Gidle, gr. włość.	6.759	morg.
gruntów dworsk. z las. i nieużytk.	4.293	„
osad leśn. i lasów rządowych . . .	3.989	„
Razem .	15.041	„

co stanowi 72 wiorst kwadratowych przestrzeni i nakoniec

w gminie Radziechowice gr. włość. .	6.550	morg.
gruntów dworsk. tudz. las. i nieużytk.	11.385	„
Razem .	17.935	„

co stanowi 86 wiorst kwadrat. przestrzeni.

Ludność tych gmin wynosi:

1-éj 5.136 głów czyli w stosunku 2.054 na milę kw. a w tém Żydów 9.1%.

2-éj 5.617 głów czyli w stosunku 3.915 na milę kw. a w tém Żydów 23.3%.

3-éj 4.367 głów czyli w stosunku 2.495 na milę kw. a w tém Żydów 1.6%.

Zważywszy, że stosunek ludności w powyższych rachunkach, tyczących się gubernii i powiatu, jest oparty na zaludnieniu z r. 1866, obliczenia zaś gmin są dokonane w r. 1879, należałoby dla zestawienia wszystkie powyższe cyfry doprowadzić do jednego mianownika. Cyfra ludności w r. 1873 podana p. Załęskiego w miarę takiéjże z r. 1866 podniosła się o 20% w ciągu lat 7. Powiększając więc cyfry z r. 1866 na rachunek przyrostu z lat 14-tu stosunkowo o 40%, dojdziemy do stosunków przypuszczalnie jednorodnych, które nam przedstawi następująca tablica:

	Liczba gmin.	Przestrzeń gmin w wiorst. kwadr.	Stosunek ludności wiejskiéj na 1 mil. kw.		Ludność na gminę.	
			r. 1866	r. 1880	r. 1866	r. 1880
Przeciętnie na Królestwo . .	1.278	85	1.974	2.763	3.423	4.792
„ w Gub. Piotrkowsk.	147	70.3	2.368	3.315	3.399	4.758
„ w Pow. Radomskowsk.	24	73.5	2.150	3.010	3.226	4.510
Specyalnie gmina Brzeznica .	1	118.	„	2.054	„	5.136
„ „ Gidle . . .	1	72	„	3.915	„	5.617
„ „ Radziechow.	1	86	„	2.495	„	4.367

Z porównania powyższych cyfr widzimy, że gmina Radziechowice pod względem przestrzeni i zaludnienia prawie się równa przeciętnym cyfrom kraju a mało się różni od takichże przypadających na gubernią i powiat. Gmina Brzeznica pod względem przestrzeni, dorównywając obszarem terytoryalnym gminom Żmudzkim, oddala się w tym względzie znacznie od liczb przeciętnych i wyróżnia się od gmin sąsiednich, głównie z powodu znacznéj przestrzeni nieużytków, a mianowicie: 4 wiorsty kw. wydm piaszczystych nad Wartą należących do osady Brzeznica i 20 wiorst kw. pieńków po wyciętym lesie niegdy do dóbr Prusicko należącym; obie zaś gminy Brzeznica i Gidle wyróżniają się zaludnieniem z powodu wchodzących do ich składu dwóch niegdyś miast a dzisiaj osad, Pławna i Brzeznicy.

Owóż gminy Królestwa Polskiego pod względem obszaru i zaludnienia przewyższają znacznie gminy państw ościennych: Prus i Austryi; w Galicyi bowiem np. w jednym z zachodnich powiatów Myślenickim, na 1 gminę przeciętnie wypada przestrzeni 218 m. austr. czyli 1 wiorsta kw. w powiecie zaś Kossowskim, położonym na wschodzie 4.046 morg. czyli 11 wiorst kw. Oprócz zatém bez porównania mniejszéj przestrzeni gmin, w Galicyi rozmaitość w tym względzie pomiędzy niemi bywa bardzo wielka. Toż samo i pod względem zaludnienia, gdyż jest gmin 46, które mają zaledwie do 100 głów ludności, 41 mają przeszło po 5.000 a największa ilość, bo 2.187 gmin posiadają ludności od 500—1.000 głów. Prof. Pilat wykazując w swojéj statystyce różnorodność warunków miejscowego położenia znajduje, że „wielce niestosownym byłby wszelki szablon, określający zgóry i jednakowo dla całego kraju przeciętną rozległość gminy, albo ilość gmin, które mają złożyć nową gminę administracyjną, wszelka organizacya administracyjna,“ powiada w dalszym ciągu, „która ma odpowiadać potrzebom i trwale się utrzymać, musi liczyć się z stosunkami miejscowemi, urobionemi przez rozwój historyczny przy współ-

działaniu ekonomicznych i społecznych czynników.“ Tych samych opinij, jak widzieliśmy wyżéj, trzymała się w swoich motywach do projektu ustawy gminnéj nasza b. komisya sprawiedliwości.

Przechodząc do kwestyi podziału ludności pomiędzy samoistne jednostki gospodarcze, inaczéj odrębne ogniska domowe, z uwzględnieniem stanowiska i sposobów do życia, musimy zaznaczyć, że w zajmujących nasgminach przedstawiają się następne kategorye mieszkańców: a) Więksi właściciele, posiadacze własności podległéj ogólnym prawom krajowym, kategorya najmniéj liczna. b) Posiadacze uprzywilejowanych tak zwanych włościańskich gruntów z ilością minimum 3 morgów, a więc posiadających prawa czynnych członków gminy, w liczbie o wiele nawet przeważającéj sumę wszelkich innych kategoryj. c) Właściciele działków i placów niżéj 3 morgowéj przestrzeni, a więc pozbawieni praw czynnych członków gminy. d) Komornicy vel lokatorowie, niewłaściciele, zajmujący się czy to wyrobkiem czy też wiejskiemi rzemiosłami. e)Karczmarze, zajmujący się zwykle pewnego rodzaju połączonym z karczmarstwem przemysłem, jak masarstwo, tudzież sprzedaż pieczywa i korzennych towarów i przez to dających się najbliżéj do kategoryi handlujących zaliczyć. f) Utrzymujący handle otwarte w osadach tudzież sklepiki po wsiach za świadectwami na drobny handel. i g) Rodzaj handlarzy lub przemysłowców, zajmujących się pachciarstwem, dzierżawą ogrodów owocowych i handlem wędrownym po wsiach, zbiérających różne odpadki oraz pomniejsze produkty domowego gospodarstwa, jak cielęta, jaja, ptastwo, masło, séry etc., jakowe zdobywają częścią za gotówkę, ochotniéj zaś sposobem wymiany na drobne towary, poszukiwane przez kobiéty wiejskie. Ci to handlarze wzbijając się w większą cokolwiek zamożność dochodzą do skupywania zboża i innych produktów rolnych na własną rękę, lub też faktorują miasteczkowym kupcom. Klasa ta prawie wyłącznie składa się z Żydów.

W gminach nas zajmujących kategorye powyższe liczebnie dają się przedstawić w następującéj tabelce:

Nazwanie gminy.	Właścicieli większych.	Właścicieli mniejsz. do 3 m. włącznie.	Posiadających niżéj 3 morg.	Handlujących i utrzymujących sklepy.	Przekupniów oraz rzeźnik. i piekarzy.	Karczmarzy.	Rzemieślników or. fach.	Wyrobników.	Służących dworskich.	Ogół.
Gm. Gidle . .	6	399	89	26	17	21	84	114	56	812
Radziechowice	11	428	101	„	5	10	17	33	97	702
Brzeznica . .	9	638	128	13	22	23	49	71	78	1.031
Razem . .	26	1.465	318	39	44	54	150	218	231	2.545

Stosunek ten w procentach przedstawia się następnie:

Nazwanie gminy.	Właścicieli większych.	Właścicieli mniejsz. do 3 m. włącznie.	Posiadających niżéj 3 morg.	Handlujących i utrzymujących sklepy.	Przekupniów oraz rzeźnik. i piekarzy.	Karczmarzy.	Rzemieślników or. fach.	Wyrobników.	Służących dwoskich.	Ogół.
Gidle	0.7%	49.1	11	3.2	2.1	2.6	10.3	14	7	100
Radziechowice	1.6	61	15.7	,,	0.7	1.4	2.5	4.7	12.4	100
Brzeznica . .	0.9	61.9	12.5	1.2	2.1	2.2	4.7	7	7.5	100
Razem . .	1	57	13	1.5	1.7	2.1	6	8.6	9.1	100
		70%								

Z porównania cyfr powyższych widocznem się staje, że obie kategorye (2 i 3-a) tak zwanych włościańskich gospodarstw, to jest wyżéj i niżéj 3 morgów, tak dalece liczebnie przeważają w ustroju gminnym wszystkie inne kategorye, że ich jest przeciętnie od 60—75% pomimo to, że mamy przed sobą dwie gminy, w skład których wchodzą dawne miasteczka. Wielcy właściciele liczebnie zaledwie 1% stanowią, na wszystkie zaś inne kategorye przypada od 24—30%.

Zdawałoby się, że liczebność jest siłą, która zwykle nosi w sobie zaród przewagi, a przynajmniéj mocnéj podstawy, i która tém samém specyalnéj nie potrzebuje opieki. Przywileju dla obrony własnéj może faktycznie potrzebować chyba mniejszość, łatwo ulegająca przemocy. Pomimo jednak owego prawa liczbowego, u nas większość w gminie przeważająca jest jeszcze przytém w pewnym stopniu uprzywilejowaną i szczególną otoczona opieką. Przywilej ten i opieka, o których ukaz z r. 1864 o uwłaszczeniu nadmienia, rozwinięte są w postanowieniach urządzającego komitetu, wydanych w Listopadzie i Grudniu 1865 i dopełnionych ostatecznie w dniu 11 Stycznia roku 1866, i polegają na tém, że według nich własność włościańska staje się kastową i do pewnego stopnia jakby ordynacką. Nikt zatém kto nie udowodni za pomocą odpowiedniéj legitymacyi rzekomo włościańskiego pochodzenia nie może stać się nietylko właścicielem, lecz nawet zastawnikiem osady mniejszéj (włościańskiéj), i daléj, że osady te nie mogą ulegać podziałom familijnym w naturze na mniéjsze od sześciu morgów udziały. Piérwszy z tych przepisów o wyłączności kastowéj posiadania jest tylko właściwie czasowym, albowiem na zasadzie art. 10 wspomnianego rozporządzenia ustanowionym był na lat 10, a zatém do dnia 2 Marca roku 1874, z zastrzeżeniem wszakże, że moc tego przepisu obowiązywać przestanie jedynie po wydaniu osobnego w tym celu Najwyższego rozkazu. Ztąd gdy takowy rozkaz dotychczas nie nastąpił, prawo to obowiązuje do

dnia dzisiejszego. Drugi przepis o niepodzielności osad stanowi jakby wyjątkowe prawo i uprzywilejowany, a zatém wyjęty z pod ogólnego cywilnego kodeksu, rodzaj odrębnéj własności.

Piérwszy z owych przepisów miał naturalnie na względzie zastrzeżenie stanu włościańskiego od wydziedziczenia przez inne, jakoby nieprzyjazne mu stany, nie wydał jednak pożądanych owoców, nie tamując nikomu w praktyce, ani nawet Żydom, możności nabywania osad włościańskich, jak to zobaczymy niżéj, z wyjątkiem chyba owéj 1% liczby większych właścicieli, którym ekonomiczne warunki stanowczo ku temu stają na przeszkodzie.

Zanim udowodnimy nieskuteczność rzeczonego przepisu pod względem wszystkich innych warstw ludności gminnéj, musimy zaznaczyć, że prawo to teoretycznie stanęło w zupełnéj sprzeczności z zasadą obowiązującego u nas cywilnego prawa, na zupełnéj opartego równości i nie uznającego stanowych instytucyj, zasadą, która jakkolwiek politycznie mogła być w późniejszym czasie modyfikowaną pozostała jednak jako główny fundament społeczeństwa. Przepisy wydane przez rząd centralny i wskrzeszające od r. 1831 instytucyą szlachecką, w ustanowieniu departamentu heroldii, legitymacyi, oraz marszałków rzekoméj szlachty, pozostały bez żadnego praktycznego znaczenia tam, gdzie większa własność w znacznéj już części była w nieszlacheckich rękach, i gdzie nikt nie pytał o legitymacyą w stosunkach towarzyskich i społecznych, wszystko zaś co nosiło jakikolwiek ślad poloru lub znaczenia, bez różnicy w warstwach ludowych nosiło miano szlachty. Granice te owszem przez ów wpływ prawa francuzkiego tak się zatarły, że moglibyśmy naliczyć dużo familii pochodzenia kmiecego, posiadających do dzisiejszego dnia grunta włościańskie, podczas gdy oddzielni tychże członkowie stoją już na wyższych szczeblach społecznych; za przykład może posłużyć wieś Gidle, w któréj jedna rodzina osiadłych gospodarzy liczy do swoich krewnych tegoż nazwiska: senatora i dwóch księży. Gmina zaś Brzeznica wydzieliła z włościańskich familij: 4-ch księży, 1-go inżyniera i 5-ciu urzędników. Tym sposobem gdy granice stanowe pomiędzy klasą większych i mniejszych właścicieli straciły wszelkie prawne znaczenie, i 1%, stosunek liczebny piérwszych, nie mógłby podkopać elementu bez porównania liczniejszego, mogłaby chyba istnieć obawa o skupywanie przez większych posiadaczy cząstek włościańskich dla zaokrąglenia swoich posiadłości. Lecz w praktyce rzecz ta przedstawia się zupełnie odwrotnie. Drobne osady, przydatne jako warsztat do własnéj osobistéj pracy i w tym względzie przedstawiające bardzo poszukiwaną podstawę bytu dla klasy pracującéj, są tak drogie stosunkowo do dworskich gruntów,

iż żadną miarą nie mogą być przydatne jako warsztat przemysłowego gospodarstwa, opartego na najemnéj pracy, co właśnie wywołuje znany dobrze fakt coraz bardziéj upowszechniającéj się parcelacyi, lub cząstkowéj odprzedaży dworskich obszarów drobnym rolnikom. Jest to nawet jedyny dzisiaj sposób korzystnego spieniężenia nie procentujących folwarków; przy takim więc ekonomicznym stosunku przypuścić nawet trudno możliwość nabywania mniejszych gospodarstw dla zwiększenia zupełnie słabo procentujących obszarów. Wystawianie na poparcie podobnéj możliwości przykładów skupywania drobnych parcel w Prusach wschodnich (1), nie ma za sobą racyonalnéj podstawy; o ile bowiem wiadomości nasze sięgają, skupywanie tychże nie jest bynajmniéj przemysłem większych właścicieli dominialnych posiadłości (Rittergutsbesitzer), lecz raczéj tylko zamożnych właścicieli posiadłości włościańskich (Bauergüter), którzy rzeczywiście korzystają z możności nabywania rozdrobnionych upadających cząstek, ażeby je przyłączać do swoich osad, często już zabudowanych w postaci folwarków, do czego im kolonizacyjny kształt wsi daje ułatwienie. Podobnemu rodzajowi kommasacyi osad przez włościan, przepisy komitetu urządzającego i u nas bynajmniéj żadnych przeszkód nie stawią.

Pozostaje kwestya nabywania osad włościańskich przez resztującą część nieosiadłéj ludności gminnéj. Z téj ludności: 1) Wyrobnicy vel komornicy oraz parobcy dworscy i chrześcianie rzemieślnicy, około 20% ludności gminy wynoszący, jako rzeczywiście miejscowego i rolniczego pochodzenia de jure od praw nabywania osad włościańskich nie są wyłączeni. 2) Karczmarze i po części nieliczni oficyaliści dworscy lub są rzeczywiście widomego pochodzenia wiejskiego lub też w niektórych razach mieliby może trudność przedstawienia jakiéjkolwiekbądź stanowéj legitymacyi; jedni więc z prawa, drudzy ze zwykłéj z sąsiadami zażyłości zyskują niechybnie legitymacyą gromadzką, gdyż wieśniak nasz dobroduszny nie gniewa się wcale, gdy ktokolwiekbądź do widomego z nim przyznaje się braterstwa i nie staje się wreszcie ztąd żadna szkoda, bo ci nowo nabywcy jako przemyślniejsi i bardziéj wypraktykowani, często dają wzór bardzo porządnego kmiecego gospodarstwa. Trudniejsza zdaje się na pozór rzecz z Żydami, rozrzuconymi po wsiach, jako handlujący i przekupnie, w gruncie jednak również bez wielkich trudności daje się załatwić. Punktem wyjścia do tego służy nadanie Żydom na

(1) P. Symonenko: Statystyka Porównawcza. Kr. Pols.

własność przy wprowadzeniu w wykonanie ukazu z r. 1864 użytkowanych przez nich dworskich kawałków gruntu. Ukaz Najwyższy w art. 14 wprawdzie zalecił nadanie na własność gruntów, *wszystkim w ogóle włościanom* do jakiegokolwiekby rodzaju włościan należeli, to jest kolonistom, kmieciom, rolnikom, półrolnikom, ogrodnikom, komornikom, zagrodnikom i t. p. Z określenia tego wszakże jasno wypada, że chociaż tłómacząc ukaz dosłownie, trudnoby Żydów do włościan zaliczyć, w jednym tylko przypadku, z jakimkolwiek prawdopodobieństwem mogli rościć prawo do korzystania z przywilejów przytoczonego artykułu, to jest, jeśli byli rzeczywistemi kolonistami rolnikami. Wypadki takie wszakże były niezmiernie rzadkie i w niektórych nielicznych miejscowościach kraju spotykane; oddzielnie zaś uwłaszczani po wsiach Żydzi dzierżyli kawałki gruntu, powiększéj części jako przysługujący dworowi ku wygodzie, w postaci pachciarzów, rzeźników, krawców, lub faktorów, któremi się dwór do posyłek lub nawet w ogóle do załatwiania drobnych interesów posługiwał. Otóż albo ci Żydzi trzymali kawałki gruntu należące do prestacyi w r. 1846, i w takim razie grunta te na podstawie artykułu 6-go podlegały oddaniu na rzecz włościan, albo też posiadali kawałki należące bezpośrednio do dworu, i takowe powinny były podchodzić pod myśl artykułu 10, jako posiadane przez sługi dworskie. Gdy ukaz wspomniany o Żydach nigdzie nie wspomina, powyższe tylko tłómaczenie byłoby właściwie usprawiedliwioném (1).

Bądź co bądź stało się faktem, że przeróżnym powyżéj wspomnianego rodzaju przysługującym dworowi Żydom, przyznano grunta na prawach włościańskich, zkąd nie trudno o legitymacyą przy niewielkiém staraniu prowadzącą do częstych już barzdo przypadków nabywania przez Żydów osad włościańskich. Kwestya ta tak się przedstawia w zajmujących nas gminach:

---

(1) We wsi Kruszyna, w gminie tegoż nazwiska powiatu Radomskowskiego, egzystuje autentyczne podanie, iż Żyd rzeźnik, Herszlik Lagrzycki, dostał na własność kilka morgów z pustki po r. 1846 rozdawanéj komornikom, po ofiarowaniu wójtowi (włościaninowi) flaków, do których ten urzędnik miał wielką predylekcyą.

Nazwa gminy.	Osad uwłaszczonych na korzyść Żydów.		Osad nowo nabytych przez Żydów.	
	Ilość osad.	Przestrzeń tychże w morgach.	Ilość osad.	Liczba mórg.
Gm. Brzeznica . .	5 { 2 w osadz. Brzez. 3 po wsiach	? 17.66	1	6
„ Gidle	30 { 23 w osad. Pławno 7 we wsi	17 .17	3	24
„ Radziechowice	„	„	2	33½
Razem . .	35 { 25 w osadach 10 po wsiach	17 34.66	6	63½

Potrącając zatém osady (b. miasteczka), w których uwłaszczenie Żydów było faktem z wyraźnego przepisu pochodzącym, okazuje się, że na 10 uwłaszczonych we wsiach przybyło 6 nowych posiadaczy, co zaś do ilości gruntu, to ilość nabytego stanowi względnie do nadanego 183% .

Przy zręczności i zabiegliwości Żydów, nietrudną legitymacya pokrewieństwa ze współwyznawcami obdarowanymi, a często i przekupstwo wyrabia im tytuł „pochodzenia włościańskiego“ (Krestijanskaho Proischożdzienya) i w ten sposób tychże do nabywania włościańskich gruntów wbrew prawu dopuszcza, które to nabywanie, jak to się w ogólności daje spostrzegać, coraz większe przybiéra rozmiary. W początku bojaźliwie, dzisiaj zaś, po porzełamaniu piérwszych lodów, interes ten traktuje się otwarcie. Zwróciliśmy uwagę na tę słabą stronę piérwotnego tłómaczenia ukazu i dalszego w koniecznéj konsekwencyi wadliwego stosowania odnośnych przepisów, nie z jakiéjbądź niechęci do wyznania lub pochodzenia żydowskiego, lecz głównie z ekonomicznego i społecznego stanowiska, które nakazuje otwarte traktowanie rzeczy, nie oglądając się bynajmniéj na jakiebądź drażliwości, dla uniknięcia których niepodobna poświęcać krajowego dobra. Otóż w téj kwestyi uważamy za konieczne wyrazić się stanowczo przeciw faktowi przechodzenia osad włościańskich w ręce handlarzy i przekupniów żydowskich, albowiem jak obdarowani tak téż i nowo nabywcy z wyłączeniem może rzeczywistych kolonistów żydowskich, jeźli takowi gdzie istnieją, w bardzo tylko ograniczonym rozmiarze prowadzą gospodarstwo na siebie, a i w takich wypadkach nigdy około roli osobiście nie pracują. Domostwa zajmując sami, zakładają w nich podstawę swojego przemysłu i obrotów, w liczbie których lichwiarstwo niepoślednie zajmuje miejsce, większą zaś część gruntów wydzierżawiają włościanom, z których niejeden, oplątany w operacych kredytowych, służy utrzy-

mującym gospodarstwo robocizną w naturze, odbywając im pewien rodzaj pańszczyzny; wytworzenia się zaś podobnego rodzaju stosunków żadną miarą życzyć sobie niepodobna.

Zdarzają się też wypadki nabywania osad przed Żydów na spekulacyą w celu odprzedania z zarobkiem, do czego im ociężały i nie decydujący się często charakter naszego rolnika, w obec ich własnego sprytu, obszerne zostawia pole. Skoro istnieją już ograniczenia co do prawa nabycia gruntów tabelowych, nie ma racyi dla czegoby Żydzi byli faworyzowani za pomocą fałszywego tłómaczenia przepisu, który z tego powodu należy dopełnić wzmianką, że sam fakt pokrewieństwa z obdarowanym już ziemią Żydem nie wystarcza do uznania kontrahenta za należącego do klasy włościańskiéj.

Ażeby ocenić drugą część przepisu ograniczającego prawo własności włościańskiéj, niepodzielnością téjże poniżéj sześciu morgów, przedewszystkiém musimy zwrócić się do życiowéj praktyki. Otóż praktyka tu wskazuje niewątpliwie, że gdy przy rozmnażaniu się niektórych familij rolników potrzeba podziału własności sukcesyjnéj staje się naglącą, włościanie zaś mają wstręt do sprzedaży ojcowizny jeśli ich konieczność do tego nie zmusi, i gdy do spłaty jedni drugim środków najczęściéj nie mają, lub okazują wstręt do przyjęcia takowéj niepojmując inaczéj życia jak tylko na rodzinnym zagonie, dzielą ojcowiznę zupełnie prywatnie bez żadnych formalności, budują na takich częściach oddzielne chałupy, przez co powstają często bardzo drobne, parcele w naturze, gdy na papiérze egzystuje jakaś niepodzielna, niby to fideikomisoryczna posiadłość włościańska.

W gminach nas zajmujących rzecz ta przedstawia się następnie:

Nazwanie gminy.	Kategorye osad podzielonych.				Razem.	Ilość osad z podziału powstałych.			Razem.	Przybyło osad w skut. podz.
	18 morg. i wyżéj.	od 12 do 18 m.	od 6 do 12 m.	od 3 do 6 m.		6 morg. i wyżéj.	od 3 do 6 m.	niżéj 3 morg.		
Gm. Brzeznica . .	20	20	4	3	47	63	54	14	131	84
„ Gidle . . .	56	20	25	2	103	117	139	46	302	199
„ Radziechowice	„	5	16	„	21	„	49	„	49	28(1)
Razem .	76	45	45	5	171	189	242	60	472	311

(1) Z gminy Radziechowice, posiadamy tylko wykaz podziałów pod przepis nie podchodzących; z dołączeniem więc zaszłych istotnie a dozwolonych prawem ogólna liczba podziałów i w téj gminie większą wykaże cyfrę.

Z przytoczonych cyfr wypada, że przepis niepodzielności niżéj 6 morgów nie odnosi praktycznego skutku, gdyż, jak widzimy, ilość nowo powstałych osad nie dochodzących 6 morg. przestrzeni przedstawia się w następujących cyfrach: w gminie Brzeznica 68; w gminie Gidle 185 i w gminie Radziechowice 49, podczas gdy liczba podziałów mogących uzyskać sankcyą prawną nie przenosi w Brzeznicy 63, w Gidlach zaś 117 wypadków. Prawnie temu faktycznemu stanowi rzeczy zapobiedz niepodobna, gdyż żaden przepis nie może określić sposobu uprawy i używalności gruntów należących do jednéj familii, zmuszając ich do wspólnéj uprawy i nie dozwalając praktykowanego obsiewania odrębnych części przez każdego poszczególnie członka, gdyż ścisła kontrola w tym względzie byłaby w najwyższym stopniu uciążliwą i ściésniającą swobodę osobistą, nie odnosząc przytém rzeczywistego rezultatu. Jedyném następstwem tego stanu rzeczy, jeśli się on dłużéj przeciągnie, może być tylko najwyższe zawikłanie interesów familijnych i wielkie straty dla podzielonych, jeśli z powodu wynikłéj niezgody którykolwiek z członków zechce się odwołać do prawa.

Ze wszystkich powyższych danych i wyprowadzonych z nich wniosków, zmierzając do ostatecznéj konkluzyi, byłoby do życzenia, ażeby przytoczone dwa przepisy komitetu urządzającego o zamknięciu posiadaczy gruntów tabelowych w granicach kastowości i o ograniczeniu podzielności tych gruntów mogły uledz modyfikacyi, a mianowicie 1-y jako czasowy, w skutek wpływu jeszcze w r. 1874 zakreślonego terminu, i jako przypuszczający nie istniejące kastowe granice mógłby uledz zniesieniu w zasadzie, z pozostawieniem wszakże czasowo podwójnego zastrzeżenia: a) że grunta wiejskie zapisane w tabelach nie mogą być włączone do gruntów folwarcznych i b) że pochodzenie od Żydów uwłaszczonych przypadkowo lub jakiekolwiek z nimi powinowactwo nie nadaje prawa do legitymacyi ze stanu włościańskiego i do nabywania tém samém w dalszym ciągu osad tabelowych nie upoważnia.

Drugi przepis o niepodzielności 6-morgowych posiadłości, jako zupełnie niepraktyczny a nawet prowadzący za sobą zawikłania familijne, potrzebuje zupełnego uchylenia. Zastrzeżenie o niewcielaniu gruntów tabelowych do kompleksów dworskich, jakkolwiek utrudnione naturalném, jak to wzmiankowano wyżéj, ekonomiczném prawem, może być potrzebném dla uspokojenia pewnych obaw, wynikłych z troskliwości o utrzymanie drobnéj, wielce pożytecznéj w kraju własności, przynajmniéj w granicach obecnie istniejących. Zastrzeżenie pod względem Żydów, w dzisiejszych stosunkach społecznych jest nieodbitém ekonomicznie i moralnie, w obec wstrętu téj wybi-

tnéj dotąd rasowéj odrębności, do warunków ogólnego obyczaju i fizycznéj pracy i w obec łatwości u nich środków pieniężnych, zdobywanych bez trudu za pomocą przemyślności i sprytu. Inaczéj zbyt prędko mógłby się wytworzyć w kraju anormalny stan niepracujących osobiście drobnych posiadaczy ziemskich, w połączeniu z wyzyskiwaniem pracy nieoględnie wydziedziczonych. Ograniczenie to, które zresztą i dzisiaj de jure istnieje, i nie odnosi jedynie skutku z powodu obejścia przepisów, mogłoby równie nosić charakter czasowy o ile czasową się okaże odrębność żydowska, od obyczaju i ogólnego charakteru pracy narodowéj.

Jeśliby mogły powstawać obawy o zbytnie rozdrobnienie posiadłości wiejskich przez zniesienie prawa przeciwko parcelacyi nie miałyby podług nas dosyć racyonalnéj podstawy, pomijając bowiem nawet tę okoliczność, że to prawo nie zapobiega naturalnemu rozwojowi rzeczy, należy zauważyć: 1) że przy znacznêm rozmnożeniu się ludności, rozdrobnienie do pewnego stopnia jest nawet koniecznêm, bo inaczéj ziemia stałaby się przywilejem i nie czyniłaby zadość potrzebom ludności; 2) że rozdrobnienie musi miéć pewne naturalne ekonomiczne granice, i że przechodząc te granice wywołuje na nowo skupianie się zbyt drobnych cząstek, co daje możność tworzenia się rozmaitych typów gospodarstw wiejskich i 3) że drobność posiadania jeszcze zawsze jest lepszą od proletaryatu ruchomego, jako przedstawiająca element bardziéj spokojny i zachowawczy. Oprócz tego można się spodziéwać, że gdy z jednéj strony, część posiadłości wiejskich będzie się drobić, natomiast przybędzie, szczególniéj po uregulowaniu kwestyi służebności, wielka ilość średnich gospodarstw kmiecych, z częściowéj parcelacyi jeśli nie całych folwarków, to przynajmniéj znacznéj części zbytecznych obszarów, które zawsze znajdą nabywców, bo u nas waga oszczędności leży w niższych warstwach społecznych. Dużo jest w kraju drobnych kapitałów, które się duszą przy braku dla nich ujścia jedynego do którego dążą, a które polega na kupnie ziemi, hamowanêm dotąd bezwarunkowo nieuregulowaniem stosunków służebnościowych.

Szczególne obwarowanie i ograniczenie kastowe stanu włościańskiego u nas miało swoje motywa w wygórowanêm pojęciu o jego naturalnéj odrębności, opartém na rzeczywistéj wyłączności tego stanu w Rosyi, które to pojęcie tkwiło w umysłach mężów stanu, obmyślających zasady uwłaszczenia włościan w naszym kraju. Założycielem fundamentów „tego wspaniałego gmachu," jak się wyraża profesor Simonenko (1), był według niewątpliwego świadectwa tegoż

(1) Carstwo Polskoje w srawnienii z Poznaniju i Galiciej, lekcye publiczne. Warszawa r. 1878.

autora P. Milutin. Otóż nietylko ten ostatni, równie jak i jego następca Ks. Czerkaski, lecz i inni myśliciele rosyjscy, jak np. Ks. Wasilczyków w swojéj kwestyi agrarnéj, odrębność zupełną ustroju gminy (obszczyna) a właściwie gromady rosyjskiéj, uważają za szczególne dobrodziejstwo społeczne, mające zabezpieczać państwo od niebezpieczeństwa proletaryatu ruchomego i stanowić zadatek usunięcia trudności kwestyj agrarnéj na przyszłość. Ponieważ w niniejszéj analizie naszych stosunków gminnych uznajemy za konieczne powoływać się w niektórych razach na wzory innych krajów Europy, nie będzie od rzeczy zastanowić się nad ową wartością wysławianego ustroju gromady włościańskiéj w Rosyi, tém bardziéj gdy na rozwiązanie kwestyj tyczących się prawodawstwa gminnego u nas, przeważny wpływ mają statyści, zapatrzeni na ów ustrój gminowładnego samorządu w Cesarstwie, co się przebija w postanowieniach komitetu urządzającego, które pojmowały u nas gminę przeważnie jako samorząd włościański (krestijańskoje samouprawlenije).

Za główną podstawę gminnego samorządu uważają w Rosyi gromadę; gminę zaś (wołost') wielu poczytuje za podział sztuczny, jako wyraz zarządu raczéj niż samorządu, która nie jest przedstawicielką interesów wspólnych, lecz raczéj „terminem oznaczjącym starszynę i pisarza, który ma tę tylko zaletę, że drogo kosztuje.“(1) Otóż główną podstawą gromady w Cesarswie jest wspólna własność, którą gromada dzieli sama pomiędzy członków w miarę potrzeby tychże, co ma stanowić zadatek ogólnéj pomyślności, sprawiedliwy podział w używaniu wspólnego dobra, i główne remedium przeciw tworzeniu się ludności bezrolnéj. Prawdziwość tego twierdzenia jest jednak tylko pozorną, jak się pokazuje ze specyalnych nowych w tym przedmiocie studyów. Do takich należy ciekawa bardzo praca członka komisyi włościańskiéj Saratowskiéj p. Tryrogowa, pod tytułem „Dziesięcina podatkowa“(2), któréj szczegóły tém bardziéj są pouczające, że pan Tryrogów jest stanowczym stronnikiem wspólnéj gromadzkiéj własności, za przedmiot zaś badania obiéra monograficzne sprawozdanie o ustroju gromady (Araszyńskiéj), wzięte z natury.

W gromadzie owéj, cała ziemia jest idealnie podzieloną na tyle części, ile jest dusz rewizyjnych (nie zaś rzeczywiście istniejących) a to z powodu, że czynsze i podatki są określone z duszy rewizyjnéj,

---

(1) Między innemi broszura Russkija bytowyja diejstwitelnosti przez K. Petersburg, r. 1879. Podobnie Ks. Wasilczyków i inni.

(2) Podatnaja dziesiatina. Wiestnik Jewropy, Listopad r. 1878.

i w ten właśnie sposób wszelkie powinności przenoszą się z dusz na owe idealne poduszne cząstki gruntowe. Zobaczymy wszakże jak owa gromada dzieli te jednostki gruntowe pomiędzy swoich członków? Otóż dzieli je ona pomiędzy oddzielne familije, nie podług ilości dusz roboczych lub małżeństw potrzebujących uposażenia (tiagła), jak to było za poddańczego prawa, lecz raczéj podług siły płatniczéj tych familij, dzieląc ich na kategorye: 1-a kategorya nosi miano „bezdusznych“ to jest takich, którzy niezdolni do ponoszenia jakichbądź ciężarów, z powodu słabości siły roboczéj i braku inwentarza. Ci nietylko gruntu nie dostają, lecz są wykluczeni z obrad gromady, jako nie posiadający głosu; liczba tych familij wynosi 3 na 87. Skazane są one na szukanie wyżywienia za pomocą zarobków; 2-a kategorya nosi miano „słabych“ (mało moszcznych), tacy dostają po 1 cząstce i wyrażają się liczbą $^{10}/_{87}$; 3-a kategorya pojedyńczych (1 robotnik i 1 lub 2 konie), tych jest więcéj jak pół czyli $^{45}/_{87}$, dostają po 2 udziały; kategorya średnich i silnych $^{30}/_{87}$, którzy dostają od $2^1/_2$ do $5^1/_2$ udziałów.

W ten sposób tytko $^1/_3$ część wszystkich familij ma bardziéj dostateczne uposażenie gruntowe. W ustroju tym indywidualność człowieka jest zupełnie zatartą. Tu już nie figuruje *prawo*, ani nawet potrzeba, ale siła. Ekonomiczną jednostką nie jest familia, osada, lecz raczéj sprzężaj siły roboczéj ludzkiéj i zwierzęcéj, z odpowiednim do tego kawałkiem ziemi. Jest to stan bezwarunkowéj walki o byt i zwycięztwo siły w najobszerniejszém znaczeniu, w połączeniu z despotyzmem większości w obec nieustalonych praw jednostek, które mogą od wszelkiego udziału w postanowieniach gromady być wyłączonemi. Gdy wszelkie prawo cywilizowane zapewnia przedewszystkiém opiekę słabym i nie mogącym sobie radzić, prawo gromady jako przewaga siły, jako maszyna ekonomiczno-państwowa, druzgocze pomiędzy zębami swego nieubłaganego mechanizmu wszystko co słabe i niedołężne, wyrzucając zmiażdżone jako niepotrzebne odpadki. Po śmierci głowy familijnego związku, jeśli ten nie posiada siły roboczéj, nieletni w piérwszym zaraz roku, uznani jako bezduszni, pozbawieni działu gruntowego, pozostaną niezwłocznie bez żadnych środków egzystencyi. Jako ilustracya wadliwości podobnego ustroju posługuje opisany przez tegoż p. Tryrogowa przykład Sokurskiéj gromady, w któréj z 570 familij $^2/_3$ jako faktycznie bezduszni i słabi postanowili wyrzeć się wyższego uposażenia w ziemi, przechodząc na pozwolony prawem tak zwany daremny wydział gruntowy ($^1/_4$ część określonego ustawą włościańską), gdy zaś pozostała $^1/_3$ część chciała przyjąć na siebie wszystkie powinności i zatrzymać grunta; propozycya ta, jako pochodząca od ilości głosów nie

mających prawa stanowienia, nie mogła być uwzględnioną, przez co interes znakomitéj mniejszości został mechanicznie zdruzgotany, i gromada postradawszy zabezpieczające jéj byt uposażenie, zmuszona dzierżawić grunta dworskie, doszła do konieczności płacenia za samę tylko paszę bydła r. s. 600, co ich doprowadziło do umniejszenia ilości tego bydła i ograniczenia gospodarstwa.

Główną podstawą ustroju społecznego cywilizowanego w Rosyi jest prawo pisane cywilne, oparte na indywidualnéj własności i niezależności jednostki, gdy zaś blizko $^4/_5$ ludności państwa, a więc najsilniejsza jego liczebna podstawa, pozostaje w poddańczéj zależności u gromady; taki stan raczéj za przejściowy, aniżeli normalny poczytywać można. Stan ten, dający przewagę, jedynie tylko sile fizycznéj i ekonomicznéj, nie odpowiada ani pojęciom indywidualizmu, które stanowią prawną podstawę bytu państwa, ani téż nowszym socyalnym poglądom, które na to tylko ograniczają swobodę jednostek, ażeby im rzekomo zapewnić wymarzony, idealnie sprawiedliwy udział w używaniu krajowego bogactwa. Trudno przypuścić dwulicowość w ustroju społecznym normalnego państwa, jedność w tym lub owym kierunku musi koniecznie się wytworzyć. Powyższa wspólność własności oprócz tego, że nie zapewnia sprawiedliwego podziału, przedstawia jeszcze to niebezpieczeństwo, że gdy z rozrostem ludności materya podzielna staje się coraz stosunkowo szczuplejszą, mogą się zjawić zachcianki, sięgające po za granicę danego im uposażenia, produkcyjnie zaś jest wadliwą, gdyż niestałość ciągle zmiennego posiadania (1) bez sterkoryzacyi wyniszcza płodność gruntu i zmniejsza możliwe plony, uszczuplając masę krajowego bogactwa. Można się więc spodziewać, że raczéj prawo cywilizacyjne stanie się udziałem klasy włościańskiéj, i stopniowo dojdzie ona do stałego podziału gruntów, jednocześnie z rozszerzeniem się oświaty i związanych z nią pojęć społecznych. P. Tryrogow, który sobie tego wcale nie życzy, przytacza jednak fakty, które zdają się prawdopodobieństwa naszych przypuszczeń dowodzić. Z 278 gromad guber. Saratowskiéj, o których posiada ten autor dokładne wiadomości, 23 gromady w r. 1862 nie zmieniały faktycznie podziałów, cztéry zaś z téj liczby i de jure postanowiły podziałów nie zmieniać, co już stanowi przejście do osobistéj własności. Cyfry to w prawdzie bardzo małe w obec 128 gromad, które corocznie grunt na nowo rozdzielają, zawsze jednak wskazują one, że i w téj, jeszcze

---

(1) Gromady co kilka lat zmieniają podziały.

niecywilizowanéj masie, indywidualne pojęcia zaczynają się wyrabiać, coby się jeszcze mogło silniéj rozwijać przez umiarkowany wpływ prawno-państwowy.

W każdym razie z powyższego pobieżnego szkicu wyradza się ten pewnik, że idee, ugruntowane na zasadach samorządu rosyjskich gromad, u nas żadnego korzystnego zastosowania mieć nie mogą, wpływ ujemny na prawodawstwo gminne raczéj wywierając.

Od téj pomimowolnéj dygresyi w stronę rosyjskiego gminnego samorządu, która wszakże nie jest pozbawiona wszelkiego interesu, pozostaje nam, wracając do faktycznego stanu gmin nas zajmujących, dotknąć kwestyi majątku gminnego, siły podatkowéj gminy oraz budżetu jéj potrzeb i środków pokrycia onego.

II.

Gminy, które obraliśmy za przedmiot niniejszego studyum, jako jednostki sztuczne, w skutek administracyjnego podziału powstałe, nie mają właściwie majątków gminnych. Jedna tylko gmina Gidle posiada wyjątkowo dział gruntowy 5 m. 245 pr. ziemi i 8 m. 197 pr. łąki a razem 14 m. 142 pr. zawiérający. Fundusz ten jednak jest zupełnie przypadkowym i pochodzi raczéj ztąd, że Gidle i parę wsi sąsiednich jako poklasztorne, a zatém rządowe, stanowiły oddzielne wójtowstwo i miały wyznaczony od komisyi skarbu powyższy dział gruntowy jako uposażenie wójta. Przy formowaniu tabeli likwidacyjnéj (dawnéj), dział ten zapisany jako wójtowski pozostał i po zlaniu kilku gmin sąsiednich w jednę na korzyść nowo utworzonéj gminy. Dochód z niego nie wchodzi wprawdzie do budżetu, wartość jego dzierżawna wszakże w ilości rs. 60 umniejsza jakoby o tyleż sumę naznaczoną od gminy na furmanki dla wójta.

Wszelkie inne posiadłości w gminie są własnością oddzielnych gromad. Największą cyfrę tych wspólności stanowią pastwiska, których przestrzeń wynosi w ogólnych cyfrach.

W Gminie Gidle	1201 m.	92 pr.
„ Radziechowice	1558 „	175 „
„ Brzeźnica	830 „	148 „

Pastwiska te naturalnie nie mogą być uważane jako majątek gromadzki, któryby przynosił dochód na ogólne potrzeby gromady, lecz raczéj jako dobro wspólne, obracane na bezpośredni użytek

członków gromady. Wszakże i w takim razie pastwiska te właściwie powinnyby dostarczać pewien dochód z opłaty od sztuki, chociażby w takiéj wysokości, ażeby zebrana kwota pokrywała podatek rządowy i składkę gminną z tychże pastwisk przypadające, z niejakim remamentem, któryby służył do ulepszenia tegoż pastwiska, jak np. do osuszenia mokradli, obsadzenia nizkich miejscowości wierzbami, lub poprawy suchych przez stopniową uprawę i obsiew, szczególniéj obsadzenie wierzbami w szachownicę, jak to widzieliśmy w niektórych miejscowościach Sandomierskiego, wielkie zapewnia korzyści; wierzby przy obcinaniu kolejném gałęzi dają dosyć obfity materyał opałowy, a przytém przez pewne ocienianie ciągle wygryzanéj trawy chronią ją od wypalenia w czasie upałów i posuchy, zabezpieczając pasący się inwentarz od zbytniego gorąca. Tymczasem nietylko gromady nie myślą o jakiéjbądź amelioracyi, lecz wypasują je od najwcześniejszéj wiosny, wyganiając nietylko bydło, ale i ptastwo szczególniéj gęsi, które pastwisko zanieczyszczają i czynią go prawie nieprzydatnym dla inwentarzy. Ciężar podatków i składek od przestrzeni zajmowanych przez pastwisko, przy systemacie opłaty od sztuki pasanego bydła, rozkłada się słusznie i stosunkowo do używalności; przy bezpłatnéj zaś używalności spada on w całości na grunta orne i łąki, albowiem całą ilość podatków i składek rozdzielają włościanie na morgi innych użytków to jest łąk i gruntu ornego. Według §. 75 ustawy gminnéj galicyjskiéj, członkowie korzystający z pastwisk powinni składać się na pokrycie wydatków połączonych z posiadaniem i używaniem tego dobra gminnego, a zatém opłacać przynajmniéj kwotę potrzebną na pokrycie podatku i kosztów administracyi. Pomimo to, chociaż i w Galicyi przepis ten nie jest wszędzie obserwowany ściśle, to wszakże stosunki są pod tym względem racyonalniejsze, skoro 4% gmin oddaje pastwiska w dzierżawę, 39 zaś procentów dozwala je używać członkom swoim za opłatą.

Z lasami wspólnemi rzecz się jeszcze daleko gorzéj w naszych gminach przedstawia. Prawie powszechnie, gdy nastąpi układ pomiędzy użytkownikami służebności z jednéj a właścicielem lasu z drugiéj strony, wydzielony na to wynagrodzenie kawał lasu, włościanie zaraz dzielą pomiędzy osady na kawałki i niezwłocznie w pień wszystko drzewo wycinają, nie tyle na swoją potrzebę, ile raczéj na sprzedaż.

W gminie Radziechowice, gdzie z 10 większych prywatnych własności w 8-iu ułożono się o serwitut, wszędzie las wraz po podpisaniu układu został podzielony i wycięty, a mianowicie: W Zarzówku 22 morgi, w Stobiesku Szlacheckiém 18 morg., w Galonkach 11 morg.

w Woli Gedlińskiéj 25 morg., w Łodzicach $13^1/_2$ morg., w Wierzbicy 20 morgów (1).

W gminie Gidle, lasy gromadzkie liczą się tylko przy osadzie Pławno i przy wsi Kotwinie. Pierwsza miała morg. 116, druga morg. 60. Oba te lasy już rozdzielone i wycięte.

Ocalał tylko dotąd jedyny las w gminie Brzeźnica, należący do osady tegoż nazwiska w ilości morg. 420. Las ten, zastrzegany dawniéj przy czujnéj opiece nad gospodarstwem miejskiém b. komisyi spraw wewnętrznych, dziś z bardzo słabéj korzysta ochrony, nie prowadzi się w nim żadne gospodarstwo, a nawet przeszłéj zimy wielu mieszkańców osady robiło zabiegi o rozdział jego pomiędzy osadników, w skutek czego byłoby zupełne wycięcie, po którémby obecnie już egzystująca nad Wartą olbrzymia wydma piaszczysta powiększyła się w dwójnasób; las ten bowiem rośnie na przyległym do téj wydmy, słabym piaszczystym gruncie.

W Prusach, lasy wspólne mające obszaru 30 morg. magdeburskich nie mogą być samowolnie wyniszczane i podlegają obowiązkowemu w miarę użycia zadrzewieniu. W wielu galicyjskich gminach lasy stanowią przeważną ilość majątku gminnego. Ciekawe i dokładne szczegóły w téj materyi są zamieszczone w pracy dokt. Ochenkowskiego „Ziemska własność gmin w Galicyi, ich kapitały pieniężne i stan bierny (2).“ „Posiadanie większéj przestrzeni lasu,“ powiada dr. Ochenkowski, „jest tak wielkiéj doniosłości w gospodarstwie gminném“, że wyróżnimy gminy posiadające większe obszary lasu, tém bardziéj, że skupienie tak znacznéj przestrzeni lasowéj w majątku ciała publicznego, jakim jest gmina, jeżeli tylko częściéj się trafia, nie może pozostać bez wpływu na ekonomiczne stosunki całych powiatów.“ Z wykazanych w téj pracy szczegółów widać zatém, że naprzykład w powiecie Nowo Sądeckim jedna gmina Piwniczna posiada 2.240 morg. lasu, daléj w 7-u powiatach spotykają się gminy posiadające od 1.000 do 2.000 morg. lasu, w 13-u zaś powiatach mające po 500 do 1.000 morg., przeciętnie zaś na jednę gminę po 40 morg. przypada w $^4/_5$ powiatów, co nie jest zbyt mało skoro się przypomni, że przeciętna przestrzeń dla gmin galicyjskich wynosi tylko $^1/_4$ mili geograficzn. czyli o mało więcéj nad 12 wiorst kwadratowych.

---

(1) Układy o zamianę służebności w tej gminie tak stosunkowo obfite zawdzięczają swój byt dobremu wpływowi b. wójta gminy, który zaufania jakie posiadał u włościan na dobre umiał używać. Wójtem tym był p. Borkowsi, obecnie sędzia gminny w Brzeźnicy.

(2) Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych wyd. przez krajowe biuro statystyczne. Lwów, 1874. Rocznik 1.

Lasy gminne lub gromadzkie szczególniéjby powinny być ochraniane; mogą one stanowić ważne zabezpieczenie jednéj z najkardynalniejszych potrzeb ludności wiejskiéj. Jako zaś stanowiące własność osób moralnych, łatwiéj mogą podlegać reglamentacyi prawnéj oraz obowiązkowéj ochronie. To téż na zachodzie Europy, gdzie i prywatne lasy podlegają prawnéj opiece, lasy gminne tém bardziéj są zastrzeżone i przeto w niektórych krajach znaczny kapitał leśny stanowią. Biorąc naprzykład sąsiednie nam Niemcy, widzimy, że w Hessyi Elektoralnéj przy 40% lasu względnie do ogólnéj przestrzeni, lasy gminne i instytutowe stanowią 12% czyli więcéj niż część czwartą, w Darmsztadzkiém przy 33% lasu, gminne stanowią również 12% czyli więcéj niż 1/3, w Badeńskiém zaś przy 32% lasów instytutowe zajmują 17% czyli więcéj niż połowę wszystkich lasów.

Jeżeli zamiana służebności nastąpi u nas przed wydaniem ustawy leśnéj, zabraniającéj bezwarunkowo rozdziału i wyniszczenia lasów gromadzkich, w takim razie, też gromady mając prawo stanowić takowy rozdział na zasadzie 107 artykułu ukazu o urządzeniu gmin z r. 1864 zmarnują bezpowrotnie cały przyznany im kapitał leśny, a pozbawieni już pomocy ze służebności, znajdą się w krytycznym stanie, szczególniéj w okolicach małoleśnych, pod względem zaspokojenie jednéj z najważniejszych potrzeb do życia.

Gminy w Królestwie, jak powiedzieliśmy wyżéj, nie posiadają majątków gminnych, a tém samém i kapitałów; wyjątek tu wszakże stanowią dawniejsze miasta a dzisiejsze osady, które przy rozmaitych dawniéj im przysługujących dochodach miejskich, dzięki szczególnej troskliwości i opiece b. komisyi spraw wewnętrznych, z budżetowych oszczędności uzbierały chociażby i niewielkie lokowane w Banku Polskim kapitały.

Tym sposobem osada Pławno posiada jakoby przeszło 800 rubli, osada zaś Brzeźnica około 750 rs. kapitału.

Dochody z tych kapitałów, które na zasadzie art. 8 ukazu z dnia 1 Czerwca r. 1869 o zamianie niektórych miast na osady mogą być używane na zaspokojenie bieżących potrzeb gromady oraz na utrzymanie zarządu gromadzkiego lub gminnego etc., prawdopodobnie nie są pobierane i muszą chyba kapitał pomnażać. Osady, które od pedantycznego biurowego zarządu Magistratów przeszły na zupełnie luźny ustrój gromadzki i po zużyciu na pieprz starych aktów żadnych nowych nie mają, nie są w posiadaniu jakichbądź dowodów lub rachunków o stanie przysługujących im kapitałów. Rachunki te chyba posiada rząd gubernialny, albowiem Bank Polski, z kapitałow miejskich lokowanych na 3%, prowadzi jedynie rachunek ogółowy na całą gubernią. Jedynie część jakaś kapitałów

miejskich lokowanych na 4% ma specyalne rachunki. Takiego kapitału Brzeznica posiada w Banku tylko 29 r. 45 kop. (o różnicy i powodach takiéj podwójnéj lokacyi na 3 i 4% nie posiadamy wiadomości).

Na zasadzie art. 6 wzmiankowanego ukazu o przemianowaniu miast na osady, kapitały miejskie mogą być obrócone na założenie gminnych kas oszczędności i pożyczek, kapitały jednak wspomnione na ten cel nie były obrócone.

W gminie Brzeznica nie zaszła tego potrzeba, skoro dawniejsza kasa Dwornowicka po złączeniu téj gminy z Brzeznicą przeszła na usługi całéj nowo uformowanéj gminy, w gminie zaś Gidle chociaż kasa pożyczkowa nie egzystuje, i robiono uchwały o użycie na ten cel kapitału miasta Pławno, uchwały te wszakże nie odniosły skutku, nie mogliśmy wszakże się dowiedzieć z jakich powodów; czy to w skutek, że zaległy w zarządzie gminnym, który ich nie przedstawił gdzie się należy, czyli też może nie uzyskały sankcyi właściwéj władzy. Kasa dawniéj Dwornowicka a dzisiaj Brzeznicka powstała z pożyczki rządowéj w ilości 611 r.

Do tego posiada na lokacyi kapitałów różnych osób tudzież małoletnich. . . . . . . 1.647 r. 85½ k.

Razem stan bierny stanowi 2.258 r. 85½ k.

Stan czynny zaś w końcu upłynionego roku wynosił: na pożyczkach r. . . . . 3.181 r.

w gotowiznie . . . . 73 r. 88

Razem 3.254 r. 88

Za potrąceniem pasiwów 2.258 r. 85½ k.

Pozostaje jako czysty fundusz kasowy powstały z zysków na procentach . . . . . 996 r. 2½ k.

Kasa wkładowo pożyczkowa w gminie Radziechowicach powstała 10 (22) Maja r. 1869 również z pożyczki rządowéj w wysokości . . . . 736 r. 87½ k.

Do tego na lokacyi kapitały prywatnych i małoletnich stanowią . . . . 1.491 r. 96

Razem stan bierny 2.228 r. 83½ k.,

a że kapitał obrotowy z końcem roku wynosił 3.596 r. 74

Za potrąceniem przeto pasiwów . . . . . 2.228 r. 83½ k.,

Pozostaje aktiwów 1.367 r. 90½ k.,

które stanowią własność instytucyi powstałą z zysków na procentach; gdy te kasy biorą od dłużników po 8, opłacają zaś kredytorów po 6%.

Procent roczny w r. 1879 wynosił w kasie Radziechowickiéj rs. 248 kop. 84, pożyczek w tymże roku udzielono 128, odebrano zwró-

conych całkowicie 67. Najwyższe pożyczki dochodziły do rs. 60, najniższe zaczynały się od 5 rubli, największa ilość udzielonych stanowią kategorye po 10—15 i 20 rubli.

Z powyższych cyfr przychodzimy do wniosku: że tam tylko spotyka się zawiązek kapitału gminnego, gdzie są już założone kasy wkładowo-pożyczkowe; szkoda jednak wielka, że wiadomości o téj gałęzi gospodarstwa gminnego są tylko rozproszone w mało dostępnych dla publiczności sprawozdaniach gubernatorów; tak więc nie wiemy ani o ilości kas pożyczkowych włościańskich w całém Królestwie, ani o wysokości ich kapitałów.

Zaledwo udało nam się spotkać z przeglądem gub. Warszawskiéj z r. 1876 (Dodatek do najpoddanniejszego raportu Warszawskiego Gubernatora), z którego widzimy, że w r. 1876 w téjże gub. Warszawskiéj na 156 gmin gubernii, 76 gmin czyli 48% posiadało kasy pożyczkowe z obrotowym w nich kapitałem rs. 260.386 kop. 52 (1), kapitał zakładowy wynosił rs. 72.431 kop. 35½ czyli 28,7%, resztę kapitału obrotowego stanowią lokacye. Z powyższéj cyfry kapitału zakładowego 45% stanowią pożyczki rządowe, własny więc kapitał kas jest bardzo nie znaczny, stanowi bowiem na 76 kas rs. 39.542 kop. 49½ czyli po 520 rs. 22 kop. na każdą w przecięciu.

Dostępniejsze są dla nas wiadomości o stosunkach galicyjskich, albowiem wiemy dokładnie, że w 71 powiatach Galicyi w r. 1873 kapitały własność gmin stanowiące wynosiły około 7 milionów złotych reńskich, z których ⅔ lokowane w obligacyach indemnizacyjnych, mniejsza zaś część w wierzytelnościach i mała ilość w gotowiznie. Do tego kapitału doliczyć należy pół miliona złotych reńskich kapitału zakładowego kas pożyczkowych w tymże r. 1873. Że stały fundusz tych kas wzrasta znakomicie, widzimy ztąd, że w roku 1878 1.617 kas pożyczkowych posiadało kapitału przeszło 1.300.000 złotych reńskich.

Przechodząc następnie do dalszych objawów życia gminnego w zakresie niniejszego studyum, zaznaczyć musimy tę ogólną prawdę, że głównym celem organizacyi gminnéj jest urzeczywistnienie tych widoków i potrzeb społecznych, do których pojedyńczy członkowie własnemi siłami dojść nie mogą i które tylko za pomocą sił zbiorowych na korzyść stowarzyszenia mogą być osiągnięte. Jakkol-

---

(1) Obzor Warszawskoj Guber. za 1876 g. Kapitał obrotowy w konkluzyi odnośnego sprawozdania wyrażony na 260,186 rs. 52 k., w rzeczywistości jednak cyfra ta jak wyżej wynosi 260,336 rs. 51 k. jest o 200 rs. większa, co łatwo obliczyć z zestawienia szczegółowych cyfr obrotów kassowych. Omyłka ta niekorzystnie świadczy o ścisłości obliczeń rachmistrzów gubernialnych.

wiek ustawa gminna u nas zostawia jak wiadomo zbiorowemu ciału nieograniczone prawo opodatkowania swych członków na cele i potrzeby wspólne, pomimo to jednak żadne z tych celów i potrzeb uwzględnione nie są. Jedne z nich jeszcze się dostatecznie nie rozwinęły, inne przechodzą możność słabego ekonomicznie ciała, inne jeszcze, jakkolwiek pierwszorzędnego znaczenia, zaniedbane są z powodów wadliwéj organizacyi od postanowień gminy niezależnych. Do pierwszych kategoryj należą zakłady dobroczynne i szpitale. Dobroczynność organizowana nie zdaje się być jeszcze nagląco potrzebna, skoro oprócz zwyczajnych żebraków pod kościołem, którzy sobie z tego rzemiosła najczęściéj organizują przemysł, szczególna nędza potrzebująca gwałtownéj pomocy w gminach jeszcze dotąd nie jest rozwiniętą. Egzystują w prawdzie przy niektórych kościołach tak zwane szpitale, czyli raczéj przytułki mieszczące po kilku ubogich lub tak zwanych babek szpitalnych, nie należały one wszakże nigdy do gminy, lecz raczéj stanowiły instytucye czysto parafialne, które powstały z inicyatywy najczęściéj samych proboszczów a w niektórych razach i kolatorów.

Instytucye te z mocy ukazu z dnia 19 Czerwca 1870 r. (p. 4 oraz 65—69) przeszły z pod zwierzchnictwa instytucyj parafialnych pod bezpośredni zarząd wójtów i zgromadzeń gminnych; ile one na tém przejściu zyskały, za przykład posłuży dom schronienia przy parafialnym Gidelskim kościele.

Z wizyt kościelnych, które się dochowały z drugiéj połowy XVIII wieku, okazuje się, że w owym czasie istniał dom przytułku parafialny, na tymże miejscu i w tymże kształcie jak dzisiaj, to jest o 4 izbach, mieszczący różnemi czasy od 6—8 ubogich; dom ten był wystawiony i podtrzymywany przez kolatorów „wielebnych Kartuzów zakonników“, którzy w r. 1641 fundowani przez Zuzannę de Przeręb Oleską Podkomorzynę koronną byli téj wsi właścicielami (1).

Że szpital ten jednak istniał daleko dawniéj przed wystawieniem dla niego lokalu przez Kartuzów, okazuje się z wizyt probostwa Gidelskiego z których w jednéj wymieniony jest budynek do plebanii przynależny a niegdyś służący na pomieszczenie szpitala. W pierwszéj połowie XIX w. po skasowaniu Kartuzów i zaborze ich funduszów na rzecz skarbu, restauracyi szpitalnego domu, według

(1) Fundatorka nadała Kartuzom dobra Gidle z przyległościami Stęszów, Ruda, Niesulów, Górka, Wojnowice, oraz Fabianice i Lustowice w Krakowskiém. Do r. 1759 mieli tylko Erem i kaplicę, w tym roku wystawili kościół, który się do dziś dnia dochował i świeżo na parafialny oddanym został.

miejscowego podania, dopełnił wieczysty dzierżawca, któremu razem z dzierżawą dóbr, komisya skarbu przekazała kolaturę kościoła.

Szpital w mowie będący nie posiadał żadnych stałych środków utrzymania, jak o tém oprócz wspomnianych wizyt świadczy urzędowy opis funduszów parafialnych z dnia 19 Lutego r. 1819. Dopiéro w r. 1856 spadły na niego dwa zapisy: jeden w ilości rs. 75 zapisanych aktem rejentalnym przez Grzegorza Pierścińskiego, lokowany na dobrach Konary, drugi zapis przez miejscowego proboszcza W. Kanonika Nowickiego w kwocie rs. 600, lokowany w dobrach Ciążkowice, zasilał przytułek procentem, aż do czasu kiedy obie sumy w r. 1867 w listach likwidacyjnych złożone były jako kapitał szpitalny w Banku Polskim. Że jednak zapis rs. 600 był warunkowym, jako ofiarowany z konieczném zastrzeżeniem szafunku procentów pod dyrekcyą i kontrolą miejscowego proboszcza oraz dziedziców wsi Ciążkowic i z klauzulą o powrocie kapitału na własność zapisodawcy, w razie jakiéjkolwiek zmiany wyrażonéj przez niego woli, z tego powodu kapitał ten jako zakwestyonowany spoczywa w Banku Polskim dotąd bez użytku; od pierwszego zaś zapisu nagromadzony procent w ilości rs. 39 w r. 1878 przysłany do kancelaryi gminnéj, do dzisiaj nie wiadomo gdzie i na jaki cel obróconym został, szpital bowiem z téj kwoty żadnéj nie otrzymał zapomogi. Że podobnéj administracyi dobra publicznego, oddanego pod wiedzę gminnego zarządu, zwyczajnie oczekiwać należy, wynika to z właściwości samego ustroju organów administracyi i kontroli w gminie, których wadliwość w dalszym ciągu postaramy się wykazać.

Szpitalów właściwych jako zakładów leczniczych, gminy nasze nie mają wcale, nie posiadają też żadnéj stale uorganizowanéj pomocy lekarskiéj, co przy wstręcie nawet uboższéj klasy do pomieszczania swych chorych w zakładach publicznych, powiększyłoby i tak już dosyć uciążliwy, jak to zobaczymy, budżet gminnych wydatków; pomimo że te uwzględniają nie wielką stosunkowo liczbę potrzeb ogólnych, wyłącznie prawie zawartych w granicach administracyjnego mechanizmu.

Jedno z ważniejszych zadań społecznych, ukształcenie elementarne, ukaz z r. 1864 o szkołach początkowych pozostawia wyłącznéj opiece zarządów gminnych i gromadzkich, wkładając na te zarządy obmyślenie środków utrzymania szkół ludowych. Ustawa szkolna z r. 1862 dzieliła szkoły na początkowe i elementarne, jedno i dwu klasowe, rządowe lub gminne. Pierwsze, właściwie początkowe, z nauką czytania, pisania, katechizmu i śpiewu kościelnego, miały się wyłącznie urządzać we wsiach z inicyatywy własnéj mie-

szkańców sposobem składek lub ofiar, drugie, w obszerniejszym cokolwiek zakresie, miały być przez rząd zakładane, z tém nadmienieniem, ażeby przynajmniéj każda gmina taką posiadała szkołę, a jakeśmy widzieli wyżéj, gminy miały odpowiadać parafiom, a więc były mniejsze od obecnych. Fundusze na utrzymanie szkół gminnych, oznaczone wyraźnie w drodze prawodawczéj (art. 15), miały się utworzyć z dodatków, do niektórych podatków stałych w ilości 18% a mianowicie: a) do podymnego i połączonéj z nim opłaty szarwarkowéj: b) do opłaty od procederów, konsensowego, od szynków i kanonu zarobkowego po miastach i c) do opłaty wnoszonéj przez oficyalistów i służących dworskich.

Prawo to, stanowiące byt i środki finansowe, wyraźnie przez prawodawstwo krajowe określone i niezależne od zaściankowych poglądów, z drugiéj strony, oddające też instytucyą pod opiekę i zarząd bezwarunkowy oddzielnego organu, pod nazwaniem dozoru szkolnego, mającego się wytworzyć w łonie samorządu gminnego, najbardziéj się przez to zbliżało, jak to zobaczymy niżéj, do charakteru samorządnych instytucyj angielskich, tak zwanego selfgowernementu, który słusznie uchodzi za pierwowzór téj gałęzi ustroju społecznego.

Ukaz z roku 1864 zachował właściwie powyższy podział, mianując szkoły początkowe, które mają służyć dla oddzielnych wsi lub gromad, wioskowemi czyli gromadzkiemi; szkoły zaś utrzymywane z sum skarbowych, funduszowych, z legatów lub ze składek w gminie zbieranych, jeśli są urządzone dla całéj gminy lub dla kilku gmin (art. 5)—szkołami gminnemi. Różni się więc ostatnie prawo od poprzedzającego głównie w tém, że nie obmyśla stałego bytu dla szkół gminnych, lecz pozostawia go wedle art. 11 w zależności od woli gminnego zebrania.

Prawo to, pomimo że jest zupełnie wyraźne, w praktycznem zastosowaniu ostatniemi czasy w gminach nas zajmujących, oraz w całym powiecie Radomskowskim (a być może i w całéj dyrekcyi Łódzkiéj szkół ludowych), uległo zupełnie odmiennemu tłómaczeniu i zastosowaniu. Władze powiatowe administracyjne stawiły wszystkim zebraniom gminnym wniosek: ażeby istniejące szkoły wioskowe, czyli właściwie podług przepisów komisyi edukacyjnéj z r. 1808 na stowarzyszeniu oparte, zamianować gminnemi, w celu przeprowadzenia etatu ich utrzymania na koszt budżetu całéj gminy. Pomimo powszechnéj, początkowo stawionéj przeciwko téj nowości, opozycyi zebrań gminnych, te ostatnie uległy szczególniéj w obec bardzo wymównego dla włościańskiéj większości argumentu, że uchwała taka

ulży tymże włościanom o połowę koszt utrzymania szkół im przysługujących, zwalając tę połowę na większą własność, która na zasadzie ukazu i uchwał komitetu urządzającego do podobnego współudziału nie była obowiązaną. Protestacye i skargi większych właścicieli przeciw takiemu tłómaczeniu prawa zostały wszystkie bez skutku.

Uważaliśmy za konieczne przedstawić cokolwiek ogólniejsze położenie kwestyi, ażeby miejscowe stosunki, które nam z kolei przychodzi przedstawić, mogły być czytelnikowi bardziéj zrozumiałem.

Wypada więc z poprzedniego objaśnienia, że w gminach opisywanych przez nas nie ma wcale szkół pod nazwą gromadzkich czyli wioskowych, nie ma też i gminnych we właściwém znaczeniu tego wyrazu, lecz są szkoły dawniéj na zasadzie stowarzyszenia egzystujące, dzisiaj przezwane gminnemi. Takich szkół w każdéj gminie spotykamy po cztéry. Stosunki te przedstawia następująca tablica.

Gminy.	Szkoły nazwane gminnemi.	Do szkoły należy			Liczba uczniów
		Wsi	Odległość ich od szkoły	Domów włościańskich	
Brzeznica . .	Brzeznicka	1	„ do 1 w.	242	132
	Dubidska	1	„ — „	71	78
	Dworszowicka	7	1 do 3 w.	175	86
	Prusicka	14	1 do 7 w.	212	78
	4 szkoły	33	—	700	374
Radziechowice	Radziochows.	6	1 ½ do 4 w.	182	110
	Wolo-Jedliń.	1	„ — „	48	54
	Jedlińska	3	2 — 3 w.	139	79
	Stobiecka	7	½ — 3 w.	135	48
	4 szkoły	17	—	504	291
Gidle	Gidelska	6	1 do 3 w.	206	92
	Pławieńska	4	1 ½ — 3 w.	125	96
	Włynicka	6	2 — 5 w.	95	13
	Strzałkowska	1	—	62	84
	4 szkoły	17	—	488	285
W 3 gminach	12 szkół	67	—	1.692	950

Rozpatrując się w załączonéj tablicy zwraca uwagę najprzód nieproporcyonalny rozkład liczby domów, którym każda szkoła przysługuje, chociaż szkoły te jako egzystujące pod nazwaniem gminnych zupełnie jednako są uposażone. Nieproporcyonalności te w każdéj gminie powtarzają się dosyć prawidłowo, jak to okazują szkoły Dubidska, Wolo Jedlińska i Strzałkowska z najmniejszym obszarem działania, w stosunku najbardziéj obarczonych szkół Brzeznickiéj, Radziechowickiéj i Gidelskiéj. Jeżeliby te ostatnie dostarczały właściwy do liczby domów kontyngens uczniów nie mogłyby takowego ani w połowie prawidłowo obsłużyć.

Daléj uderza w oczy, że im szkoła większą liczbę wsi obsługuje, tém mniéj, przy znacznéj nawet ilości domów, stosunkowo rachuje uczni, jak np. szkoła Prusicka przy 14 wsiach na 212 domów ma tylko uczni 78. Podobny stosunek przedstawiają szkoły Stobiecka i Gidelska, gorszy zaś jeszcze szkoła Włyniecka, w któréj na 6 wsi i 95 domów jest tylko uczni 13. Najwłaściwszym okazuje się stosunek w tych szkołach, które służą dla wsi pojedyńczych lub małéj liczby blizko położonych. Stosunek taki widzimy w szkołach Dubidskiéj, Wolo Jedlińskiéj i Strzałkowskiéj, w których na 71, 48 i 62 domy jest respective 78—54 i 84 uczniów, zkąd na każdy dom przypada więcéj niż po jednym uczniu. Inne zaś wsie daléj położone, chociaż do szkół przypisane, wcale do takowych dzieci nie posyłają, ponosząc pomimo to znaczną na utrzymanie tych szkół składkę. Prawdziwość tego twierdzenia uwidocznia się niewątpliwie za pomocą następującéj tablicy, która przedstawia wiadome nam bardziéj szczegółowo stosunki szkolne w gminie Gidelskiéj:

Nazwanie szkoły.	Koszt utrzymania każdéj szkoły.		Nazwanie wsi.	Liczba domów.	Odległość wsi od szkoły w wiorst.	Liczba uczni		Koszt nauki jednego ucznia.	
	rs.	k.				po szczególe.	w ogóle.	rs.	kop.
Gidelska (dom własny)	182	31	Gidle . .	119	„	79			
			Ruda . .	36	1	10			
			Górka . .	17	2	3			
			Skrzypiec .	8	2	„			
			Stęszów .	22	3	„			
			Niesulów .	4	1 1/2	„	92	1	98
Pławieńska (dom własny) . .	189	95	Pławno . .	96	„	86			
			Stanisławice	7	1 1/2	4			
			Wygoda .	14	2 1/2	6			
			Zagórze .	8	3	„	96	1	97 3/4

Nazwanie szkoły.	Koszt utrzymania każdéj szkoły.		Nazwanie wsi.	Liczba domów.	Odległość wsi od szkoły w wiorst.	Liczba uczni.		Koszt nauki jednego ucznia.	
	rs.	k.				po szczególe.	w ogóle.	rs.	kop.
Włynicka (dom najęty)	219	94	Włynice .	19	„	9			
			Ojrzeń . .	9	2	4			
			Chrastowa	8	2	„			
			Budy . .	11	1½	„			
			Kotwin .	12	3½	„			
			Wojnowice	36	5	„	13	16	92
Strzałkowska (dom najęty) . . .	219	94	Strzałków .	62	„	84	84	2	62

Z powyższego widzimy, że 8 wsi o 109 domach wcale ze szkół nie korzysta pomimo dawanéj składki, i że gdy w innych szkołach koszt jednego ucznia około 2 rubli wynosi, koszt ten w szkole włynickiéj dochodzi 16 rs. 92 kop. Stosunki te tak bardzo nienormalne głównie ztąd wypływają, że wszystkie wykazane powyżéj szkoły egzystowały poprzednio jako szkoły wioskowe na zasadzie dobrowolnych stowarzyszeń; wsie zaś, które poprzednio do tych stowarzyszeń nie należąc nie miały szkół własnych, wciągnięte pomimowoli do składki ogólnéj, pozbawione są możności i nadal posiadania własnych szkółek elementarnych; większość bowiem zebrań gminnych zawsze będzie przeciwną zakładaniu szkół nowych, unikając nowego powiększenia składek szkolnych. Wsie zaś pozostałe w mniejszości, nie mogąc uchylić się od składki na inne szkoły, jako wynikającéj nie ze stowarzyszenia, lecz z uchwały zgromadzenia gminnego, nie mogą korzystać z dobrodziejstwa 274 art. postanowienia urządzającego komitetu, którym dozwolono dla wygody wsi pomniejszych, od szkół odległych, zakładać specyalne szkółki ze zmniejszonym etatem w miarę przyjętego przez tenże komitet za normalny. W takiém właśnie położeniu znajduje się wieś rządowa Szczepocice, zawiérająca 35 domów, przypisana do szkoły radziechowickiéj i oddzielona od niéj rzeką Wartą, na któréj brak mostu przy większéj wodzie pozbawia ich możności korzystania ze szkoły, na którą składki ponoszą.

Z dalszych objawów uspołecznienia, musimy zaznaczyć, że tak bardzo nagląca potrzeba wspólnego zabezpieczenia się od fatalnie grasującéj klęski ogniowéj zupełnie nie bywa uwzględnioną. Dwie wsie, nawet zamożne, jak np. Gidle lub Radziechowice pokryte słomą, lub co najwyżéj w części gontami, nietylko nie mają żadnych na-

rzędzi ogniowych, lecz nawet prosty ratunek, oparty na dostarczeniu przez mieszkańców w razie ognia konewek, bosaków, siekier i rydlów, nie jest bynajmniéj uorganizowany. W razie ognia biegą bezładnie co najwyżéj uzbrojeni w drewniane szpryce, które chyba tylko na szmigus mogą być przydatne, i wieś w razie ognia nie posiada żadnych środków ratunku, dopóki nie przybędzie sikawka z jakiegoś pobliskiego dworu. Tylko osady, dawniéj miasta Pławno i Brzeznica, mają po kilka narzędzi ogniowych, które datują od czasów organizacyi miejskiéj, lub są i późniéj sporządzone kosztem owych resztek kapitałów miejskich, o zgromadzenie których tak bardzo troszczyła się komisya spraw wewnętrznych, a które obecnie nie pomnażają się wcale i z kolei prawdopodobnie znikną zupełnie.

W szeregu interesów gminnych, na wspólności działania opartych, ważną jest niezmiernie kwestya utrzymania środków komunikacyjnych, stanowiących jeden z ważniejszych warunków materyalnego rozwoju ekonomicznych interesów kraju.

Do roku 1820 wszystkie drogi bez wyjątku utrzymywane były szarwarkiem w naturze, przez wszystkich mieszkańców odbywanym. Postanowieniem namiestnika z dnia 15 Maja roku 1816 (1), nakazano, ażeby do traktów wielkich i średnich, w przypadku gdzieby utrzymywanie ich możność gminy i właściciela przechodziło, komisye wojewódzkie, za poprzedniczém zdaniem sprawy biegłych, wzywały w pomoc gminy i właścicieli z właściwego lub z przyległych powiatów stosownie do położenia. Każdy rozkład na obce włości (art. 5.) powinien być bez przeciążenia ułożony przez komisye wojewódzkie i komisyi rządowéj spraw wewnętrznych i policyi poprzedniczo do zatwierdzenia przedstawiony. Roboty te odbywały się (art. 71.) pod kierunkiem biegłych, utrzymywanych ze skarbu publicznego. Gdzieby sposoby powyższe nie wystarczały (art. 8.), skarb publiczny w części do wydatków się przyłoży. Następnie ukazem z dnia 17 (29) Sierpnia r. 1820 (2), w celach zaprowadzenia dróg bitych, zamiast 8 dni szarwarku rocznie pobieranego na utrzymanie dróg publicznych nakazano pobierać tylko dni 4, to jest z dymu ciągłego 2 ciągłe i 2 piesze i z dymu pieszego 4 dni piesze, i to nie w naturze lecz w pieniądzach, licząc dzień ciągły po 2 złote i pieszy po złotemu, od mieszkańców wiejskich i miejskich. Na utrzymanie zrobionych tym sposobem dróg, dozwolono namiestnikowi w radzie, za przełożeniem komisyi spraw wewnętrznych i policyi, nakładać od

---

(1) Dziennik Praw. T. I. str. 391.
(2) Dziennik Praw. T. III. str. 78.

przejeżdżających, wyjąwszy włościan opłatę drogową. Według tegoż ukazu (art. 5.), gminy obowiązane były utrzymywać w dobrym stanie, nie daléj jak w obrębie jednéj mili i nie więcéj jak po dwa dni z dymu, drogi miejscowe inne jak trakty bite. W ten sposób 8 dniowy szarwark zamienił się de jure na 6-dniowy, z którego tylko 2 dni miały się odbywać w naturze. W praktyce jednak na potrzeby miejscowe pozostał szarwark 4-dniowy, z którego 2 dni, rozpisywane przed urząd powiatowy pod nazwą szarwarku wiosennego, najczęściéj używany był na jesień do częściowéj budowy dróg bitych bocznych; dwa dni zaś, wiosną nakazywane przez wójtów, służyły do reparacyi dróg zwyczajnych.

Pobór składki piéniężnéj w rozmiarze wyżéj oznaczonym trwał do r. 1858, w którym ukazem z dnia 15 Czerwca, przy utrzymaniu prawdopodobnie téj saméj percepty, uległ zmianie jedynie co do sposobu jego rozkładu, aż póki stanowczo i znacznie nie został podwyższonym w r. 1870, kiedy wystąpił jako dodatek do dwóch zasadniczych podatków stałych, gruntowego i podymnego, w stosunku 15% tychże. Druga połowa szarwarku w naturze trwała również do r. 1870, w którym ukazem z 17 Czerwca ustanowiono podział dróg na kategorye i wskazano środki ich utrzymania.

Jakkolwiek dawnych urządzeń drogowych niepodobna poczytywać za wzorowe, przyznać jednak należy, że znaczna stosunkowo w Królestwie sieć dróg bitych prowincyonalnych powstała za owego dawnego porządku. Główną zaletą owego urządzenia była obowiązkowość szarwarku w naturze (w ilości 2 dni z każdego dymu), niezależnie od jakichkolwiek poglądów na potrzebę ich użycia. Dni te rozpisane przez zarząd powiatowy musiały być użyte pod kierunkiem inżynierów drogowych, i w ten sposób powstawały owe kawałki szos bocznych do dziś dnia niepokończonych, które świadczą o gorliwości miejscowych organów ku polepszeniu środków komunikacyjnych. W gminach nas zajmujących, widzimy takie drogi bite w zarodku w gminie Gidle, pomiędzy Radomskiem i Pławnem, oraz w gminach Radziechowice i Brzeznica, na drodze do téj ostatniéj prowadzącéj z Radomska, gdzie oprócz kawałków już wykończonych, na przestrzeniach dość znacznych spotykamy nagromadzone przy drodze kamienie, a nawet pryzmy tłuczonego już szabru, które dotąd nieużyte powrastały już w ziemię, chociaż droga ta zaliczona do 1-go rzędu.

Ukaz z dnia 19 Czerwca roku 1870 ustanawia podstawy, jak się zdaje racyonalne, podziału dróg oraz ich urządzenia. Podług przepisu owego ukazu, drogi prowincyonalne dzielą się na 3 rzędy:

do 1-go należą trakty główne gubernialne, przechodzące przez kilka gubernij i łączące się z drogami żelaznemi, albo też z głównemi traktami państwowemi;

do 2-go—drogi boczne zwyczajne czyli powiatowe, ciągnące się przez całe powiaty i dotykające traktów głównych; i

do 3-go—drogi wiejskie i polne.

Wspomniany powyżéj podatek drogowy jest przeznaczony na drogi 1-go rzędu, których utrzymanie polecone pieczy naczelników powiatu pod nadzorem gubernatora. Drogi drugiego rzędu utrzymują się za pomocą powinności gminnych w naturze i pieniądzach podług rozkładu zebrań gminnych, przyczém zebrania te mogą, jeżeli zechcą, zamieniać powinności w naturze na pieniądze.

Dozór nad utrzymaniem tych dróg wkłada się na wójtów i burmistrzów pod ogólnym nadzorem naczelników powiatowych. Nakoniec drogi 3-go rzędu t. j. wiejskie i polne utrzymują się kosztem właścicieli lub gromad, stosownie do tego przez jakie grunta przechodzą. Ukaz rzeczony komitety drogowe znosi, natomiast *dozwala* naczelnikom powiatów wzywać do zarządów powiatowych przy podziale dróg na rzędy, a w razie potrzeby i do narady nad innemi przedmiotami dotyczącemi powinności drogowéj od 2 do 3 miejscowych obywateli i tyluż wójtów gmin, znanych z doświadczenia i znajomości warunków miejscowych, za poprzedniém przedstawieniem tych osób do zatwierdzenia gubernatora.

Otóż, ponieważ przepis ten dozwala tylko naczelnikom powiatowym wzywać mieszkańców do narady, lecz nie nakłada na nich tego obowiązku, nie wiemy przeto, ażeby narady podobne miały gdziekolwiek miejsce, chociaż być może i są w téj mierze wyjątki. Zapewne więc w skutek pominięcia tego miejscowego czynnika, rozdział dróg w naszéj przynajmniéj miejscowości nie może być uważanym za szczęśliwy. Nie mając nic do nadmienienia przeciw wyznaczeniu dróg piérwszorzędnych jako widocznych i łatwiejszych do wytknięcia, musimy zaznaczyć, że w oznaczeniu dróg drugiego rzędu pominięte zostały ważne miejscowe interesy.

Cały powiat Radomskowski ma tylko 4 drogi drugiego rzędu; gdy dwie z tych dróg, Piotrków Przedbórz i Przedbórz Łask, jako przechodzące przez wysunięty na północo-wschód narożnik powiatu, stanowią komunikacyą powiatów sąsiednich i nie mają żadnego miejscowego interesu, do obsługi powiatu pozostają dwie tylko: Piotrków Częstochowa i Brzeznica Szczerców, obie przechodzą przez Brzeznicę i przysługują wyłącznie zachodniéj części powiatu, którego środek i część wschodnia nie mają żadnéj drogi drugiego rzędu. Zkąd i większa część gmin nie posiada dróg tego rodzaju i przeto nie ponosi

żadnéj drogowéj gminnéj powinności. Trudno przypuścić, ażeby gminy szczególniéj te, które nie mają dróg 1-go rzędu, nie miały żadnych potrzeb do świata, a ztąd ustalonego ruchu w pewnym jakimkolwiek kierunku, a przeto mogły jedynie posługiwać się drogami 3-go rzędu. Te ostatnie jako „wiejskie i polne“ nie mają charakteru komunikacyjnego,oddane są zatém wyłącznéj pieczy ich właścicieli, do których specyalnego użytku służą, co się jeszcze bardziéj tém utwierdza, że wspomniany ukaz nie ustanawia nawet żadnego nad ich utrzymaniem dozoru.

Jako przykład niewłaściwego zastosowania przepisów o drogach może służyć gmina Gidle, która chociaż przerznięta drogą 1-go rzędu, Radomsk Włoszczowa, używa jéj w komunikacyi miejscowéj głównie tylko w stronę Radomska, w drugą zaś stronę posługuje się w komunikacyi dalszéj drogą zaliczoną do 3-go rzędu a stanowiącą dość znaczny gościniec z Przedborza przez Gidle, Kłomnice do Częstochowy. Droga ta oprócz tego że prowadzi do Częstochowy i przez to służy zawsze jako szlak bardzo ludny, lecz nie mniéj jako przytykająca do stacyi kolei żelaznéj Kłomnice, służy dla dowozu produktów rolnych, a szczególniéj materyałów drzewnych do stacyi kolei, i bliżéj ku stacyi nie mniéj jak i we wsi Kłomnice na wiosnę i w jesieni tak bywa rozbitą mnóstwem szukających zarobku dostawą drzewa furmanek włościańskich, że przejazd tą drogą jest prawie niepodobny; włościanie psujący wozy i zrywający na téj drodze słabą uprząż mniéjby bez porównania tracili, odbywając parę dni szarwarku drogowego, niż łamiąc koła i wozy w zamian za swobodę od téj powinności.

Co do dróg 1-go rzędu, to i tych postęp w budowaniu stosunkowo do zwiększonych środków zdaje się być bardzo powolnym. Wysokość podatku drogowego w r. 1858 oznaczoną była ogólnie na Królestwo w sumie 500.000 rs. Obecnie biorąc 15% od ogólnéj sumy podatków: głównego gruntowego i podymnego od dworów i włościan, cyfra podatku drogowego daje się obliczyć na 786.400 rs., co daje przewyżkę w miarę dawnego na 57%. Powód słabego postępu dróg szosowych pomimo tak znacznie podwyższonego podatku łatwo zrozumiéć, skoro się przypomni, że dawny wyłącznie był używanym na usypanie dróg nowych, przy konserwacyi starych z pomocą myta drogowego; obecnie zaś podatek drogowy nie tylko idzie w znacznéj części na konserwacyą dróg już zbudowanych, lecz nie mniéj i na reparacye części dróg 1-go rzędu, które jeszcze żwirowane nie są. Reparacye takie nie dające się obliczyć z dokładnością technicznie, a tém bardziéj skontrolować co do ich wartości i poniesionego kosztu, pochłaniają znaczną część podatku zupełnie niepro-

dukcyjnie z ogromnym zarobkiem przedsiębiorców po większéj części obrotnych Żydów, którzy posiadają szczególny talent zapewniać sobie mniéj prawidłowe zyski, podnosząc śmiało podobne dążności w stosunkach ze skarbem a więc z dobrem publiczném, do stanowiska stałéj moralnéj zasady. Niepodobna jest zainteresowanym w użyciu sum drogowych zapoznać się chociażby w części z ich urzędowym obrotem, który jest okryty tajemnicą biurową; z prywatnych jednak i cząstkowych wiadomości wypada, że owa konserwacya dróg nieżwirowanych jest bardzo kosztowną. Nie ma wątpliwości, że szafowanie sum drogowych w gubernii zostaje ostatecznie pod kontrolą rządów gubernialnych, wszelako pomimo wszelkiéj możliwéj sumienności tych urzędów, kontrola biurokratyczna nie może wchodzić w grunt saméj rzeczy i musi poprzestać na formalnéj stronie umiejętnie prowadzonych rachunków.

Wydatek nieprodukcyjny a tak znacznie uszczuplający fundusze drogowe stałby się zupełnie nie potrzebnym, jeśliby zamiast pozostawionego prawie bezczynnym zwykle zgromadzeniom gminnym prawa oznaczania liczby potrzebnego szarwarku na drogi 2-go rzędu, szarwark ten był ustanowionym w stałéj liczbie dni powinności drogowéj, np. od 2 do 4 dni w roku, jak to było przed r. 1870 z każdego dymu, z obowiązkiem odbywania go pod kierunkiem technika; wtedy nietylko drogi 2-go rzędu byłyby utrzymywane należycie, lecz jeszczeby pozostał zbywający robotnik do reparacyi nie szosowanych cząstek dróg 1-go rzędu, co w obecnych stosunkach byłoby tém łatwiejsze gdy przeważna liczba gmin w powiecie, nie posiadając dróg 2-go rzędu, żadnéj powinności drogowéj nie ponosi. W miarę niezliczonych korzyści jakie kraj z ulepszonych środków komunikacyi odnosi, ofiara paru dni z dymu w ciągu roku jest nic nie znaczącą i z lichwą się nawet każdemu mieszkańcowi opłaci, a jeszcze bardziéj włościanom, którzy radzi furmanić końmi i głównych na tém polu szukają zarobków. Ofiara ta tém mniéj byłaby uciążliwą, jeśliby było dozwoloném prawo spłaty dni szarwarkowych po oznaczonéj taksie według woli kontrybuentów. Ukaz z r. 1870, zostawiając dowolność zebraniom gminnym w oznaczeniu ilości szarwarku, dozwala im nie mniéj (§ 12.) zamieniać te powinności na pieniądze. Ten jednakowy strychulec nietylko nie jest dla dróg pożyteczny, lecz nawet może być dla pojedyńczych kontrybuentów uciążliwym; gdy jednym przy braku środków pieniężnych i trudności o zarobek, łatwiéj odbyć powinność w naturze, drugim znowu w obec braku czasu i robotnika, przy większém gospodarstwie lub przemyśle, korzystniéj zadosyć uczynić powinności z pomocą spłaty. Taki stan zapewniałby administracyi drogowéj robotnika i zarazem środki pieniężne,

bez których obfitość nawet dni roboczych do dobrego urządzenia drogi nie wystarcza.

Podobny przykład możemy znaléźć we Francyi, gdzie nawet szarwark drogowy stanowi obowiązek nie podymny, lecz osobisty. Każdy od 18 do 60 lat od swojéj osoby, nie mniéj jak od każdego pociągowego lub wierzchowego bydlęcia, oraz od każdéj fury, obowiązany jest odbyć najwyżéj 3 dni w roku do posługi drogowéj. Prawo odnośne z dnia 21 Maja r. 1836 „którego błogosławionemu działaniu,“ jak powiada profesor S. Biliński (1), „zawdzięcza Francya swoję wzorową sieć drożną,“ dozwala każdemu z kontrybuentów powinność swoję uiścić w piéniądzach podług taks stałych, postanowionych przez rady generalne (przeciętnie 1 fr. 25 cnt.).

Gdy zaś tylko 30% zobowiązanych przekładają spłatę, ztąd wartości robocizny i środków piéniężnych prawie się równoważą. Stanowiły one w przecięciu za czas od r. 1838 do 1861 wartość: piérwszéj kategoryi 859, drugiéj zaś 858.5 mil. fr. Przykład najwyżéj rozwiniętego materyalnie państwa, oraz przypomnienie niektórych dawnych naszych porządków, mogą się przydać w dalszym rozwoju u nas kwestyi drogowéj. Mamy bowiem prawo sądzić, że ta kwestya nie jest ostatecznie rozwiązaną, skoro prawidła ukazu r. 1870 pod § 21, ustanowione właściwie na 3 lata, z możnością dalszych zmian „jakie podług wskazówek doświadczenia okażą się potrzebnemi.“ Ta ostatnia klauzula zachęciła nas najbardziéj do cokolwiek obszerniejszego krytycznego rozbioru kwestyi w mowie będącéj.

Szereg ujemnych stron naszego życia gminnego przychodzi nam zakończyć zaznaczeniem zupełnego u nas braku nietylko przepisów policyi polowéj, ale i wszelkich nieodbitych do jéj utrzymania organów.

W krajach o większém zaludnieniu, gdzie mało już być może pastwisk pożywnych, gdzie większość gruntów obróconą jest pod zasiew, a wśród własności włościańskiéj zupełny brak ugorów jest nieuniknionym warunkiem mniejszych gospodarstw, ustanowienie polowych stróżów z charakterem urzędowym i wydanie przynajmniéj w głównych zarysach odnośnych przepisów policyi polowéj jest nieodbitą koniecznością. Dowodzą tego ustawy gminne zachodniéj Europy. Tak więc francuzka obowiązuje gminę do utrzymania polowych stróżów „Gardes champêtres,“ którzy dawniéj również obowiązkowo przez posiadających bydło wyłącznie byli opłacani. Ustawa galicyjska w art. 27 przekazuje gminie w obrębie jéj własnego

(1) Die Gemeinde Besteuerung und deren Reform. Lipsk r. 1878, str. 44.

zakresu działania policyą polową, artykuł zaś 32 orzeka, „że o ile sprawowanie policyi miejscowéj nie jest mocą ustawy przekazane organom rządowym, może rada w granicach istniejących ustaw wydawać obowiązujące w obrębie gminy przepisy, tyczące się policyi miejscowéj, i za przekroczenie tychże zagrażać karą piéniężną aż do wysokości 18 zł. reń., lub w razie niemożności uiszczenia kary piéniężnéj karą aresztu do 5 dni.“

Jest to więc prawo wyraźne i jasno określone, pozwalające organom gminnym dopełniać niektóre ustawy mocą własnych postanowień, na podobieństwo uzupełniających przepisów, jakie organa samorządu angielskiego w granicach zakreślonych każdém specyalném prawem pod nazwaniem „Bye-laws“ wydawać są upoważnione.

Projekt ustawy gminnéj z roku 1862 dla Królestwa Polskiego do rzędu policyi gminnéj zalicza (art. 10.) *polowych* i *gajowych* gminnych, artykuł zaś 32 stanowi wyraźnie, że „rada gminna corocznie ustanowi liczbę osób do sprawowania policyi gminnéj potrzebnych, oraz dla każdego z nich z funduszów gminnych w piéniądzach lub naturze stałe wynagrodzenie oznaczy.“

Nasza ustawa z roku 1864 o policyi polowéj w art. 11 robi tylko małą wzmiankę, oraz w bardzo ogólnych wyrażeniach w punkcie b. art. 16, gminnym zebraniom dozwala: „stanowić uchwały w ogóle o wszystkich przedmiotach gospodarstwa i wspólnych interesów gminy dotyczących.“

Trudno jednak wymagać, ażeby niezdolny do jakiéjkolwiek inicyatywy wieśniak z charakterem wyłącznie odpornym, z tak ogólnikowego przywileju mógł stworzyć choćby najpożyteczniejsze dla własnego interesu prawidła. W braku więc wszelkich przepisów policyi polowéj, którаby np. zabraniała nocnego pasania, powstaje nietylko powszechne szkodnictwo, ale nawet demoralizacya. Zuchwalsi i niemoralniejsi wyjeżdżają po nocach z końmi i nietylko rośliny pastewne, lecz nawet zboża wypasają.

Jeśli jeszcze zamożniejsze dwory bronią się, urządzając również nocne konne obławy na szkodników, to nie jeden wszakże spokojny a bezbronny wieśniak od swoich współbraci największych szkód doznaje, które jednak oprócz bezowocnego narzekania nic dotąd nie były w stanie wywołać.

Wydanie więc stałych odnośnych przepisów i ustanowienie obowiązkowe stróżów polowych w gminach i gromadach byłoby dobrodziejstwem za które wszyscy, a szczególniéj uczciwi i spokojni, ten pozorny przymus błogosławić będą.

(Dok. nast.) *Julian Łapicki.*

SZKICE Z ANGLII.

(Ciąg dalszy).

IX.

Bębny i piszczałki zagłuszyły naszę rozmowę. Z bocznéj ulicy wybiega w awangardzie w kolumnach do ataku chmura obszarpanych dzieci, za niemi ośmiu doboszów i dwunastu grających na piskliwych, blaszanych piszczałkach, na ostatku wielki bęben. Tak złożona orkiestra przeraźliwie wygrywa marsza, a dżentelmeni i missy towarzyszą jéj po obu stronach na chodnikach.

— Nasza narodowa muzyka, tak jak kobzy u Szkotów, rzekł z dumą dżentlemen.

— Winszuję, szepnąłem.

— Takich small-band (małych orkiestr) mamy parę set w samym Londynie, i gdy się razem połączą na obchód dorocznego święta, to mi to dopiéro muzyka! Dużobym dał, gdyby ją można przenieść na kolonie.

— Dzicy nie posiadaliby się z radości, dodałem.

„Parasol ten był świadkiem sławnéj mowy Palmerstona na wyborach w hrabstwie Myddelton (1). Słońce wtedy świeciło, szlachetny lord zasłaniał się tym parasolem od jego promieni; potém, jak zwykle w Anglii, zaczął deszcz padać, a stary kanclerz mówił jeszcze dwie godziny i ani jedna kropla wody nie spadła na szlachetny jego nos. Nie wierzycie, patrzcie, rozwija parasol, patrzcie do światła, pięć funtów, kto znajdzie dziurkę, jednę, jedyną dziurkę, a tylko dwa szylingi za cały!“

---

(1) Okręg wyborczy w Londynie.

— Her, her (1), zawołał uśmiechając się dżentelmen, gdyśmy stanęli w gromadce obok dwóch młodych ludzi, z których jeden trzymał pęk parasoli a drugi wycinał speech (mowę).

Jedna z miss zaczęła zbyt mocno szukać dziurki w parasolu Palmerstona. Sprzedający wsuwa jéj w ręce parasol, mówiąc: proszę potrzymać i obejrzéć. Miss trzyma i rozpatruje.

Mówca chwyta drugi parasol. „A to jest Miss end dżentlemen, parasol młodego księcia Cambridge! Opowiem wam ciekawą historyą: Pewnego razu młody książę przechadzał się po Baterzi parku nad brzegiem Tamizy. Deszcz zaczyna kropić, gdy właśnie bez parasola biegnie jedna piękna miss. Książę jako dżentlemen proponuje podział parasolem; piękna miss przyjmuje, idą razem, deszcz coraz większy, przysuwają się coraz bliżéj, bardzo blisko. Miss była wesoła, a książę zachwycony, i tak odprowadził ją do drzwi domu, potém się z nią widywał, kupował jéj ciastka, cukierki i rękawiczki, chodzili razem na lody do cukierni i do teatru, a zresztą czyż jestem obowiązany wszystko pamiętać za dwa nędzne szylingi i parasol w dodatku!“

— Jak on zna serca Angielek, szepnął mi dżentlemen.

— „Szczęśliwy to parasol, zaszczyty przynosi, krzyczał spiker, a ja jestem takie ograniczone bydlę, że go za dwa szylingi oddaję!“

Missy się śmieją, dżentlemen basem im wtóruje.

— „Ależ bo téż to parasol!“ ciągnie daléj handlarz i zaczyna go rozprzestrzeniać, zwijać i znów rozwijać, wreszcie z rozwiniętym spacerować. Nagle zbliża się do miss, któréj powierzył palmerstoński parasol, odbiera go z jéj rąk, miss tęskném okiem spogląda za parasolem, przekupień rozwija go, wychwala siłę, moc i historyczną jego wartość, nakoniec zwija i chce oddać towarzyszowi. Miss wyciąga mimowolnie ręce; przekupień z uśmiechem oddaje jéj parasol.

— Zna on naturę ludzką, zna nieprzeparty pociąg do posiadania; pięć minut zostawiony w ręku miss parasol stał się jéj już niezbędnym!

— A co, nasi umieją sprzedawać? Taka mizerna kanalia, a jaka wymowa .. i powiedz mi ser dla czego? pytał dżentlemen.

— Dla tego, że Anglik, odpowiadam spokojnie.

— Zgadłeś ser, chodźmy na Mohavków.

---

(1) Hear, słuchaj, brawo! zwyczajnie używany w parlamencie, teatrze; słowem, wykrzyknik uwielbienia.

Dziesięciu murzynów uzbrojonych w dwie trąby, dwa flety, harfę, basetlę, dzwonki, kastaniety, wielki bęben i tamburino, obok nich ośmiu śpiewaków pod dyrekcyą białego wyśpiewywali przy akompaniamencie tak dobranéj muzyki rozmaitego rodzaju utwory na podniesieniu sceny. Obszerna sala rzęsiście oświetlona, tłumnie zapełniona widzami.

— To wszystko nasi, szepce mrugając na mnie jedném okiem dżentlemen.

— Co to znaczy? zapytałem.

— To znaczy, że są to wszyscy biali Anglicy, pomalowani na czarno, w perukach skręconych po murzyńsku. I dla tego są tak ciekawi.

— Dla tego tylko?

— Dżon-bulle lubią kolonie i mają słabość do czarnych; i ja ich lubię. Ale to jeszcze nic, zaczekaj ser a zobaczysz.

Po skończonym śpiewie w piérwszym przestanku wpadają na scenę dwaj klowni, również przebrani za murzynów, we frakach zszytych z perkalu najjaskrawszych kolorów.

Utrzymują w Anglii, że nie ma na świecie głupszego zwierzęcia nad murzyna. Klowny zdają egzamin z téj godnéj uwielbienia głupoty, w ułożonych zręcznie dyalogach. Im potworniejsze wyrażenie, tém większy śmiech publiczności. Przy każdéj sposobności przebrani murzyni biją się po twarzach, targają za uszy i kopią nogami, a widzowie biją oklaski. Mój towarzysz płacze ze śmiechu! Po skończoném intermezzo następuje śpiew chóralny z towarzyszeniem orkiestry.

Na scenę wybiega murzyn w trzewikach o drewnianych podeszwach, dwa łokcie długich. Rzęsiste brawa witają debiutanta; dżentlemen wpakował mi w bok boksa, dla ożywienia mojéj uwagi. Trzewiki mają przypominać długie nogi Kafrów. Czarny wycina krótką mówkę do publiczności, przychylnie przyjętą, chwyta za tamborino, muzyka wygrywa dżiga, narodowego tańca agielskiego, tańczonego przez marynarzy na okrętach, a przypominającego bez żadnych zmian naszego Kozaka. Murzyn wybijając takt na tamborinie tańczy dżiga. Przeraźliwy hałas od uderzeń drewnianych trzewików o podłogę sceny pruje nerwy, tancerz zaś przy każdym podskoku wykrzywia się w przeraźliwy sposób.

— Widzisz ser, oto kolonie w całym blasku! wołał dżentlemen wstając, aby lepiéj widziéć. A to tańczy, brawo, brawo, wybornie! Ja się na tém trochę znam.

Murzyn skończył; entuzyastyczne oklaski przywołały go po raz drugi na scenę, musiał powtórzyć i pewno trzeci razby tańczył, gdyby był tylko w stanie to uczynić.

— Szczególnéj siły potrzeba, aby w dziesięciofuntowych a dwułokciowych trzewikach tańczyć przez kwadrans, robię uwagę dżentlemenowi.

— Naturalnie, siły czarnych dzikich.

— A jednak to jest biały.

— W tém właśnie sztuka.

— Sztuka piękna, dodaję.

— O tak, taniec znakomity!

Synowie Albionu, pomyślałem, nie podbijecie wy świata sztuką i gustem, na tém polu nie zwyciężycie, chociażby dla tego, że za dużo u was mohavk — minstrelów.

Wokoło sali urządzone bufety. Za stołami wyszukanéj piękności miss rozlewają staut, dzin i grog. Mój dżentlemen w zebranych gromadkach spotykał wielu znajomych, a nawet przyjaciół z kolonii. Wcale nie rozmawiali o biznesie (o interesach), gdyż żaden prawy dżentlemen nie poważy się poruszać swoich interesów w teatrze, salonie, na koncercie, lub na przechadzce. Krytykowano za to śpiewy i tańce czarnych, ich rzuty i skoki.

Zmęczony i rozstrojony w towarzystwie zachwyconego przedstawieniem dżentlemena, opuściłem z nim minstrelów, kierując się ku domowi.

W jadalnym pokoju przy otwartych drzwiach naszego domu, zastaliśmy Rachelę i mającego odwagę siedziéć przy niéj pana Kuka. Rachela wyszła, aby mi oddać list o niebieskich i różowych markach, z odbitą na nich twarzą wąsatą i z faworytami, który lekko przypominał zapachem fiołki i różę. Takich listów nie otwiéra się przy świadkach.

— Twarz pani nie jest mi obcą, zauważył mój dżentlemen, zwracając mowę do Racheli.

— Ja zaś nie przypominam, rzekła słodko Rachela.

— O pani ja nie wymagam dla siebie uwagi i pamięci... Po krótkim namyśle, mam już! zawołał, wyjmując kupiony u chłopca rysunek, rozwinął go, a pokazując na obrazie damę trzymającą kapelusz pana Snape, dodał: Oto dla czego szlachetne jéj rysy nie były mi obce.

Rachela zapłonęła jak róża, mister Kuk miał odwagę zbliżyć się do nas, aby się przypatrzéć obrazowi, albowiem ani Rachela, ani pan Kuk, nie otrzymali jeszcze odbitych egzemplarzy.

— Dla czego na obrazie nie znajduję obok pani, szlachetnego jéj przyjaciela, o ile słyszałem podpory, a może i naczelnika przyszłego kościoła? zauważył dżentlemen.

Pan Kuk miał odwagę bardzo nizko ukłonić się nam w téj chwili.

— Nie chciał posłać swéj fotografii rysownikowi, ze zbytku skromności, tłómaczyła Rachela, patrząc dobrotliwie na pana Kuk.

— Chciałaś pani powiedziéć z pokory, ale pokorni będą wywyższeni.

— Ser jesteś oczytany w biblii.

— Należę do kościoła metodystów, mówił daléj dżentlemen i jako misyonarz téj kongregacyi jeżdżę do Afryki. Na sto sztuk sprzedanéj broni, jedna biblia, na dwie beczki araku jedna biblia w dodatku, to nieźle, co?

— Bardzo szanowna kongregacya, dodała Rachela.

— Możebyś ser pojechał zemną do Senegalu jako misyonarz swego kościoła, zapytał dżentlemen pana Kuk, wierzaj mi, można przytém bardzo dobre interesa robić.

— Pan Kuk ma tutaj swoje obowiązki; jego misya jeszcze nie skończona w Anglii, odpowiedziała ze stanowczą godnością Rachela.

— Zresztą szkoda wyższych talentów dla dzikich, zakończył dżentlemen ściskając rękę szczęśliwéj, wesołéj Racheli, a kłaniając się panu Kuk.

— Mamy ich! zawołał towarzysz mój, gdyśmy weszli do pokoju, tak się zdobywa serca dwojga odrazu.

— Zwyczajnie po angielsku, odparłem z uśmiechem.

Dżentlemen rozśmiał się serdecznie, a życząc mi dobréj nocy, przyrzekł nazajutrz wizytę, aby wspólnie ułożyć warunki pojedynku.

X.

Zły, a nawet trochę zawstydzony z tak burzliwie przepędzonego dnia, położyłem się. Ciężki sen zamknął mi powieki, zmącona myśl snuła poplątane obrazy. Taniec pijanych, z długiemi nogami dzikich i ich wrzaski mięszały się z opowiadaniami nędzarzy, chwalących się wielkością sławy swych przodków. Dzicy za szklankę wódki rzucali ostatnie zapasy chciwym Dżon-Bullom, nędzarze umiérając z głodu nie przestawali mówić o wielkości odziedziczonéj po przodkach. Wzajemne uściski jednych z drugimi zmięszały obraz... Nareszcie i ja

zostałem porwany w szalone koło tańczących, a potém rzucony w czarną przepaść zagłady i zapomnienia...

„...Po nad przepaścią spostrzegłem postać,
Co lecąc naprzód rzucała niedbale
Perły, jaśminy i maki, korale.“

Wydobywam ostatek sił, zrywam się i biegnę za nią, zbiérając upadłe maki i jaśminy. Maki w mych rękach zmieniają się w krople krwi, jaśminy—w perły łez... Zaczyna świtać, różowa jutrzenka rozjaśnia widnokrąg, mgła okrywa zieloność łąk i ciemne lasy sosnowe. Drogi, przy drogach krzyże, na polach mogiły. Chaty kryte słomą obok kościołów i zapach zbóż...

— Nie rozpaczaj, mówiła zaklęta, patrz jaki sen cichy i spokojny, tu już słońce wschodzi. Każdy mak to kropla krwi, wylana dla przyszłości, a każdy jaśmin, to łza ofiary... Krople krwi, zmieniam na maki, łzy na jaśminy, ludzie dobréj woli zrywają je, splatając z nich pracą i poświęceniem wieńce dla nieśmiertelności. Otwiéram oczy, goniąc myślą za czarodziejką, usiłuję zatrzymać w pamięci jéj rysy, napróżno!... Kolor złotych włosów mieni się w méj wyobraźni, raz staje się jasny, jakim bywa nad brzegami Wisły, to znowu przechodzi w złoty, spotykany nad Tamizą...

Gdzież jestem? szepnąłem. Cisza w pokoju, szelest drzew pod oknami, zmięszany z głuchą wrzawą oddalonéj walki. Ach, to tylko Londyn i tylko odgłos życia czterech milionów ludzi.

Zaledwie oprzytomniałem i zdołałem się ubrać, wbiega Rachela do pokoju, anonsując dżentlemena oczekującego mnie w salonie.

Dżentlemen w wieku lat pięćdziesięciu, poważny, powstał na przywitanie.

— Jestem Jakób Wudwerd (Woodward), a oto jeżeli się nie mylę pańska karta, którą mi wręczył mister Henryk Clifford, w wiadomym mu celu.

— Nie ulega wątpliwości, że karta ta zawiéra moje nazwisko, domyślam się zatém w jakim charakterze ser przyjechałeś.

— Ja się niczego nie domyślam, mnie nie wolno się domyślać, lecz wiem stanowczo pocom tu przybył, odrzekł nieznajomy.

— Tém lepiéj dla nas obu. Cenię stanowczość i dokładność informacyi.

— Jeżeli ser utrzymujesz, że je cenisz, to bądź łaskaw wysłuchać mojéj propozycyi.

— Mów ser.

— Dałem słowo nie rozpoczynać sprawy, dopóki ser sam za dwie godziny nie objawisz swego zdania. Zanim zaś to nastąpi, ośmielam się prosić cię, abyś mi towarzyszył. Pojedziemy.

— Dokąd, zapytałem.

— Nie mam w instrukcyi pozwolenia na objawienie celu podróży i miejsca. Bądź jednak ser spokojny, jesteś pod moją opieką, a pod gwarancyą honoru Henryka Clifford.

— Kiedy mamy jechać?

— Natychmiast.

Nie znałem ani opiekuna, ani honoru Henryka Clifford'a, ale ponieważ sprawa nie należała do handlu, słowem do żadnego biznesu, z ufnością zawierzyłem.

W pięć minut późniéj pędziliśmy londyńskim keb'em (1) we wschodnią część miasta. Dżentlemen przez całą drogę nie przemówił do mnie ani jednego słowa, pewno nie miał na to odpowiedniéj instrukcyi, ja zaś zdecydowany na wszystko nie zajmowałem się moim losem.

Po godzinnéj jeździe zatrzymujemy się przed jednym z domów szerokiéj ulicy. Dżentlemen zastukał, uderzając młotkiem do drzwi pięć razy. Raz tylko ma prawo uderzyć interesant, sługa, kramarz; dwa razy listonosz, trzykrotne zaś stuknięcie oznacza dżentlemena, które w miarę ważności stanowiska wzrasta w liczbę.

Młoda, rumiana służąca otworzyła nam podwoje. Dżentlemen zapytał gdzie mamy się udać.

— Do salonu, odrzekła uśmiechając się do nas figlarnie.

Na piérwszém piętrze dżentlemen otworzył drzwi, a puszczając mnie naprzód samego, zamknął je schodząc na dół. Usiadłem na kozetce, rozglądając się po elegancko i pieszczotliwie przybranym saloniku. Po krótkiéj chwili słyszę szelest sukni jedwabnéj w przyległym pokoju... szelest, na nas wężach rodzaju męzkiego, tak nieokreślenie przyjemne robiący wrażenie, zbliża się, otwiérają się drzwi, przedemną z Redżenstrit miss, („perły, jaśminy i maki-korale“) blada i zmięszana podaje mi rękę...

— Wiem wszystko, cicho przemówiła; długie rzęsy zasłoniły jéj oczy, rumieniec jak ostatni blask światła w lampie buchnął płomieniem i zagasł. Mój brat obraził pana, okropnie, niegodnie! Czy go pan za to zabijesz? Dwie łzy w oczach zaszkliły się, wezbrały i spadły. Przeczuwam, że go zabijesz, on nie miał czasu uczyć się bronią robić, pracował, aby słabą ciotkę, która go wychowywała i sio-

---

(1) Cab, kabryolet o dwóch kolach.

strę wyżywić! Miss spojrzała na mnie załzawionemi oczami, milczałem.

Charakter jego gwałtowny i drażliwy, mówiła daléj, staje się powodem naszych nieszczęść, inaczéj życie płynęłoby nam wśród pracy, cicho i spokojnie. Czy pan nie masz, nikogo? długi przestanek, nikogo na świecie?..,

— Nikogo, odpowiadam.

— Nikogo, kogobyś kochał, za kimbyś tęsknił, dla kogo chciałbyś żyć?

— Nikogo, rzekłem cicho.

— Nikogo... powtarza miss jakby odbicie echa rozpaczy; a więc zabijesz mi brata! Nie masz pan ani matki, ani siostry?

— Nie mam.

— Jak to straszne... ja miałam ciotkę, dziś jéj nie mam, a teraz zabijesz mi brata! Nogi jéj drżały, zachwiała się, usiadła, korale ust zbladły, zamilkła.

A i ja nikczemnie milczałem; człowieczeństwo zabiło we mnie artyzm. Zdobyłem się na okrucieństwo katować biédne dziecko, aby z rozkoszą patrzéć na jéj piękną boleść. Odgrywano przedemną dramat z prawdą uczucia i prostoty, temi dwiema potęgami sztuki, które geniuszów tworzą. Patrzałem wzruszony, aby nie stracić ani jednego ruchu; słuchałem, aby nie stracić ani jednego wyrazu i niegodnie milczałem.

— Więc ser zabijesz nas... tak, bo ja nie mogę sama się zostać.

— Musiałem na pani zrobić wrażenie ostatniego nikczemnika, rzekłem nareszcie. Milczéć, gdy sierota dqmaga się życia dla swego brata, który jéj jest ojcem, milczéć, gdy mi zarzucają chęć morderstwa, jako zemstę za obrazę, która raczéj była śmiesznością... A jednak pani ja milczałem. Boleść twoja pani była piękną w swéj prawdzie...

Misses zarumieniła się i znowu długie rzęsy zasłoniły oczy.

— Boleść pani, mówiłem daléj, walczyła z godnością, wyrazów nie wiele, lecz każden z nich miał taką wartość dramatyczną, że należało milczéć z uszanowania dla sztuki, lub przerwać ze współczucia dla boleści. Wybrałem piérwsze.

— A ja zaczynałam już tracić nadzieję, ostatnią nadzieję posiadania jedynéj opieki...

— A ja milczałem jak kat, stawiając się w pozycyi, jak gdybym istotnie losy brata pani miał w moich rękach.

— Nie ulega wątpliwości, że tak jest.

— Pani, w podobnych wypadkach nie zręczność, lecz los rozstrzyga.

— Nie wierzę ja w naszę gwiazdę. Więc ser stanowczo przebaczasz memu bratu? dodała powstając z wyciągniętą do mnie ręką.

— W którém miejscu obecnie brat pani pracuje? pytam, zatrzymując nieco dłużéj białą, wązką, a długą rączkę.

— W Ulicz, lecz dla czego się pan o to pytasz? rzekła zakłopotana miss, wysuwając powoli rękę z mojéj dłoni.

— Aby w tej chwili tam pojechać i przeprosić go za moje roztargnienie, z którego był zmuszony ocucić mnie szklanką piwa. Była to niespodzianka, zdolna od jednego cięcia stanowczo wyleczyć, i gdyby tak się stało, serdecznie byłbym wdzięczny panu Henrykowi Clifford.

Miss wracała do równowagi usposobienia; zwykły spokój, opromieniony radością, wypełniał szlachetne jéj rysy, a rozum do oczu się cisnął.

— Ser jesteś grzeczny i uprzedzający, jak cudzoziemiec, dodała uśmiechając się, i z tą samą swobodą z którąbyś wbił szpadę w piersi mego brata, jedziesz przepraszać go, to prawdziwie po francusku.

— Chciałaś pani powiedzieć z tą samą lekkomyślnością, o którą posądzacie wszystkich Francuzów. Nie jestem Francuzem, ale chociaż nim nie jestem, nie widzę innego wyjścia jak pozwolić się zabić, aby nie popełnić zabójstwa, lub przeprosić...

— A jak to dobrze, że ser nie jesteś Francuzem, ale z pewnością i nie Niemcem.

— Dzięki Bogu nie mam zaszczytu należéć do rozszerzonéj ojczyzny Bismarka; jestem Polakiem.

— Polakiem? piérwszego w panu poznaję Polaka, znam jednak troszkę Polskę, lecz tylko z książek i teraz stanowczo upiéram się przy tém, aby brat mój przeprosił pana.

— Dla czego pani?

— Chociażby dla tego, że ser należysz do narodu, dla którego mam tyle sympatyi.

— A więc przez litość dla mego kraju, chcesz pani teroryzować swego brata i upokarzać go, zmuszając do przeproszenia.

— Jeżeli się ma współczucie czyż koniecznie litość oznacza? zresztą nic mną nie powoduje jak tylko sprawiedliwość.

— Nie mam zwyczaju tryumfować z upokorzenia drugich, pani zaś dla zadosyćuczynienia saméj sprawiedliwości chcesz zrobić przykrość bratu. Słusznie sprawiedliwość posądzają o brak serca.

— O ser, mówiła spokojnie miss, serce, sprawiedliwość, litość, tyle ważnych pytań odrazu. Gdybyś znał bliżéj mego brata, podzielałbyś moje zdanie, że tylko sprawiedliwe wyjaśnienie mu jego po-

stępowania może go ochronić na przyszłość. Posłuchaj ser: brata mego wychowała kobiéta. Wzrastał sam bez towarzystwa kolegów, którzyby z pewnością nauczyli go żyć. Szlachetne usposobienie, wydelikacone tkliwą opieką niewieścią, stało się zbyt drażliwém i w wyskokach swych porywczém. Za późno spostrzegłyśmy tę wadę. Ciotka zostawiła mi w spuściznie opiekę, nad tym najszlachetniejszym umysłem, z rozgrymaszoną fantazyą własną. Co dzień, gdy go nie widzę, jestem niespokojną, drżę o niego i wtedy dopiéro oddycham swobodnie, gdy go zobaczę. Pracujemy razem, wychodzę razem z nim i pilnuję go, jak przyjaciel i mentor.

— Czy istotnie masz pani powody do nieustannych obaw?

— Jakżeż ich nie mieć, gdy już dwa razy odwiozła Henryka policya, zalanego krwią, zboksowanego do nieprzytomności... Raz jakiś obcy człowiek przywiózł omdlałego, otworzył kluczem brata drzwi, położył go na schodach, drzwi zamknął za sobą, silnie zastukał i odszedł. Zbiegam na dół, aby otworzyć i spostrzegam Henryka leżącego na schodach bez znaku życia, z poszarpaném odzieniem. Dodaj pan do tego drugi już pojedynek, który udaje mi się zażegnać dzięki naszemu przyjacielowi i szczęściu, że trafiam na tak szlachetnych ludzi.

— A może na ludzi, którzy radzi chcą siebie oszczędzić.

— Nie mów tak ser, boli mnie, gdy kto z wyrafinowanéj grzeczności, siebie maltretuje. Miss więcéj jeszcze zbladła, wspomnienia i opowiadana historya zmęczyły ją widocznie.

Zastukano do drzwi, miss prosi, wchodzi dżentlemen, który mnie przywiózł, a powitawszy serdecznie Dorę, zwraca rozmowę do mnie.

— Teraz zdaje się nadszedł czas, w którym instrukcya moja pozwala zapytać cię ser, co postanowiłeś w kwestyi pojedynku.

— Postanowiłem jechać do Wolwich i przeprosić sir Henryka Clifford.

— Co za znakomita idea! mówił już teraz naturalnie i swobodnie mister Woordward. Grzecznością pańską ukarzemy go.

— Jestem przekonaną, że sir masz wielką wprawę w użyciu tego rodzaju grzeczności.

— Tak pani sądzisz?

— Sądzę, że umiałbyś ser nawet zabijać grzecznością; poznaję to po twoim uśmiechu i zręcznym doborze słów.

— Moim uśmiechu? odparłem zamyślając się nad dawno minioną przeszłością.

— Przebacz ser moję otwartość; może za zbyt pospieszny wyrok na tak krótką znajomość, przerwała moje zamyślenie miss Dora.

— Jedziemy zatém do Woolwich, zadecydował dżentlemen, co za wyborny projekt! a tymczasem na drogę czeka nas kieliszek madery, lub brandy.

— Służę panom, idąc naprzód prosiła gospodyni domu.

Na parterze czekało nas zastawione skromne śniadanie, obok niego służąca w wyprasowanych perkalikach z białą łatką bawełnianą szydełkowéj roboty przypiętą na wierzchu głowy. Jest to jéj mundur i oznaka godności, służącéj. Zwyczaj szanowany na całéj wyspie.

Wątpię, aby się mogła załatwić jaka kwestya w Polsce i Anglii, bez uczty, słowem bez jedzenia. Na ten temat mógłbym bardzo dużo powiedzieć, gdyby nie miss Dora, która coraz więcéj mnie onieśmiela; w obec niéj staję się niezręcznym, brak mi wymowy. Wypiłem odrazu kieliszek wina, gdy tymczasem ona pije swój powoli, z gracyą i swobodą. Ach! jaką swobodę mają w obejściu Angielki, naturalną, poetyczną, pełną prostoty. Francuski ze swoją kokieteryą, Polki z sentymentalizmem, prędko się wyczerpują, swoboda stworzona przez wolność, z poczucia godności, trwa zawsze.

— Ser wspomniałeś, że nie masz nikogo na świecie. Czy wszystkich bliskich straciłeś?

— Jednych straciłem, drudzy sami odeszli; ciężyłem im, zostawili mnie więc samego i poszli daléj.

— Nie pojmuję, jak można tych, których się kocha, porzucić.

— Nie wszyscy jednakowo kochają; zwykle kochamy dla siebie, i jeżeli przywiązanie staje się ciężarem, zostawiamy ciężar nieużyteczny idąc daléj; to mój system.

— Nie oskarżaj się ser; mnie się zdaje, że miłość prawdziwa powiększa się ze wzrostem ciężaru, który im jest większy, tém więcéj staje się nam drogim.

— Pani musisz bardzo kochać swego brata; nieustanna trwoga o jego los wzmaga jéj przywiązanie.

Maki-korale, okryły twarz miss Dory; rozgniewany na siebie cofam się.

— Pięć minut do 12-téj przerwał dżentlemen, który przez cały czas zajęty śniadaniem nie uczestniczył w naszéj rozmowie... Siedm minut drogi mamy do stacyi, pięć koleją, trzy do czterech statkiem parowym do Ulicz i blisko pięć do zakładu, razem przeszło dwadzieścia minut. O w pół do piérwszéj Henryk wychodzi na śniadanie, spieszmy się, aby go złapać przy wyjściu. To rzekłszy wypróżnił kieliszek, chwycił za kapelusz, pożegnał Dorę i mimowolnie zmuszał mnie do wyjścia.

— Mam nadzieję, rzekła Dora, że Henryk nie będzie zbytecznie prześladowany pańską grzecznością.

— Domyśliłem się téj obawy przy charakteryzowaniu méj grzeczności, bądź pani spokojną, odparłem.

Na buzi miss zakwitł jeszcze raz mak-koral, a podając mi rękę powiedziała pieszczotliwie: Gut baj, że aż mi się zimno zrobiło.

— Na ulicy pan Woodward serdecznie ścisnął mi rękę.

— Pojmuję pańską delikatność, rzekł wzruszony, Henryk jest gorączka i tém nieszczęśliwém usposobieniem mimowolnie nieraz zadaje ciosy swéj siostrze, którą ser poznałeś. Jakże się dobrze stało!

— Czyż mogło się stać inaczéj? zapytałem.

— Przyznam się panu, żem się troszkę obawiał i dla tego zostawiłem cię ser samego z miss Dorą.

— Postąpiłeś bardzo bezwzględnie, narażając mnie na tak wielkie niebezpieczeństwo.

— Nie przeczę, siostra Henryka posiada wiele powabów młodości, lecz należało z méj strony wszystko zrobić, aby odnieść zwycięztwo. Dziwnie się to rodzeństwo rozwija samo, od trzech przeszło lat po śmierci ich ciotki...

— Ser, jestem w kłopocie, przerwałem. Sekundant mój ma mnie odwiedzić podczas naszego pobytu w Ulicz, przyrzekłem czekać na niego.

— Poradzimy na to łatwo, odrzekł dżentlemen; ze stacyi poślesz pan swéj Land-ledy telegram, zapraszając pańskiego sekundanta na godzinę czwartą do restauracyi koło Waterlo-bride pod złotym pawiem.

Gdy telegram rozciekawiał Rachelę, nas pociąg lokomotywy wiózł na brzeg Tamizy.

XI.

Henryk Clifford pracował w osobnym pokoju. Zobaczywszy mnie wyprostował się, zbladł i stanął nieruchomie.

— Korzystając z towarzystwa pana Woodward, odezwałem się pospiesznie, przyjechałem umyślnie prosić pana, abyś zapomniał o komicznym wypadku dnia wczorajszego; roztargnienie moje...

— Sir, podbiegł do mnie Henryk ściskając mi rękę, sir usprawiedliwiasz się jeszcze mimo mego brutalstwa i napaści.

— Ośmielam się jeszcze raz powtórzyć moję prośbę, wina nasza jest wspólna.

— Nigdy na to nie przystanę, w téj chwili sprawiedliwie oceniam mój postępek... Zkąd panowie przyjeżdżacie?

— Z Londynu—odrzekłem.

— Z domu twéj siostry, dodał pan Woodward. Henryk zarumienił się. Z domu méj siostry, rzekł z goryczą, a więc z wyżebraną łaską przebaczenia przyjeżdżasz ser do mnie, czyż nie lepiéj....

— Sądzę, przerwał pan Woodward, że się mylisz. Dżentlemen przyjechał z propozycyą zgody, a że w téj propozycyi przypomina ci mimowolnie twoje obowiązki, to już nie jego rzecz.

— Serdecznéj zgody, dodaję—z tém stanowczém zapewnieniem, że gdybym wczoraj znajdował się był na miejscu pańskiém być może uczyniłbym to samo.

— W takim razie przyjmij ser, moje przeproszenie, a rumieniec na méj twarzy niech mówi za mnie o ile się czuję winnym.

— Zatém zadosyć uczynienie zupełne, jakie powinno nastąpić między dwoma rozumnymi dżentlemenami, rzekł sekundant zgody. I w tém miejscu, wznawiam pierwotną propozycyą zapomnienia o wypadku, który w obecnéj sytuacyi nie ma innéj wartości jak tylko komiczną.

Z kolei rzeczy zwiedzamy fabrykę podmorskich telegrafów, w któréj pracuje dwa tysiące robotników. W tym właśnie czasie kończą linę telegrafu europejsko-brazylijskiego.

Chcąc dobrze się zorientować, trzeba zacząć od początku...

— Już zaczyna nudzić! zawołają moje czytelniczki zmęczone towarzystwem księdza proboszcza, wielką polityką papy dobrodzieja, a gderaniem mamy.

Domyślam się o co wam chodzi, moje piękne męczennice ciepłego pokoju, ciszy wiejskiéj i pieszczot rodzíców. Czy Henryk będąc awanturnikiem, jest także pięknym mężczyzną? Powiem wam pod jednym warunkiem jeżeli mi w paru słowach pozwolicie skreślić fabrykę, choćby dla taty, aby mógł o niéj opowiadać i imponować sąsiadom swoją wszechstronnością.

— Mów tylko prędko? może raczycie mi odpowiedzieć.

— Dziękuję. Jeden drut elektryczny dość gruby, miedziany, obok niego jedynaście cieńszych drutów, obwiniętych gutaperką na szerokość cala. Tak przygotowany ładunek, ujęty jest w dwanaście na długość położonych drutów żelaznych trzeciéj części średnicy cala; nareszcie wszystko szczelnie raz przy razie okręcone sznurkiem

i oblane smołą. Oto lina podmorskiego telegrafu, przeznaczona spoczywać na głębokości dna morza.

Skończyłem, a dotrzymując przyrzeczenia, stanowczo oświadczam, że Henryk jest bardzo przystojnym młodzieńcem, smagławéj cery, a przy niéj białe zęby, małe wąsiki, ciemne duże oczy i gęste czarne włosy... Czyż jeszcze mało? a teraz pozwólcie mi odpowiedziéć. ..

— Ani słowa więcéj, tata będzie już miał dosyć tematu na cały wieczór. Nasz ojczulek jest szlachcicem polskim, a jako taki ma bardzo dużo fantazyi, a więc resztę sam sobie dośpiewa.

— Jakto, nie pozwolicie mi opisać przyrządu kółek, za pomocą których lina dostaje się wprost z fabryki na okręt, ani umyślnie na ten cel zbudowanego okrętu, na którym Dora ma mieszkać dwa miesiące.

— Nie, to nas nic nie obchodzi.

— Ani nawet jak dowcipnie układają liny telegraficzne na okrętach, jak motki jedwabiu.

— Dosyć, dosyć!

— Ani jednego wyrazu?

— Ani słowa!

— Ani słowa? kiedy tak, to wracamy do Londynu, Tamizą, w chwili przypływu morza. Wzburzone fale rzeki, parciem wód morskich, cofają bieg wody. Malutki śrubowiec, zaledwo wystarczający na 50 osób, mknie lotem jaskółki, podobnie jak ona muskając wodę skrzydłami. Henryk Clifford robi mi honory jak kapitan panującemu na okręcie, chcąc zatrzéć ślady wczorajszego przykrego wrażenia, oraz aby mi złożyć dowody szlachetnego obejścia i dobrego wychowania. Mister Woodward patrzył na nas dobrotliwie i radośnie przysłuchując się naszéj rozmowie, jéj żywości i swobodzie przy zmianach przedmiotu. Henryk wypiękniał w moich oczach, prezentując się jako dzielny, pełen rozumu i hartu młody człowiek, a co do mnie, mam nadzieję, że nie zasłużę więcéj w jego oczach, ną kąpiel z piwa. Dobijamy do Waterloo-bridge, kierując się ku restauracyi „pod złotym pawiem", mister Woodward pokazuje nam drogę.

W sali jadalnéj czekał na nas mój wesoły dżentlemen,—a widząc mnie wchodzącego razem z Henrykiem.

— Co, zgoda? zawołał; protestuję przeciw wszelkiéj zgodzie,— lub w przeciwnym razie muszę być wynagrodzony za czas stracony.

— Kiedy i jak? zapytałem, przedstawiając Henryka dżentlemenowi, a dżentlemena panu Woodward.

— Postanowiłem mówił dżentlemen nie dopuścić do pojedynku na szpady, lub rewolwery, poprostu dla tego, że żal mi było dwóch młodych ludzi, ale ponieważ myślałem, że bez rozprawy nie obejdzie się, boksy zatém powinny były rozstrzygnąć o waszych losach, a na mnie, jako na sekundanta, przypadł obowiązek zastąpić cudzodziemca. Wstawszy rano poszedłem do jednego ze znajomych mistrzów téj sztuki, aby sobie przypomniéć ruchy i nabrać wprawy...

— To było zbyteczne, przerwał Henryk,—gdyż ja jestem słaby bokser, bez rozwagi, zapalający się szybko, dla tego zawsze bywam pokonywany.

Ćwiczenia nigdy nie są zbyteczne,—odpowiada dżentlemen, lecz wyobraźcie sobie moje zdziwienie..., szlachetny profesor boksowania pisał!

Co, ty piszesz, i nie ma trzęsienia ziemi zawołałem.

— Ser odpowiada mi, piszę bo wydaję dzieło w moim przedmiocie, pod tytułem: „Szlachetna sztuka boksowania się (The Noble art of Boxing) przez jednego z bokserów rycerzy.“) Dżentlemen rozdaje nam prospekt tego dzieła).

— Rzuć pióro na godzinę i wstań dla mnie.

— Ser—woła, nie mogę teraz tego uczynić, muszę przygotować punkta, które będą rozbierane na dzisiejszém posiedzeniu, a na które cię zapraszam. Jeżeli zaś chcesz użyć rozrywki i wprawy, oto zawieszony gutaperkowy materac, okładaj go, ile ci się podoba.

— I ser pracowałeś? spytałem zdziwiony.

— Przez dwie godziny, i albo mi za to grubo zapłacicie, albo musicie wypić z dzikim kolonistą butelkę szampana.

— Z kolonistą? ser należysz do kolonii,—zawołał Henryk, jakże to szczęśliwie,—bo oto masz przed sobą jednego z opiekunów. Pan Woodward jest urzędnikiem w ministeryum kolonij.

— Nadokuczaliście nam podczas ostatniéj wojny z Aszantami, zwrócił rozmowę mister Woodward do dżentlemena.

— Ciekawy jestem, kto komu więcéj nadokuczał odparł dżentlemen. A to nieszczęście z tymi opiekunami. Im mniéj opiekunów, tém dzieci zdrowsze a rozumniejsze, gdy radzić same o sobie muszą.

— Dokuczaliście nie dla tego, aby wam nasza łagodna opieka była przykrą, mówił poważnie urzędnik ministeryum, z któréj zawsze umiecie korzystać, gdy chcecie pokazać waszę dumę angielską—ale jedynie dokuczaliście nam przeciągając wojnę. Czyż warto było dla pozbycia się kilkunastu tysięcy sztuk broni przedłużać kampanią o trzy miesiące?

— Więc chcieliście zostawić cały zysk, mściwym, gburowatym Jankiesom, ssącym prymkę presbiteryanom, którzy nas wszędzie prześcigają, wszędzie zastępują drogę, wołał dżentlemen. Choćbym miał sam na plecach nieść broń z Londynu do Aszantów, tobym ją niósł, aby jéj nie dać nieść Jankiesom.

— Szlachetne współzawodnictwo, któreby w całym blasku zajaśniało wtedy, gdybyśmy mogli Jankiesom naszę broń na ich własnych rynkach sprzedawać—odparł Woodward.

— Czyż jesteśmy w stanie, gdy Jankiesy wszędzie nas podkopują? My wyrobimy jakąkolwiek drogę pracą i kapitałem, Jankiesy tuż depcąc nas po piętach włażą za nami,—podlicytowują, jedném słowem spychają nas. Nie nas, na Boga, ale spychają ze swych stanowisk Anglią! Jankiesy zajmą za lat dziesięć nasze targi w Europie. A cóż na to nasi opiekunowie i parlament? Dżentlemen to powiedziawszy założył ręce po Napoleońsku.

— W takim razie będziemy musieli sprzedawać taniéj, produkować lepsze towary,—lub zaniechać produkcyj jednych, a podniéść wyrób drugich artykułów.

— I to tylko dla tego, wołał zapalając się dżentlemen,—aby się przypodobać Jankiesom, aby unikać Jankiesów, aby im ustępować, a gdzież jest honor Anglii? Czy ser jesteś vihg?

— Tak jest, odparł pan Woodward, jestem wigiem i zwolennikiem wolnego handlu.

— I ja nie jestem thorysem, lecz muszę szanować ambicyą thorysów i dbałość ich o godność narodową. I ja jestem zwolennikiem wolnego handlu, ale nie z Jankiesami.

— Zasada wolnego handlu jest jedna dla wszystkich.

— Zgoda, ale wprzód należy upokorzyć Jankiesów, zniszczyć ich i zamknąć.

— Lubisz pan sér? przerwał Henryk.

— Każden prawy dżentlemen lubi go po obiedzie.

— Na targu londyńskim dzisiaj sér en gros stoi 4 peny za funt, zniszczmy Jankiesów, a za ten sam funt będziemy musieli płacić dwa szylingi.

— A któżby chciał ich stada wybijać i pastwiska palić! zniszczyć Jankiesów, to znaczy zamknąć ich. My sami możemy na miejscu od nich kupować, co dobrego mają, i sami to przywozić.

— Oto stuletnie dzieje polityki angielskiéj.

— Jędrnéj i racyonalnéj polityki narodowéj, polityki dbającéj o byt, o przyszłość, aby nasze dzieci nie umiérały z głodu na stosach wyrabianych produktów, odparł z dumą dżentlemen.

— A ja wnoszę toast, zawołał Henryk, na cześć wolnego handlu, przez który Anglia zwyciężać i wzrastać będzie!

— Chętnie spełniam ten toast,—odparł pan Woodward.

Po gorącéj rozprawie i spiczach, bez których nie może się obejść najskromniejsza uczta w Anglii, rozmowa przeszła do potocznych spraw. Dżentlemen mówił nam o sprycie i zmyślności dzikich, ubarwiając opowiadanie wesołemi anegdotkami; Henryk o przygodach przy zakładaniu podmorskiego telegrafu, a pan Woodward słuchał, pobudzał do rozmowy i rad milczał. Henryk zaproponował herbatę u siebie. Dżentlemen spojrzawszy na zegarek zdziwił się, że czas tak szybko przebiegł, a przepraszając za konieczność opuszczenia rzekł:

— Wyobraźcie sobie panowie, że mistrz mój podpisujący się „rycerz-bokser,“ wydając swoje znakomite dzieło, utworzył komitet, któremu powierza najtrudniejsze pytania w przedmiocie swéj sztuki do rozstrzygnięcia. Przeglądałem program, jest jedno ważne pytanie: „Jakim sposobem boksujący się dżentlemen może się ustrzedz od otrzymania razu podbijającego oko, oraz od podbijania oka przeciwnikowi.“ Wyobraźcie sobie panowie, co to za niewygoda dla dżentlemena mieć podbite oko, a jak się to u nas często zdarza!

Spojrzałem mimowolnie na Henryka; on zaś zarumienił się i spuścił oczy.

— Przyznam się panom, ja mam sposób uchronienia naszych dżentlemenów od téj klęski, za pomocą moich senegalskich pchnięć i takichże samych zasłonień. Jadę więc na posiedzenie, aby przedstawić w naturze moje pchnięcia, obronić je i polecić napisanie o tém rozprawki.

— Sprawa pozbawiająca dżentlemenów posiadania podbitych oczów jest ważniejsza, od przyjemności widzenia go w naszym towarzystwie, z któréj na rzecz ogółu, robimy ofiarę, rzekł pan Woodward.

— Bo czyż nie mają na to 24 żeber, zapytał się prosząco dżentlemen.

— Powinny wystarczyć—dodałem.

— Nie zapominaj ser o swoim starym przyjacielu, zawołał do mnie dżentlemen, wskakując do Reba, a myśmy powrócili na statek, który nas wysadził obok domu Henryka i jego siostry.

Miss Dora czekała na nas w saloniku, ubrana w białą sukienkę. Mak-koral i perły jaśminu, tuląc się do zwiniętych w pukle złotych jéj włosów, cicho drzémały. Rozpromieniona, piękna szczęściem, wyciągnęła do nas po przyjacielsku ręce, aby je następnie zarzucić na szyję brata i pocałować go w czoło.

— Znów złamana przysięga, przemówiła pieszczotliwie, ty rozgrymaszony awanturniku.

— Więc sir Henryk składał już przysięgi zapytałem.

— Gdym go znalazła na schodach, prawie nieżywego, wtedy to przysiągł mi ostrożność i spokój.

— Lecz moja najdroższa Doro, jedna chwilka i w téj chwilce krew uderza nam do głowy, zapominamy o wszystkiém. Powiedz ser czy mamy przytomność w takich razach?

— Nieprzytomni nie odpowiadają za swoje czyny, odrzekłem.

— Nie broń go ser, bo jest to człowiek, sprawiający najwięcéj przykrości swéj siostrze.

— Jeżeli tak moje drogie dziecię, powiem ci pocieszającą nowinę...

— Słucham, odrzekła Dora wskazując nam ręką miejsca, abyśmy usiedli.

— Za trzy tygodnie wypływamy na pełne morze, zarzucą drut atlantycko-brazylijskiego telegrafu.

— Już za trzy tygodnie?

— A zatém przez całe trzy miesiące méj podróży będziesz wolna, oswobodzona od człowieka, który ci najwięcéj sprawia przykrości.

— Przeciwnie mój drogi, przez te trzy miesiące, ani się na chwilę nie rozstaniemy.

— Co przez to chcesz powiedziéć?

— Rzecz bardzo naturalną, postanowiłam ci towarzyszyć.

— Ależ to niepodobna, czy sądzisz, że ja na to pozwolę?

— Kochany Henryku, mówmy seryo. Jeżeli dla ciebie zbyt trudną jest rzeczą dotrzymywanie przyrzeczeń, pozwól przynajmniéj bym ja wypełniała moje obowiązki. Nie chcę teraz przypominać najsmutniejszéj chwili w naszém życiu, przysięgałam wtedy, że cię nie opuszczę. Zamiast więc przez trzy długie miesiące żyć w nieustannéj trwodze i niepokoju, wolę niebezpieczeństwa dzielić z tobą i jadę.

— Moje najdroższe dziecko; na okręcie i na morzu przez trzy miesiące, czyś ty się zastanowiła nad tém? żyć wśród ludzi szorstkich obyczajów, źle wychowanych, wśród ich gburowatych wykrzykników, i prócz tego narażać się na burzę, zimna i spiekotę równikową?

— Trzy miesiące, to tylko dziewięćdziesiąt dni; przygotowałam książki i zabiéram małą pracę do wykończenia na przyszły metyng. Zresztą nie wątpię, że będę miała kajutę, a mój brat wiedząc, że je-

stem tak blisko, będzie się strzegł, aby mu krew zbyt często nie uderzała do głowy.

— Kochana Doro, zapominamy, że mamy obok siebie naszego przyjaciela i opiekuna, którego zdanie powinno być szanowane. To mówiąc spojrzał błagalnie na zamyślonego dżentlemena.

— Moi młodzi przyjaciele, rzekł ze spokojem pan Woodward. Zapominacie o jednéj ważnéj, a może najważniejszéj okoliczności. Za dziewięć dni miss Dora zostaje pełnoletnią; w dniu tym, który powinien być obchodzony uroczyście, z woli waszéj ciotki, mam o godzinie 8-méj wieczór odczytać jéj list, który mi oddała przed śmiercią do przechowania. A zatém proponuję zawiesić kwestyą do ostatecznego rozstrzygnięcia na dni dziewięć.

— Dear ser, mówił Henryk, zdaje się, że w dniu tym sprawę zupełnie przegramy. Któż z usamowolnionych nie nadużywa w pierwszych chwilach swéj wolności? Czy nie lepiéj skorzystać na czasie?

— Być może kochany Henryku, lecz czyż to jest coś tak strasznego odbyć trzy miesięczną podróż na wielkim okręcie?

— A więc kochany nasz przyjaciel jest i dziś, jak zawsze, zdania tego rozpieszczonego dziecka. I cóż ty na to ser? zwraca do mnie rozmowę młody gospodarz.

— Ser nadto jest grzecznym, by mi oponował uprzedza zręcznie odpowiedź miss Dora.

— Rycerskość mojego narodu nakazuje mi wprawdzie skłonić głowę przed wyrokiem damy, lecz mimo to, gdybym sam przed sobą śmiał wyjawić moje zdanie, mógłbym się znaléść w pewnéj z panią sprzeczności.

— Proszę cię ser powiédz otwarcie swoję opinią, jak gdybyś ją mówił przed samym sobą, pochwyciła Dora.

— Należę do narodu nieco zacofanego, i dla tego, rad jestem nie zbliżać kobiét zbytecznie do ognia, a boli mnie patrzéć, gdy muszą iść przez ulicę pieszo po błocie.

— Rozumiem, nie chcesz pan kobiéty stykać z tém wszystkiém, co nie jest pięknem.

— To moja opinia—przerwał Henryk.

— Ser nie wierzysz, aby kobiéta mogła przejść przez piekło i wyjść z niego aniołem, szepnęła piękna miss.

— Przeciwnie—odparłem, lecz mimowolnie od gorąca i dymu anioł wyjdzie z opalonemi i oczernionemi skrzydłami.

— Więc to, co jest dobre i szlachetne, musi w zetknięciu ze złém upaść? spytała Angielka.

— Nie pani, lecz gdy jest czystém i białém, w zetknięciu z czarném i brudném, musi się powalać.

— Brawo ser, dzielnie bronisz swojéj sprawy, — zawołał Henryk.

— A mnie się zdaje, że dobre jest zawsze pięknem, rzekł spokojnie pan Woodward, a nawet w zetknięciu ze złém więcéj pięknieje i podnosi się. Kobiéta nietylko powinna być czynnikiem dobrym, ale również łagodzącym i wypiękniającym, dla tego radbym, aby mogła być wszędzie, i jeżeli tylko zechce zawsze wyjdzie czysta i niepokalana. Oto jest tajemnica i przyszłość emancypacyi.

— Ależ to ideał, tłómaczył Henryk.

— Ostateczny cel jest zawsze ideałem, dążmy więc do niego, zadecydował cicho i przekonywająco szlachetny Anglik.

— Drogi opiekunie, byłam pewną, że staniesz w mojéj obronie,—mówiła Dora, powstając z miejsca, aby uścisnąć rękę przyjaciela, a oprzéć drugą na jego ramieniu.

— Drogie dziecię, znasz moję wadę, odpowiedział jéj uśmiechając się dobrotliwie dżentlemen; w obec prawdy, upadają u mnie obowiązki nawet względem tych, których kocham. Radbym cię widziéć w Londynie, będę niespokojny gdy pojedziesz, a zarazem wierzę, że wrócisz lepszą, nie uczerniwszy skrzydeł, Henryk zaś więcéj łagodnym i wyrozumiałym. Zwycięska Dora zaprowadziła nas w tryumfalnym pochodzie na kolacyą.

— Powiedz mi jednak kochana siostro, zapytał Henryk, co się stanie z twojemi lekcyami, ze stowarzyszeniem i z rozpoczętą pracą?

— Jeżeli kapitulujesz kochany braciszku, opowiem ci wszystko. W miejscach gdzie udzielam lekcyj wymówiłam sobie wakacye i jutro zapowiem, że się właśnie rozpoczynają; tymczasem miss Klara, dziś już druga sekretarka naszego towarzystwa, przyrzekła mnie zastąpić.

— Może ser nie wiesz, wtrącił Henryk, że siostra moja pracuje, zarabia, ma kapitały w banku, robi podarunki bratu, sama się ubiéra, a przytém zajmuje wysoką godność, będąc sekretarzem stowarzyszenia pedagogicznego dziewic Albionu!...

— Nie żartuj sobie, przerwała uśmiechając się Dora. Dla tego że zaledwo funta na tydzień zarabiam, a on pięć, widzisz ser jak jest zarozumiały. Ja jednak zawsze utrzymuję, że mamy sześć funtów dochodu a nie pięć.

— Co czyni na rok więcéj o 1.040 szylingów rzekł pan Woodward,—a taka sumka ma już swoję wartość. Tysiąc kobiét zarabiających podobnie zwiększają bogactwo narodu o milion szylingów rocznie.

— Praca, która nam przynosi dochód, czyni nas więcéj zadowolonemi i pewnemi siebie, dodałem z méj strony.

— I dumnemi, mówiła z uśmiechem miss.

— Bardzo sprawiedliwie, lecz jeszcze ostatnia kwestya poruszona przez ser Henryka nie została przez panią rozstrzygniętą, odezwałem się do Dory.

— Ciekawy zapewne jesteś ser nad czém pracuję? Aby się Henryk nie nudził, zresztą, aby go po zmudnych zajęciach w biurze i warsztatach nieco rozerwać, wieczorami, jeżeli nie idziemy na przechadzkę, pracujemy wspólnie nad nowém ułożeniem po angielsku historyi literatury francuskiéj z odpowiedniemi tłómaczeniami wyjątków z arcydzieł. Braciszek mój ma dużo zdolności do poezyi, tylko troszkę próżniak, woli ze mną rozmawiać, śmiać się i żartować.

— A moja siostrzyczka, dokończył Henryk, pisze prozą jak Fenelon, lub Dickens,—wprawdzie za mało wierzy w siebie, lecz tylko w téj kwestyi, bo na innem polu zawsze zwycięża i stawia na swojém.

— Szczęśliwi zwycięzcy! zauważył pan Woodward...

Duszno mi było w téj atmosferze szczęścia, którą burze czynią przyjemniejszą, bo odświeżoną i wypięknioną uczuciem. Walc Szopena odegrany dla mnie przez miss Dorę, przypominając mi przeszłość, a w niéj jasne punkciki odpoczynku, wśród uśmiechów i zapomnienia, przygniótł mnie i roztęsknił. Nam wygnańcom widok spokojnego szczęścia odnawia najboleśniejsze rany, dla nas nie ma wyboru, albo upajać się chwałą, lub umiérać w odrętwieniu.

Skorzystałem z pierwszéj sposobności, aby uciec, a przez drogę szumiały mi w uszach ostatnie wyrazy pięknéj i poważnéj. „Wróć do nas za dziewięć dni" wróć patrzéć, abyś potém więcéj tęsknił za cichém pożyciem w rodzinie, którego nigdy nie odzyskasz.

Miss Dora wychowaną była przez ciotkę. Stare panny w chwilach przejrzałości swego wieku stają się mocno drażliwe, okazują wiele złośliwego dowcipu, a przedewszystkiém cierpią na drażliwość języczka, który nieustannie musi pracować dla ulżenia boleści. Z wiekiem ustaje drażliwość, zmieniając się w stałą nienawiść do rodu ludzkiego, przedewszystkiém zaś do rodzaju męskiego, a w przywiązanie do zwierząt, — mianowicie do kotów i psów. Czasami jednak wydziedziczone te istoty przeobrażają się w cichych aniołów poświęcenia i cierpliwości.

Ciocia miss Dory należała do drugiéj kategoryi wybranych, skutkiem serdecznéj i długo trwałéj miłości, jaką zaszczycała młode-

go porucznika, który ostatnią podróż odbywał do Indyi, z nadzieją powrotu w randze kapitana, aby w téj pozycyi zaprowadzić piękną narzeczoną do ołtarza. Czyż jednak wielkiéj burzy potrzeba, do zniszczenia życia jednego człowieka? Cóż dopiéro burza Oceanu. Już minęli szczęśliwie przylądek Dobréj Nadziei, już i równik przepłynęli, lecz nie mogli wydobyć się z wysp Kanaryjskich. Burza, a w niéj przeznaczenie śmierci tu ich doścignęło. Porucznik był ostatni z opuszczających okręt,—bohater swego obowiązku wśród ciemnéj nocy i fali wód zginął, jak kropla w morzu.

Dzięki temu wypadkowi ciocia miss Dory nie pokochała ani kota, ani psa, zmieniając się w cichego anioła ze łzami w oczach, osuszającego łzy, z pustką w sercu, pieszczącego serca i uczucia drugich.

Po śmierci matki miss Dory, ciotka zabrała sieroty, a udzielając lekcyj muzyki i języków pracowała, aby je karmić, i wychowywała, aby je uczyć. Chłopiec został inżynierem, a młoda dzieweczka zmieniła się w rozumną, szlachetną i piękną pannę. Ciocia spełniwszy swoję misyą, po trudach i pracy zasnęła, nie budząc się więcéj. Bratu została siostra, siostrze tylko brat. Sieroty poszły daléj, torując sobie drogę pracą.

Historya skończona, lecz któż ją ośmieli się wziąć za tło do romansu, tak mało w niéj efektów, a tak dużo uczucia i cichéj ofiary! To niebezpieczne na dzisiaj; uczucie oszpecą sentymentalizmem, wykrzywią nienaturalnością. Efektów, które hukiem i dymem zasłonią prawdę, ogłuszą! Efektów dla drażnienia nerwów! Niech żyje Rocambol, pomnik dla Gaboriau i chwała literatom, którzy w strasznych excesach i trywializmie zgubili instynkt piękna, zatracili twórczość, pocieszając się myślą, że są realistami. Biedni malutcy,—realistami byli Szekspir i Dickens. U tych geniuszów, nie wiadomo czy prawda zwycięża piękność, czy piękność pokonywa prawdę. Objawy te równoważą się, dla tego piękność jest tam prawdziwą, a prawda piękną.

Grottgerze, malarzu serca Polski, smutnéj jéj duszy, zadumanych myśli, rozświetlanych jak praca w nadziei!... Ilekroć mam kreślić ciche dzieje boleści serc ludzkich, zawsze mi przez myśl przesuwają się obrazy twe,—i wtedy tracę odwagę, pióro wypada mi z ręki,—zamykam oczy,—wyciągam ręce,—serce mi pęka z tęsknoty za krajem, łzy cisną się do oczu, uśmiech wybiega na usta, z dumy, że jestem Polakiem! (*C. d. n.*)

Sewer.

Nowe książki dla dzieci.

PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY.

Nieraz już zaznaczano „z przyjemnością“ szczęśliwy u nas zwrot do roztrząsania zagadnień wychowawczych, do zastanawiania się nad kształceniem i rozwijaniem dzieci; a za dowód przytaczano coraz częściéj od lat kilku pojawiające się w czasopismach naszych rozprawki a w handlu księgarskim książki, odnoszące się do dziedziny pedagogii. Niewątpliwą to jest rzeczą, że gdy nie w sposób luźny, ale gromadny objawy jakieś napotykają się w literaturze, są one świadectwem z jednéj strony istnienia w społeczeństwie odpowiedniego poczucia potrzeby a z drugiéj,—istnienia sił, starających się temu poczuciu zadość uczynić. Nie należy wszakże zbytecznie przeceniać wpływu, przez te siły wywieranego, i sądzić, że raz obudzone zajęcie się sprawami wychowawczemi nie ustanie, lecz samo przez się coraz potężniéj wzrastać będzie; zdaje się owszem konieczności nie przestając na samém poczuciu *świadomość* téj potrzeby budzić w masach, zamiast zadawalniać się szczeremi intencyami i luźnemi usiłowaniami jednostek.

Czasopisma oddać mogą pod tym względem niepospolite usługi. Zdaje się, że już mijają, jeśli nie minęły zupełnie te czasy, gdy o wychowaniu mówiło się raz tylko na rok około Bożego Narodzenia, zachwalając lub potępiając ryczałtem tak zwane „książki na gwiazdkę“, przyczém o czytaniu tych książek przez recenzentów nie mogło być częstokroć i mowy;—zdaje się owszem, czasopisma wzięły sprawy wychowacze na seryo i, zrozumiawszy całą ich doniosłość społeczną, starają się, ile możności, mówić o nich rozważnie i sumiennie. Konieczność dania głosu w téj sprawie zawodowym pedagogom, nie zaś literatom, którzy z jednakową kompetencyą pi-

szą o gramatyce i balecie, o komedyi i teoryi Darwina, o farsach i pozytywizmie, o chodnikach warszawskich i o książkach dla dzieci,—konieczność ta wykazuje się z coraz większą stanowczością; ażeby rzeczy poważne nie były traktowane lekko i lekkomyślnie.

Temi powołani myślami podajemy rozbiór piśmiennictwa dla dzieci przeznaczonego przez *kilku* pedagogów dokonany, dający zatém niejaką rękojmię zarówno znawstwa jak i sumienności w ocenie książek, które z powodu ważności zadania swego zasługują na kontrolę zarówno szczerą w pobudkach jak staranną w wykonaniu. Wiadomo, że „książki dla dzieci" należą do najpokupniejszych produkcyj literackich i są wśród naszych stosunków wydawnictwami chętnie podejmowanemi przez księgarzów. Taki stan rzeczy sprawia, że w znacznéj liczbie pojawiających się utworów muszą się znaléść rzeczy słabe, albo nawet złe, które ozdobną zewnętrzną formą mogą pociągnąć ku sobie rodziców, wychowawców, co ich treści nie znają. Obowiązkiem krytyki jest wytknąć te zdrożności i ochronić nabywców od zaopatrywania się w karm, nieposilną lub fałszowaną; obowiązkiem jéj jest dążyć do tego, ażeby rzeczy dobre znalazły odpowiednie uznanie.

Czytelnicy łatwo zauważą, że w rozpatrzonych tu książkach przewaga liczebna zostaje po stronie *przekładów*. Smutny to a nawet bolesny objaw, który znajduje potwierdzenie, lecz niestety! nie pociechę, w tém, że jak w dziedzinie pedagogicznéj, tak i we wszystkich innych, nie wyłączając nawet powieściowéj, tłómaczenia górują nad utworami oryginalnemi. Spostrzeżenie to zapisujemy tu tylko, zarówno dla przestrogi jak i dla tego, ażeby wyrobić w sobie świadomość stanu rzeczy, tak niezbędnéj, jeżeli chcemy przedsiębrać jakiekolwiek środki zaradcze. Nie tu miejsce rozszerzać się nad niemi; może w przyszłości znajdzie się sposobność pomówienia o téj sprawie; może téż spotęgowane poczucie potrzeby wywoła usiłowania, żeby jéj uczynić zadość, i tym sposobem położy kres jeremiadom, z któremi tu rozpisywać się nie myślimy.

Drugie spostrzeżenie, które również zanotujemy tylko, polega na tém, że nam brak *tanich* książek dla dzieci. Nie wszyscy przecież mogą kupować kilkunasto-złotowe „kolendy"; są warstwy mieszczańskie niezamożne, dla których wydatek na książki jest ciężki; dla nich należałoby obmyślić wydawnictwa, któreby, nie goniąc za wykwintnością a zadawalniając jednak i krzewiąc smak estetyczny, byłyby przystępne pod względem ceny.

Poniższy rozbiór nie obejmuje bez wątpienia *wszystkich* wydawnictw, dla dzieci przeznaczonych a wyszłych w przeciągu roku; posłuży on jednak, jak sądzimy, za dostateczną wskazówkę do ocenie-

nia ogółu naszej literatury dziecięcéj, gdyż nie pominięto w nim żadnéj ważniejszéj pracy.

Biblioteczka dziadunia. Zarys literatury polskiéj w opowiadaniach dla dziatwy. Napisał K. Wł. Wójcicki. Z rycinami. Warszawa. Nakład Fer. Hösicka. 1879, str. IV, 266. Porwany prądem wartko niegdyś płynącym Wójcicki od młodości swojéj polubił zbieranie starych książek, opisywanie, przedrukowywanie ich, i téj skłonności folgował w swém życiu niejednokrotnie, poczynając od roku 1844, kiedy pierwsze wydanie swojéj „Historyi literatury" zaczął drukować aż do ostatniéj chwili przedzgonnéj, która młodzież i dziatwę udarowała dwoma podręcznikami, czy przewodnikami po dziedzinie piśmiennictwa naszego. Jednym z nich jest właśnie *Biblioteczka dziadunia*, przeznaczona oczywiście dla wieku najmłodszego.

W biblioteczce téj chociaż jest dużo, może nawet zadużo (jak dla dzieci) książek, nie czuć zaduchu i stęchlizny, a to już bardzo wielka zaleta ze względu na zdrowie dziatwy. Poczciwy dziadunio nie jest wcale pedantem; lecz dosyć miłym gawędziarzem, który lubi wprawdzie powtarzać rzeczy po razy sto opowiadane, czém nudzi starszych, ale dla młodych dykteryjki jego są oczywiście zupełną nowością. Jest sobie szlachcicem wiejskim, a nie mieszczuchem, więc lubi pola i łąki, gaje i dąbrowy, a kocha lud serdecznie; więc też oprowadza swoje wnuczęta wraz z wiosną po wsi, przypatruje się wraz z niemi zajęciom wieśniaków, przytacza przysłowie ludowe, śpiewa piosnki wiejskie i zapoznaje tym sposobem bez trudu z tak zwaną literaturą kopalną. Nie mając wprawdzie ducha systematyczności i ścisłości, popełnia czasem niekonsekwencye; uczy np. raz, że przysłowia mieszczą w sobie wielkie prawdy moralne (na str. 19) a zaraz potém musi przytoczyć wcale niemądre przysłowie. „Był las bez nas, będzie las i po nas" (25). Żadne wprawdzie z wnucząt nie spostrzegło téj sprzeczności, ale w interesie rozwijającego się rozumu godzi się przypuszczać, że wśród innego audytoryum nie znalazłby staruszek serc tak pobłażliwych, bo dzieci są mocne w logice.

Dopiéro kiedy zupełnie ukończono żniwa, kiedy wieczory stały się dłuższe, dziadunio zaprosił wnuczęta do swojéj biblioteczki i wyjmując książka po książce pokazywał im je najprzód z wierzchu, a potém opowiadał o tych, co je napisali, rozpoczynając od Reja a kończąc na najnowszéj epoce naszéj twórczości literackiéj. Jednakże i teraz nie poprzestaje dziadunio na podawaniu zdrowego, choć niezawsze słodkiego pokarmu, ale przeplata je łakociami

w formie powiastek o rozbójnikach, o polowaniach, burzach itp. W ten sposób powstają niezbyt zajmujące, ale bądź co bądź nie nudne pogadanki, które wiele pożytecznych rzeczy dziatwę nauczyć mogą. Tylko tu biblioman bierze nieraz górę nad rozsądnym pedagogiem; dziadunio lubując się staremi wydaniami przytacza całe długie tytuły z dokładnemi datami, które ponieważ przez młodziutką dziatwę nie zostaną przyswojone, niepotrzebnie tu się znajdują. Druga wada dziadunia polega na tém, że daje poznać książki swoje bardzo a bardzo powierzchownie, tak jakby sam niewiele więcéj z nich odczytywał nad kartek kilkanaście; zamiast opowiedzeniem treści lub pięknym a charakterystycznym wyjątkiem zainteresować wnuczęta, prawi im ogólniki estetyczne lub językowe, które oczywiście również na niepamięć są skazane,—co zresztą szkody ich umysłowi bynajmniéj nie przyniesie. Kto przeglądał książkę, o któréj mówię, spostrzegł bez wątpienia, że są tam wyjątki; mógłby zatém zarzucić mi, że wymagam tego, czego autor dokonał. Ale przyjrzawszy się tym wyjątkom bliżéj, zaledwie niektóre moglibyśmy uznać za odpowiednie. *Matka obywatelska* Kniaźnina, wyjątek z *Maryi*, *Matka i dzieci* Brodzińskiego, dumka Zaleskiego, *Powrót taty* Mickiewicza, ustęp z *Pieśni o ziemi Pola*, wiele z nich poczytalibyśmy za obojętne, które zastąpić było można o wiele lepszemi, inne wreszcie za całkiem niestosowne, jak mianowicie najobszerniejszy tu pomieszczony utwór „Przypadek na odpuście,“ jakby to było jakie arcydzieło (256—264).

Trzecią wadą opowiadania dziaduniowego jest pewien zamęt chronologiczny mianowicie począwszy od końca XVII stulecia, a zwłaszcza w grupowaniu pisarzów wieku naszego. Niepodobna nieraz zgadnąć, dla czego dziadunio mówi wprzód o tym niż o innym, na jakiéj zasadzie przerywa ciąg dziejowy, ażeby późniéj znów skąd inąd do niego powrócić; ani czas, ani rodzaje piśmiennictwa, ani inne naukowe względy nim nie kierują; jedne tylko prawa kojarzenia się wyobrażeń swój wpływ nań wywierają. One to sprawiły, że w rozdziale XVII mamy prawdziwy bigos myśli i obraz zadymki śnieżnéj, przypadek z wilkami, mit o wilkołakach, Twardowski i Barbara Giżanka, Karol Libelt, Klementyna Tańska i spory zastęp autorek polskich, a w końcu jeszcze rzeczy o Towarzystwie przyjaciół nauk w Warszawie....

Tak to pomysł w zasadzie bardzo dobry zepsuło w znacznéj części wykonanie. Wójcicki pedagogiem nie był i nie liczył się ze słowami; dobitnym tego dowodem jest zdanie, wypowiedziane bez ogródki na str. 62: „Życie Reja jest ciekawe wielce z tego powodu, że może być *dobrym przykładem dla każdego młodego chłopca* i dobrą

nauką.“ Że nauką życie to być może, trudno się sprzeczać, ale żeby było dobrym przykładem, to jedynie w ustach bibliomana myśl taką zrozumiéć można.

Wydanie błędy języka i stylu podniosło do potęgi możliwie najwyższéj. Są tu zdania zupełnie niedokończone (138); są wyrazy wykoszlawione i niezrozumiałe, są takie przemiany jak *w dzień* zam. *codzień* str. 40); są opuszczenia nadzwyczaj częste zaimka *się* po słowach (15, 25 itd.); interpunkcya jak najfantastyczniejsza: kropki tam gdzie powinien być przecinek lub kreska (str. 17), przecinki tam gdzie kropka być winna, itp. że o średnikach nie wspomnę wcale. Dat fałszywych jest sporo; ale i te w znacznéj części na karb drukarń policzyć trzeba. Drzeworyty nad wyraz liche. Czcionki tylko i papiér dobry. W ogóle jest to książka zewnętrznie przedstawiająca się powabnie, a wewnętrznie mianowicie pod względem edytorskim nadzwyczaj licha. A szkoda, wielka szkoda! gdyby pomysł lepiéj był wykonany, gdyby wydanie było staranne, należałaby ta książka do niezłych nabytków literatury dziecięcéj.

Piotr Chmielowski.

Młodzież w pięciu częściach świata przez Eligijusza Bertheta. Tłómaczyli Władysław Nowicki i Józef Miaskowski. Ozdobiono 83 rycinami. Warszawa r. 1880. Nakład Maurycego Orgelbranda. Autor obrał za przedmiot swéj pracy młodzieńca będącego w wieku przejściowym, który już nie jest dzieckiem i coś umié, ale niedokładnie, a z rozwojem sił fizycznych nabiera zaufania w siebie i stara się naśladować stałość charakteru, zdania wyrobione itp. Z doskonałą znajomością charakteru zuchwałego młodzieniaszka, autor narysował postać Feliksa, małego paryżanina, syna uczonego doktora medycyny, bywalca po świecie, który oprócz nauki, posiadał piękną bibliotekę, zbiory rzadkich przedmiotów, a nadto cieszył się powszechném zaufaniem i wziętością. Jako dopełnienie wprowadza autor kochającą i pełną poświęceń matkę, jako też anioła domu—siostrzyczkę.

Synek zdolny i dość pracowity, ale rozpieszczony, swawolny i zuchwały, zostaje oddany do liceum. Z początku, póki młodszy, dobrze się uczy, kiedy jednak podrósł, robi awanturę, do któréj podburza kolegów i w skutek tego zostaje wydalony z liceum.

Powraca do domu, gdzie zrozpaczona matka i desperująca siostrzyczka robią mu wymówki, które go jednak nie zmiękczają, ani rozczulają, ale przeciwnie utrwalają w uporze i zuchwalstwie tak, że postanawia nawet względem ojca, którego się obawiał i szanował, zachować upór.

W pierwszéj chwili ojca w domu nie było, powraca po pewnym dopiéro czasie i dowiaduje się o wszystkiém od matki; nie widząc jeszcze syna decyduje, aby ten wracał do liceum, o co bezzwłocznie robi starania u zwierzchności szkolnéj i otrzymuje zezwolenie, pod warunkiem, aby syn napisał list do dyrektora zakładu, w którymby przyznał niedorzeczność swego postępowania, przeprosił zwierzchność i przyrzekł poprawę.

Wreszcie ojciec widzi się z synem, daje mu napomnienia ojcowskie i proponuje, aby napisał do dyrektora liceum i bez straty czasu wracał do książki. Syn jednak nie chce się zgodzić na propozycyę ojca, o powrocie do szkoły nie myśli, a zapytany o powód takiego postępowania, tłómaczy się obszernie, dowodząc nieudolnie i niedorzecznie wadliwości wychowania europejskiego, które zdaje mu się być wymyślone i skierowane ku utrapieniu młodzieży,—gdy przeciwnie, podług jego mniemań, wychowanie w innych częściach świata jest nieporównanie lepsze, jako zostawiające więcéj swobody i samodzielności młodzieńcom.

Po cierpliwém wysłuchaniu takiego usprawiedliwienia, ojciec daje synowi do wyboru powrót do szkoły lub areszt domowy, połączony z pracą;—syn decyduje się na ten ostatni i zostaje osadzony nad łaciną i arytmetyką, w gabinecie ojca, w którym znajdują się zbiory i piękna biblioteka.

Ojciec wyznacza pracę synowi, oddala się zabierając klucz od szafy bibliotecznéj, aby synowi nie przychodziła ochota do czytania książek i odrywania się od obowiązkowéj pracy.

Pewnego jednak dnia zostawia ojciec klucz w szafie z książkami, syn odrabia swoje zadania prędko i starannie i zabiera się do przeglądania biblioteki i zaraz na wstępie (w szufladzie, w tece) znajduje rękopism ojca, zawiérający opis wychowania młodzieży w różnych częściach świata.

Spodziewając się znaléść wiele faktów popierających jego mniemanie, syn z całym zapałem zaczyna czytać o losach młodzieży w Chinach, Ameryce północnéj, w Afryce, na północy i Australii, a po przeczytaniu z gorączkowym pośpiechem, przekonał się, że najlepiéj młodzieży w Europie, albowiem stosunkowo najrozumniéj jest uczona i największą ma opiekę.

Wtedy uznał nareszcie, że zbłądził, zobaczył jasno niedorzeczność swego postępowania i przy widzeniu z ojcem, nie mógł się powstrzymać od serdecznego przeproszenia ojca a następnie matki i siostry za zmartwienie i niepokoje, na jakie ich swojém postępowaniem naraził, a nadto zdecydował się natychmiast powrócić do li-

ceum. Wkrótce został jednym z najlepszych uczniów i ukończył z powodzeniem szkołę.

Pomysł dziełka wyborny, wykonanie bez zarzutu,—myśl przewodnia przeprowadzona konsekwentnie i naturalnie.

Zdaje się, że każdy młodzieniec, będący w podobném położeniu, po przeczytaniu pracy p. Bertheta, musi być przekonany i poprawiony, byle nie był próżniakiem lub istotą apatyczną.

Losy młodzieńców wziętych za przykład w różnych częściach świata, opisane bardzo zajmująco i nacechowane prawdą,—autor przejął się zwyczajami i potrzebami ludów, do których należy młodzież opisywana, starał się podłożyć odpowiednie tło natury, wprowadził prawdziwe otoczenie, jakie nadaje danéj okolicy klimat, roślinność i świat zwierzęcy.

Książka składała się z przedmowy od tłómaczów i 8-iu rozdziałow, z których pierwszy poświęcony jest młodemu paryżaninowi, osobie głównie działającéj, *drugi* zapoznaje czytelnika z Adamem Smithem małym amerykaninem, *trzeci* opisuje wychowanie *Lao* małego chińczyka, *czwarty* zawiéra rozmyślania Feliksa (bohatéra). W *piątym* skreślone jest wychowanie Hansa małego eskimosa, w *szóstym Sambo* małego afrykanina, *siódmy Kędzierzawéj głowy* małego australczyka, w ostatnim (VIII-ym) zakończenie.

Tłómacze wywiązali się dobrze ze swego zadania, oddali pracę językiem czystym, poprawnym, stylem gładkim i jasnym i przysporzyli literaturze „dla młodzieży“ dziełko, które z korzyścią i przyjemnością młodociany wiek może czytać.

Wydanie dość staranne i ozdobne, możnaby zrobić zarzut ten, że niektóre rysunki (*dziewiczy las w Ameryce*) zupełnie nic nie przedstawiają, a papiér zanadto może szary.

Antoni Slósarski.

„**Mały zwierzyniec**“ Historya naturalna wierszem dla dzieci ułożona przez Jana z Rzeszowa z rycinami. „**Powieści z Pisma Ś-go**“ wierszem dla dzieci opowiedziane przez Jana z Rzeszowa. „**Przygody podróżnika i myśliwego w Afryce Zachodniéj**“ przystępnie opowiedziane, przełożył A. Wrześniowski. **Przygody na lądzie i morzu: Porwana siostra**“ przez kapitana Mayne-Reida, przekład polski P. S. „**Obrazki dziejowe dla młodzieży**“ przez Teresę Jadwigę (Papi) z rycinami Juliusza Kossaka.

Nietylko treścią, ale i wartością, bardzo się różnią książeczki, o których sprawę zdawać zamierzamy. A chociaż o żadnéj z nich może nie powiemy, że nas w zupełności zadawala,—to przecież spotkamy się z takiemi, co nie przynoszą wcale ujmy literaturze te-

go rodzaju, o którym mowa. Zaczniemy od tych, z jakiemibyśmy się nie życzyli już spotkać na przyszłość. Zaliczymy do nich: „Powieści z Pisma Ś-go“ a nawet „Mały zwierzyniec.“ Boć doprawdy trudno zrozumiéć, dla czego taka książka znalazła u nas prawo bytu, jak te powieści z Pisma Ś-go. A toż to chyba ten ją da w ręce młodzieży, kto raz na zawsze chce swoich czytelników zabezpieczyć przed chęcią rozglądania się w Biblii. Istotnie, może nikt nie zdołałby zetrzéć całego piętna majestatu i poezyi z obrazów Starego i Nowego Testamentu dokładniéj, jak się to udało Janowi z Rzeszowa. Dość będzie chyba na dowód naszego sądu o téj książce, przytoczyć, choćby tę parę wierszy:

„Rzekł Jezus, schylił głowę, oddał ducha *Bogu,*
Pożegnał swych najmilszych i przebaczył *wrogu.*“

Ten sam poeta obdarzył nasze dzieci wierszowaną Historyą naturalną. Dziwna wielostronność poetyckiego natchnienia! Gdyby tu już był autor przynajmniéj porzucił formę wiersza, byłby nie naraził się na męczarnie dobierania rymu, a przez to w sposób przystępniejszy dla dzieci mógłby był nakreślić obraz psa, lub małpy. Ale dla dobrania rymu trzeba było i wprowadzić niejeden zupełnie niepotrzebny i niezrozumiały wyraz dla dzieci i najpotworniéj szykować te wyrazy w zdaniu. Tak naprzykład:

„Król lasów, goryl, w Afryce się chowa,
Siła téj małpy jest *herkulesowa....*“

Na innêm znowu miejscu:

„Tapir na brzegach rzek Azyi przebywa,
I w Ameryce, doskonale pływa, —
Wielkości osła, podobny do świni,
Żadnéj istocie krzywdy on nie czyni,
A trąbą wietrzy.“

Nie umiemy lekceważyć niczyich dobrych chęci: dla tego też powiemy, że i Jan z Rzeszowa mógłby z pożytkiem pracować dla dzieci, ale niech pisze nie wierszem i niech już swoim talentem nie sięga po za istoty nieobdarzone duszą ludzką.

Na szczęście nietylko tacy, jak Jan z Rzeszowa krzątają się około kształcenia młodzieży: i p. A. Wrześniowski zapragnął obznajmić młodzież z odległemi stronami zachodniéj Afryki. Porównał on opowiadania Pawła du Chaillu z opisami Markiza de Campiègne, i przekonawszy się, że one odznaczają się prawdziwością, oprócz niektórych ustępów, przetłómaczył całą jego pracę, opuścił przesadzone opowieści i dopełnił z wiarogodnych opisów to, co za stosowne uznał. Dziełko to ma zatém wartość naukową; tłómaczenie

jest dobre, wydanie staranne: pożytek więc z niego niezaprzeczony. Pozwolimy sobie zrobić nad niém parę tylko uwag: szkoda, że obok prawdy w opisach, dziełko p. du Chaillu nie odznacza się jeszcze innemi przymiotami, pożądanemi w książkach dla młodzieży. Jest ono pisane monotonnie, sucho, zbyt rzadko ogrzane jakimś promykiem szlachetniejszego uczucia. Dzikie, brudne plemiona murzyńskie, gady i potwory, mordy bezustanne, mogą tak znużyć czytelnika, taką nawet odrazę wzbudzić, że nie będzie w stanie długo tą lekturą się zajmować. Korzyść dla umysłu zapewne wyniknie z tych opisów, bo są prawdziwe (1), ale serce chyba się znieczuli na cierpienia choćby tylko tych nieszczęśliwych zwierząt. I autor i tłómacz nie zwrócili uwagi na to, że książka dla młodzieży wszystkie strony duszy uwzględniać powinna. Zakochany w swojéj nauce specyalista zachwyca się często, szczegółem z jéj dziedziny takim, który w niespecyaliście wstręt tylko budzi: to też zauważyli to pedagogowie, że specyaliści często zamiast pociągać ku swojéj gałęzi wiedzy, odstręczyć mogą od niéj młodzież, jeśli miarą swoich upodobań się kierują, a nie znajomością natury tych, do których przemawiają. Takie skutki może wywołać i ta książeczka. Dodamy jeszcze, że cztery ryciny, tu pomieszczone, nie czynią zadość wymaganiom pedagogicznym. Niechżeby czytelnicy poznali przynajmniéj tych murzynów i te potwory, kiedy już tyle na czytaniu o nich poświęcają czasu i smaku. Najdokładniejsze opisy nawet nie zastąpią nigdy rysunku. Jest to rzecz tak naturalna, iż dziwimy się, że na to naturaliści często nie zwracają uwagi. Poeci i malarze dawno już o tém wiedzieli i rodzielili się też dla tego tematami do swoich utworów: kiedy piérwsi biorą za temat rzecz dającą rozwinąć się w czasie, to drudzy zajmują się tylko tém, co w przestrzeni ująć się daje. Dzieje duszy ludzkiéj są głównemi przedmiotami pisarza, opis ciała gra rolę podrzędną. U malarza przeciwnie: przez dokładny, wykończony obraz ciała, uwydatnia się jeden moment z dziejów ducha. I inaczéj być nie może: nie zdoła pamięć ludzka zatrzymać każdego rysu, przytoczonego przez pisarza, umieścić go i zatrzymać na właściwém miejscu, dopóki nie zbierze i nie uporządkuje wszystkich tak, iż cały obraz plastycznie wystąpi w wyobraźni czytelnika. Kto więc chce przedstawić dokładny obraz przedmiotu więcéj skomplikowanego, powinien go nie opisywać, ale wymalować. Z tego względu sądzimy, że cztery ryciny dla czytelników książki, o któréj mówimy, nie wiele znaczą. To też radzimy ją dawać do rąk tych chyba, co już z historyą naturalną zkądinąd są

---

(1) Przez nieuwagę zecera wkradł się tu wyraz *„mangolie"* zamiast *„manglije."*

obznajmieni a tylko ze zwyczajami, czy sposobem życia ludzi i zwierząt pragną się poznać; panów wydawców zaś lub autorów i tłómaczów upraszamy, aby w jak największą liczbę dobrze narysowanych i kolorowanych rycin książki podobne zaopatrywać chcieli. Rzecz prosta, że takie książki muszą być bez porównania droższe, ale większy pożytek przyniesie jedna z rycinami, niż kilka bez rycin. Kupującym zaś książki podobne, lub kierującym czytaniem młodzieży powiemy, iżby, z powodu, że książki te w ryciny nie obfitują, zalecali czytelnikom bez dokładnego atlasu do Historyi Naturalnéj książek takich do rąk nie brać. Młodzież, zajęta zwykle nauką szkolną, powinna czasu oszczędzać i jeżeli czyta, to czytać powinna rzeczy, któreby obok przyjemności i istotny pożytek przynosiły.

Daleko więcéj, niż poprzednia podobała się nam „Porwana siostra" Mayne-Reida. W ryciny wprawdzie także nie obfituje, ale też autor widocznie założył sobie więcéj ze zjawiskami natury i zwyczajami ludzi i zwierząt obznajmić czytelników, niż z postaciami istot. Pod względem zaś pedagogicznym stoi daleko wyżéj, bo jakkolwiek nie zawiéra w sobie tylu szczegółów co poprzednia z dziedziny Nauk Przyrodzonych, to przecież te szczegóły, o których mówi, jasno wykłada a przeplatać je umie tak sympatycznemi, szlachetnemi opowiadaniami o losach i uczuciach ludzi ucywilizowanych, znajdujących się wśród téj dziwnéj natury, że nietylko wzbogaca umysł pewnemi, specyalnemi wiadomościami, ale kształci w wysokim stopniu serce.

Autor zapoznaje nas tu z cudami natury Ameryki południowéj. Opowiadanie to odbywa się na tle życia rodziny, która przed prześladowaniami politycznego stronnictwa schroniła się w odległe miejsca i tu wśród pracy, w cichym kółku rodzinném i badań naukowych pędziła życie. Szczęśliwe to pasmo życia przerwane zostało zamordowaniem ojca rodziny przez dzikich i porwaniem jego córki. Pozostała rodzina postanawia odszukać téj córki: brat więc porwanéj, jéj krewny w towarzystwie służącego, krajowca, puszczają się na niebezpieczną wyprawę. Trudy, jakie w szlachetném poświęceniu przenoszą, męztwo, z jakiém pokonywają wszelkie niebezpieczeństwa, wytrwałość, z jaką dążą do dopięcia swoich celów: są to pierwiastki kształcąco oddziaływające na czytelników. Humor przewodnika uprzyjemnia nader czytanie o téj smutnéj wyprawie.

Opisy zjawisk natury, jakkolwiek często swoją grozą przerażają, to przecież wstrętnych morderstw jest tu bardzo nie wiele. Taka zaś w téj książce jakaś artystyczna miara panuje, pomiędzy tłem opowieści a właściwym jéj celem naukowym, że co się zbyt rzadko zdarza w utworach dydaktyczno-poetycznych, prawie z po za obrazów poetycznych nie wychylają się oschłe rysy dydaktyzmu. Czyta-

jąc tę książkę trudno zdać sobie sprawę, co nas więcéj zajmuje, czy uczucie i losy ludzi, czy opisy natury. Tu nie tak, jak to nasi autorowie robią, co każą dziecku zamienić się w orła, wzlecieć na wieżę Maryacką, lub św. Szczepana i ztamtąd bez zawrotu głowy rozglądać się w pamiątkach Krakowa lub wspaniałych gmachach Wiednia: wszystko tu naturalne a przecież dziwnie poetyczne.

A i zakończenie książki jest bardzo sympatyczne dla smaku młodzieży: usiłowania zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Siostra została odzyskana, oddała rękę nawet swemu wybawicielowi; matka jéj, zbolała po stracie męża i udręczona zniknięciem córki, oddycha teraz wśród szczęścia rodziny, „boć czas największe troski ukoić zdoła.“ Zdaje się, że to śmieszne, aby wymagać sympatycznego zakończenia powieści, a przecież to takie naturalne: od tego zależy, czy wspominamy o niéj z wiarą w panowanie sprawiedliwości, czy téż z rozczarowaniem. W piérwszym razie spoglądamy na świat z błogim spokojem; w drugim z goryczą. Nie dziw téż, że to piérwsze budzi przyjemne uczucie, drugie, przeciwnie. Nie śmiem się domagać, aby powieści dla młodzieży i ludu zawsze kończyły się wyjściem Numy za Pompiliusza, boć nie zdołałbym się może obronić przeciw zarzutowi, iż wszędzie i zawsze świat rzeczywisty malować wypada; ja tłómaczę tylko, dla czego w sercach niezgorzkniałych zawodami życiowemi, takie lub inne odzywa się uczucie. Mówię zaś o tém dla tego, żeby wykazać, iż „Porwana Siostra“ jest bardzo sympatyczną książeczką.

Gdy się jednak patrzy na młodzież czytającą tę i podobną jéj książkę, to budzi się jakieś nieprzyjemne wrażenie, pochodzi to ztąd, że się ją widzi pochłaniającą chciwie wiadomości o stronach zbyt odległych, tak mało związku mających z cywilizacyą. Nasuwają się tu myśli, że ta młodzież spragnioną będąc wiedzy pochłaniałaby tak samo opisy o rzeczach daleko dla niéj pożyteczniejszych, gdyby z takim talentem i znajomością upodobań młodzieży były pisane, jak pisane są książki Mayne-Reida i większéj części cudzoziemców. Boć przecież i w ucywilizowanym świecie są rzeczy ciekawe i zrozumiałeby być mogły dla młodzieży, gdybyśmy umieli o nich pisać. Alboż to nie piękne są nasze ziemie, zwyczaje i obyczaje naszego ludu? Alboż to nasza przeszłość nie ma wypadków i postaci pełnych wspaniałéj poezyi?

To téż, po tych wędrówkach po obcych, dzikich krajach, z jakąż przyjemnością bierzemy w rękę „Obrazki dziejowe dla młodzieży“ skreślone przez Jadwigę-Teresę (Papi). Książeczka ta uderza najprzód doskonałym wyborem momentów historycznych. Jest tu sześć powiastek: „Krzyżacy“ przeróbka z powieści Kraszewskie-

go; „Zmienne koleje“ ustęp z życia królowéj Elżbiety, żony Kazimierza Jagiellończyka; „Rzeźbiarz i jego córka“ opowiadanie o Wicie Stwoszu; „Jan z Kolna;“ „Spełniona wróżba“ ustęp z życia Karola Chodkiewicza; „Porównanie,“ ustęp z życia Maryi Kazimiry i Zofii Chrzanowskiéj. Treścią więc téj książeczki są wspomnienia o najwięcéj wybitnych, chwałę narodu stanowiących osobach i historycznych faktach. To samo chociażby przemawia już bardzo korzystnie za jéj ważnością: taka treść i interesującą być musi, i dla względów pedagogicznych nader pożądaną. Boć każdy przyzna chyba, że historyczne powieści mogą bardzo wielkie oddać przysługi wykształceniu młodzieży: i z dziejami krajowemi mogą obznajmić, i jeśli na takiém tle osoby narysowane są z prawdą psychiczną, to dają poznać świat wewnętrzny człowieka, a często nadarza się tu sposobność przedstawienia wspaniałych wzorów dla młodzieży przez malowanie charakterów ludzi, umiejących wychodzić zwycięzko z pośród najcięższych okoliczności życia, umiejących spełniać w najszerszém i najgłębszém znaczeniu słowa swoje obowiązki. Ale, aby takie powieści pisać, nie dosyć jest szlachetnie czuć, posiadać bujną imaginacyą i łatwość, w doborze pięknego słowa: trzeba jeszcze głęboko wtajemniczyć się w dzieje, oraz w prawa rządzące duszą ludzką.

Nie powiemy, żeby książeczka p. Papi wywiązywała się ze wszystkich trudności, jakie autor powieści historycznych powinien pokonać. Przyznając jéj wszystkie przymioty, musimy wyznać również, że ani istotnego tła dziejowego, ani wnętrza duchowego osób historycznych nie znajdujemy tu po największéj części.

Prócz tego dodamy jeszcze, że sam koloryt postaci tu narysowanych nie nosi na sobie cechy minionych wieków: te postaci, takie dzisiejsze, chcę powiedziéć przez to zwykłe, pospolite, słabe, tkliwe. Naprzykład, ów Chodkiewicz przed bitwą i po bitwie przedstawia się, jako poczciwy człowiek i nic więcéj. Sobieski, Zamoyski, Kazimierz Jagiellończyk, także dziwnie blado wychodzą. Chrzanowska znowu wygląda na kobiétę, rządzącą się chwilową fantazyą raczéj, niż istotą poświęcającą się w imię najświętszych obowiązków. Pochodzi to ztąd zapewne, że przy tak szczupłém miejscu, jakie autorka tym postaciom wyznaczyła, za słabe są rysy, aby je uwydatniły, a może autorka za mało przejęła się duchem tych bohatérskich postaci, może jéj pióro z natury za miękkie, aby z odpowiednią siłą kréślić umiało sceny i postaci wymagające niemałéj energii. Przy odpowiednich jednak studyach, może się do pewnego stopnia takie pióro wyrobić. Gdyby jednak miało być przeciwnie, to należałoby pozostać w szczuplejszym obrębie działalności, i nie porywając się na kreacye innego gatunku, malować dusze takie, jak Maryi Kazi-

miry, Jadwigi córki Stwosza, Elżbiety. Bo też te postaci udały się autorce: próżność Maryi, szlachetne, pełne poświęcenia dla ojca serce Jadwisi, kochająca i odczuwająca swoję godność Elżbieta, są dobrze odmalowane. Nawet dusza Wita w niektórych rysach dobrze naszkicowana; pychy atoli, która mu wyrodziła tylu nieprzyjaciół, nie widzimy dokładnie. Należało tu chyba wykazać stosunek jego osobisty do rzekomych ówczesnych wielkości rzeźbiarskiego cechu, lekceważenie ich przez Stwosza, nawet może okazywaną im wzgardę przez mistrza, abyśmy dobrze pojęli ich zawziętość przeciw naszemu bohatérowi.

Pod względem owego kolorytu, to bez zaprzeczenia tchnie nim najwybitniéj powieść „Krzyżacy.“ Zasługa tu wprawdzie Kraszewskiego, ale i to ważne, że w przeróbce autorka umiała ją zachować. Oddając słuszność temu, co na to zasługuje, pozwolimy sobie wypowiedziéć i to, co nam się nieudatném wydało. Otóż zanadto czuć tu wiwisekcyą na utworze Kraszewskiego. Pojedyncze sceny powycinane zostały dość zręcznie, ale niektóre osobistości zaplątały się tak bez odpowiedniego umotywowania, że trudno sobie zdać sprawy, po co one tu weszły. Tak np. ów Gersdorf, owo poselstwo Zygmunta po co i dla czego tu się znajdują? A znowu ta Ofka, ksiądz Jan, cóż się z nimi stało? Co mamy sądzić o charakterze Ofki? Dla młodzieży nie jest to jasne, a Ofka, przez swój wiek młodzieńczy i zresztą w skutek roli, jaką odgrywa, najwięcéj młodych czytelników interesuje. Nawet tytułu trudno tu usprawiedliwić: wszak tyle tu mowy o krzyżackim, co polskim obozie. Może lepiéjby było dać tytuł „Bitwa pod Grunwaldem,“ i scharakteryzowawszy butę Krzyżaków a słuszność sprawy Polaków, oraz tę powagę uroczystą, z jaką się ci ostatni gotowali do boju, odmalować samę bitwę i na tém zakończyć. Byłoby to również powierzchowne traktowanie rzeczy, jak w innych powiastkach, ale zmysł estetyczny, wymagający jedności kompozycyi, jasności planu i zaokrąglenia całości, nie byłby obrażony.

Doskonale to pojmujemy, jak podobne przeróbki są trudne, i dla tego też dłużéj nieco zastanowiliśmy się nad tą powiastką. Sądzimy też, że gdyby możebném było nieco zręczniéj ich dokonywać, wyświadczyłoby się tém niemałą przysługę młodzieży.

Mimo stron ujemnych, o których nie zamilczeliśmy wcale, o ile zdolności nasze pozwalały na ich wytknięcie, z przyjemnością wyznajemy, że książęczkę p. Papi bardzo cenimy, chociażby dla jéj szlachetnéj tendencyi i pięknego słowa, i szczerze pragniemy, aby szanowna autorka dalszemi pracami zechciała wzbogacać literaturę dla młodych czytelników. *Floryan Łagowski.*

I. **Branka Tatarska**, powieść dla młodzieży przez Paulinę Kraków. Wydanie drugie. Warszawa 1880. Nakład Fer. Hösicka. 16-ka więk. str. 124. Cena 50 kop.

II. **Kampanella**, koleje życia sieroty według angielskiego M-rs Jeroma Mercier przez Paulinę Kraków. Warszawa 1880. Nakład. Fer. Hösicka. 8-ka, str. 276. Cena (w ozdobnéj oprawie) rs. 2.

III **Zima pośród lodów**, przez Juliana Verne'a, tłómaczenie St. Rzętkowskiego (Biblioteczka podróży). Warszawa 1880. Nakład Fer. Hösicka. 8-ka str. 136. Cena (w ozdobnéj oprawie) 1 rs. 80 kop.

IV. **Kolenda dla Marylki** i zbiór wierszyków p. A. Fiedorowiczową. Warszawa 1880. 8-ka str. 104 (z drzeworytem).

Od roku 1841 datuje się żywszy ruch literatury *krajowéj* po zastoju, spowodowanym ciężkiemi przejściami w narodzie. Ruch ten najmniéj może zaznaczył się w piśmiennictwie dla młodzieży. Zasługa p. Krakowowéj tém większa, że najczynniejszą była wtedy przedstawicielką tego kierunku. Dość liczne jéj prace pojawiały się w wielokrotnych wydaniach; ale nie ograniczyła się na samém pisaniu, usiłowała budzić ruch na tém polu, powołując do pióra inne kobiéty.

Już od roku 1838 zaczęła p. Krakowowa wydawać „*Pierwiosnek*," noworocznik. Wyszło sześć takich noworoczników (1838—1843).

W r. 1850 wyszły dwa tomiki „*Powieści i legend*" zebranych przez Paulinę K...... Nie jest to żadne nowe wydawnictwo, lecz tylko dwa roczniki „Pierwiosnka" (1842 i 1840) w inną oblepione okładkę. „Pierwiosnek" zasilany był *wyłącznie* przez kobiéty. W znanych nam dwu tomikach, lub w dwu tomikach „Powieści i legendy," bo to na jedno wychodzi, obok różnych chrzestnych imion występują nazwiska: Krakowowéj Pauliny, Ziemięckiéj Eleonory, Trojanowskiéj Walentyny, Przesieckiéj Józefy, Mierzyńskiéj Prowidencyi.

Następnie wydawała łącznie z Trojanowską „*Zorzę*," dziennik młodemu wiekowi poświęcony. Wyszło sześć tomów Zorzy, po dwa rocznie, w latach 1843, 1844 i 1845.

Ważniejsze dzieła p. Krakowowéj są: *Rozmowy matki z dziećmi* r. 1841. *Niespodzianka*, zbiór powiastek. Od r. 1844 było dotąd siedm wydań. *Pamiętniki młodéj sieroty*, 3 wydania (3-cie w r. 1868). *Wspomnienia wygnanki*, (oddruk z *Zorzy*) 4 wydania. *Wieczory domowe*, 2 wydania (3-cie w r. 1868). *Proza i poezya polska*, r. 1860.

Od dość dawna nie spotkaliśmy się z żadną nową pracą p. Krakowowéj. Zaznaczamy skwapliwie, że zasłużona autorka, w ubiegłym roku znowu wzięła pióro do ręki. Widzimy to z czynnego współpracownictwa w *Wieczorach Rodzinnych*, czasopiśmie na po-

cząłku r. 1880 założoném w Warszawie dla dzieci, które zapowiedziało nawet szereg powiastek historycznych téj autorki; widzimy z dwu jéj książek na gwiazdkę. Książki te nie są wprawdzie rzeczą oryginalną lub nową: jedna jest przedrukiem, a druga tłómaczeniem; niemniéj przeto zasługują na rozpatrzenie.

Branka Tatarska, powieść dla młodzieży, wypełnia niewielką książeczkę w 16-ce o 124 stronach, ozdobioną 4-ma swojskiemi drzeworytami. Czytamy na tytule: *Biblioteczka rodzinno-powieściowa*, zaznaczamy nawiasem, że ów rodzinno-powieściowy, niezręcznie zszyty atrybut, mało przyczynia się do ozdoby karty tytułowéj, zkądinąd dość ozdobnéj; wnosimy jednak z tego, że p. nakładca zamierzył wydać całą seryą podobnych powiastek. Przyznajemy p. Hösickowi, że obudził nowy ruch na polu wydawniczém dla młodzieży, że wiele wydał pięknych (pod względem zewnętrznym zwłaszcza) książek; więcéj jednak podobno natworzył tytułów i seryj przeróżnych.

Branka Tatarska występuje w drugiém wydaniu, o pierwszém wydaniu téj powiastki, bibliografia milczy. Znaleźliśmy je w „Pierwiosnku," noworoczniku na rok 1842, a zatém i w I-ym tomie *Powieści i legend*.

Rzecz dzieje się na Podolu za panowania Jana III. Kamieniec Podolski od nieszczęśliwego r. 1672 jest w ręku Turków i potęga półksiężyca natrząsa się z Polski, która od tego czasu nigdy już nie podźwignęła się do dawnéj potęgi i znaczenia. Ziściły się obawy w Markocinie; napadli Tatarzy, złupili dom, porwali młodziuchną Michalinę Marchocką, zostawując w rozpaczy jéj ojca cześnika i poczciwą Marcinową. Czteroletnie koleje i przygody Michałki w Stambule stanowią właśnie treść barwnego i zajmującego opowiadania. Sytuacya, zawiązana tak dramatycznie przez oderwanie Michałki od łona ojcowskiego, utrzymuje czytelnika w ciągłém zaciekawieniu, przedstawiając mu z jednéj strony smutne, niebezpieczne, a przecież zwycięzkie pod pancerzem religii, koleje Michałki, a z drugiéj smutek i tęsknotę sędziwego cześnika w domu. Kontrast jaskrawego wschodu, pięknych widoków z Bosforu, bogatego (jak w tysiąc i jednéj nocy) haremu, z opustoszałym, milczącym grobowo dworkiem szlacheckim, ożywia opowiadanie. Są tam ustępy bardzo piękne jak np. sen Michasi (str. 41 i 42). Wybornie opisany wpływ Michasi na Ksaryfę, rozkapryszoną do szaleństwa córkę bogatego Agi-Mustafy. Końcowy ustęp, opisujący powrót Michasi i jeńców wyswobodzonych przez trynitarzy, przywitanie w kościele w czasie nabożeństwa wielkanocnego, do łez rozrzewnia czytelnika.

Autorka znacznie rozszerzyła drugie wydanie, dodając mu wiele dekoracyi, przez rozszerzenie opisów przygód Michałki; czyni to

powiastkę więcéj zaciekawiającą niewątpliwie; prace jednak p. Krakowowéj nie potrzebują sztucznego zainteresowania. Łatwo tu było popaść w jaskrawość, autorka umiała przecież utrzymać właściwą miarę, o ile na to materya sama pozwalała; trudno bowiem wprowadzić młodziuchną bohatérkę do haremu i nie pokazać jéj „w tém czarownem mieszkaniu" skarbów, złota, srebra, marmurów, tkanin przepysznych, złotogłowu, kości słoniowéj, „co wszystko jasne i błyszczące, aż razi oczy, aż zmysły porywa" (str. 91); trudno nie pokazać kobiét strojnych a przepięknych i trudno nie obudzić domysłów niepotrzebnych, zagadek niewyjaśnionych. Jesteśmy zdania, aby bardzo skąpo używać barw, zbytnio działających na imaginacyą młodych czytelników. Są przecież zdania pedagogów, że czytanie wszelkich utworów fantazyi jest szkodliwe dla młodzieży. Podzielać tego zdania w zupełności nie można, ale liczyć się z niém trzeba. Nie dawać dzieciom zbyt wiele do czytania, a w tém, co się daje, uważać na równowagę pomiędzy lekturą rozrywkową a nauczającą. Wchodzi tu w rachubę usposobienie młodego czytelnika czy czytelniczki. *Branka Tatarska* zainteresować może przedewszystkiém dziewczynki; może ona być wyborną czytanką dla wielu, nie radzilibyśmy jéj jednak dziewczynkom o zbyt wybujałéj i łatwo zapalnéj imaginacyi.

Drugą książką p. Krakowowéj jest *Kampanella* z angielskiego. Książka ta może się znaléść w rękach każdego prawie dziecka (mniéj więcéj od lat 10-ciu) a zwłaszcza panienki. Są to rzewne koleje życia sieroty włoszki. Po rozbiciu okrętu burza morska wyrzuciła jedynę dziecinę na brzegi angielskie; znalazł ją rybak Bill Waters, słusznie nazwany Czarnym, był to bowiem pijak i przemytnik, ulitował się jednak i opiekuje się sierotą przy pomocy miejscowéj nauczycielki i proboszcza. Rozwija się silny talent muzyczny w dziewczynce, którą nazwano Kampanellą; kształcona w Londynie, zapowiada świetną karyerę artystyczną. Nieszczęście chciało inaczéj; przejechana przez powóz, traci w złamanych palcach lewéj ręki potrzebną władzę do artystycznéj gry na skrzypcach. Wyrzec się musi tego, co jéj dusza najwięcéj ukochała i powraca z rezygnacyą na wieś, gdzie jest pożyteczna i szczęśliwa.

Rzecz pisana ręką umiejętną i wprawną; na dnie powieści, sentymentalnéj wprawdzie w szczegółach i w stylu miejscami, spoczywa myśl praktyczna, godna zaznaczenia. Pojmujemy utwory, wznoszące myśl młodzieży wyżéj, odrywające ją od rachub tuzinkowych, od planów realistycznych wyłącznie; z drugiéj jednak strony nie możemy zgodzić się na utwory, budzące w młodzieży pragnienia nieujęte, życzenia niezaspokojone. Wiele utworów grzeszyło i grzeszy

przesadą w tym drugim kierunku. Kampanella nie podlega temu zarzutowi, przeciwnie: prowadzi czytelnika tam właśnie, gdzie prawdziwe szczęście spoczywa t. j. w błogiém umiłowaniu najbliższych naszych, w przywiązaniu się do własnego proga, w zapłacie serdecznéj tym, którzy nas przez serce własne do światła bożego poprowadzili. Sierota doznała opieki Czarnego Billa i prostych mieszkańców nadmorskiéj wioski, a jednak ani Londyn gwarny, ani oklaski publiczności i salony książąt, ani zapowiadająca się świetność artystyczna, nie ostudziły jéj miłości do tego gniazda, w którém się ciepłem serdeczném ogrzała. Powraca do Brentholmu i wtenczas dopiéro czuje się prawdziwie szczęśliwą, gdzie może świadczyć wdzięczność pierwotnemu opiekunowi Billowi, który teraz na włóczęgę wyszedł.

Osnowa powieści prosta, faktura niezbyt wyszukana, a jednak nader zajmująca; obrazy i sytuacye piękne, niektóre bardzo piękne. Rozdział, opisujący sierotę i starca dzwonnika w kościele, mógłby być przedmiotem poematu. Obraz sierotki na obczyznie, nie rozumianéj i nie rozumiejącéj języka miejscowego, sierotki, patrzącéj z wieży na fale morza, co jéj przypomina świetne czasy matki, rozbicie okrętu; jéj radość nieopisana, kiedy posłyszała dźwięki mowy ojczystéj i zobaczyła pochyloną nad sobą damę; wszystko to musi na czytelniku robić wrażenie. Nie mniejsze robi wrażenie opis jéj powrotu do Brentholmu, opis wyprowadzenia Billa z szynkowni, tudzież rozmowy z nim nad morzem, a następnie poprowadzenia go do kościoła. Cieszymy się z szczęścia téj sieroty, jakie znalazła w zamążpójściu, bo widzimy, że słusznie ono jéj przypaść powinno w udziale.

Mogliśmy znaléść drobne zarzuty, jak np. wstręt Billa do kościoła i do księdza; względom artystycznym pomaga to zapewne, ale na moralność dzieci niekoniecznie dobrze podziałać może, zwłaszcza że wstręt ten niczém nieupozorowany nawet. Uderzają nas także owe datki pieniężne, jakie czasem sierota od obcych otrzymuje (porównaj str. 119). To są jedyne zarzuty, jakie książce uczynić możemy; język dobry, choć miejscami trochę przesadny (np. „jedwabna mowa"), korekta dość staranna, choć zaniedbywano użycie przecinka i niepotrzebnie kréskowano *e* w stopniach wyższych przymiotników (np. jaśniéjszy).

Jak Kampanella, dziewczynki, tak *Zima pośród lodów*, chłopców przedewszystkiém zaciekawi; tych zwłaszcza, którzy uczą się już początków Geografii i Fizyki. Rzecz ta drukowała się w *Przyjacielu Dzieci* w r. 1877, w przekładzie J. B. Nie będzie omyłki, jeśli pod temi literami domyślimy się Joanny Belejowskiéj.

Utwór ten ma wszystkie zalety i właściwości utworów Verne'a, twórcy klechdy nowożytnéj, któréj najśmielsze zmyślenia opiérają się na naukowém prawdopodobieństwie. Autor, niedawno tak modny w całéj Europie, nie jest obcy i młodzieży naszéj; jego „Podróż naokoło świata" spopularyzowała się różnemi drogami, posłużyła nawet za treść do gry, którą w roku ubiegłym w „Wydawnictwie Zabawek i Gier Pedagogicznych" (u Gebethnera w Warszawie) pomieszczono.

Osada okrętu płynie na północ, poszukując zaginionego żeglarza; tu zamrożona, wśród lodów zimować musi. Przygody téj osady są właśnie treścią ciekawego opowiadania. Radzilibyśmy dawać tę książkę do ręki starszym chłopcom i to takim, którzy, rozumiejąc zmyślenie, fabułę powieściową, nie będą przejmować się charakterami osób; niektóre z nich są bowiem wstrętne, a nawet potworne. Złośliwość, zbrodnicze zamiary i oburzające postępowanie Vaslinga, walka o życie między osadą okrętu, godzenie na siebie wzajem wtenczas, gdy już klimat i choroby zgnębiły tych biédnych ludzi; strzelanie i sztyletowanie się wzajemne wtenczas, gdy starzec kona, gdy białe niedźwiedzie gniotą w uścisku walczących z sobą; wszystko to (uplastycznione jeszcze przez drzeworyty) stawi żywą fakturę powieściową. Kto nie dorósł do właściwego rozumienia podobnego opowiadania, nie powinien go czytać.

Przekład i korekta staranne, wydanie książki piękne.

Możemy poprzestać na kilku słowach o *Kolendzie* p. Fiedorowiczowéj. Na początku zbiorku opowiadają się wierszem trzyletniéj, a późniéj siedmioletniéj Marylce niektóre szczegóły z młodości Jezusa Chrystusa; drugą część, nierównie większą od piérwszéj, stanowią rozmaite wierszyki, różnego zakresu i nastroju.

Zbiorek dowodzi dobrych chęci autorki i łatwości rymowania, niczego więcéj; nie wyróżnia on się niczém szczególném, żaden wiersz treścią, ani formą nie robi głębszego wrażenia. Mieszczą się tu wiersze, różnemi czasy do „Przyjaciela Dzieci" pisane. Tak n. p. Kolenda (str. 101) jest przedrukiem z tego pisma z r. 1878, Nowy Rok (str. 94) i Wiośniana Uciecha (str. 40) z r. 1879. Tak powstały zbiorek nie może mieć nawet zalet jako całość jednolicie pomyślana, organicznie rozwinięta, nie można przeto nawet oznaczyć wieku, dla którego byłby najwłaściwszym.

Wł. Nowicki.

(*Dok. nast.*)

Układ elementarza i jego zasady.

Z powodu prac Kazimierza *Promyka* i Wincentego *Trybulskiego*.

Zadaniem autora elementarza ma być przedewszystkiém pomieszczenie w swojéj książce *dobrego* materyału, to znaczy, szeregu przedmiotów, których rozbieranie najwłaściwsze jest dla umysłu dziecięcego. Piszący elementarz polski nie rozstanie się ani na chwilę z myślą, iż chodzi tutaj o metodyczne a rozumne ćwiczenie władz umysłowych dziatwy i że ćwiczenia takiego nie można za żadną cenę poświęcić dla czynności natury czysto mechanicznéj, lub dla czynności jakiéjś dzieciom niezrozumiałéj. Autor przeto powinien bezwarunkowo uwzględnić dotychczasowe stanowisko naszych elementarzy i to, co w nich jest mechanizmem bezpłodnym, niezdrowym, wyrugować, zamienić na metodę korzystniejszą. Mówimy mechanizmem niezdrowym, bo pewne czynności nauczania z natury swéj mechanizmem być muszą, a jak powszechnie wiadomo, należy tu główniе nauka czytania, pisania, rysunku. Otóż piszącemu elementarz musi jak najmocniéj zależéć na tém, ażeby mechanizm szematyczny, przestarzały, pozbawiony niejako wszelkiego życiowego ruchu, zamienić na taki, przy którymby umysłowość dzieci była czynną. I tu znowu, okrom obznajmienia się z wadami elementarzy polskich, autorowi towarzyszyć powinna znajomość metod, używanych w innych krajach podczas piérwszego nauczania szkolnego, oraz znajomość zastosowania ich w elementarzach zagranicznych.

Z tego stanowiska biorąc rzeczy, należy w elementarzu podać nauczycielom i matkom skuteczny środek nieustannego rozwijania umysłowych władz dziecka bez spuszczenia ani na chwilę uwagi z tego zadania najgłówniejszego. Jednocześnie zaś elementarz i dołączona do niego instrukcya powinny doprowadzić do możliwie ułatwio-

nego i uproszczonego czytania oraz pisania. Zazwyczaj czytanie oraz pisanie uważane jest za cel, dla którego wszystko inne się poświęca, a w takim razie dziecię w skutek nieużywania swoich władz umysłowych lub w skutek używania niewłaściwego i niektórych tylko, tępiejąc, traci porę lat z życia swego zupełnie nieprodukcyjnie; a tak stawszy się niezdolném i zobojętnioném, nie może też późniéj korzystać z samego czytania i pisania, które posiadają jedynie wartość *środków* dla ludzi, co tych środków używać chcą i umieją.

W elementarzu przeto, gdy będzie szło o naukę czytania, autor nie ma oprzéć się na bezmyślnych sylabizowaniach b+i=bi; c+z+y= czy ani się téż na równie bezmyślném odczytywaniu przez żaków takich wyrazów trudnych, jak *trzask*, *brzask*, *drzwi* i td., ale zamieni to na metodę godniejszą zarówno ucznia jak i wychowawcy. Piérwszy będzie poznawał w takich wyrazach dźwięk napełniony przez treść pojęcia o rzeczy dobrze poznanéj; drugi już nie będzie zabijał w dzieciach zaraz na wstępie interesu oraz poznawania dla książki przez odjęcie umysłowi dziecięcemu wszelkiego pokarmu. Abecadłowe łamigłówki niechaj sobie każdy autor elementarza zgóry wyperswaduje.

Przypatrzmy się jednak bliżéj, jak wygląda ta nauka czytania. Oto elementarz powinien zawiérać stronicę obrazów rzeczy, których nazwy brzmią po polsku łatwo i są przeto najdostępniejsze dla dziecka. Weźmy np. wyraz *lampa*. Niechaj dzieci wymówią dwie części tego wyrazu *lam-pa*. Niechaj teraz oznaczą, gdzie tu jest dźwięk *a*; a wszystko to bez książki jeszcze, tylko przy obrazku. Niech cała klasa wymawia *a*. Następnie nauczyciel wezwie zdolniejszych, aby wykrywali *a* w innych wyrazach przez niego wymawianych, oraz, ażeby przytaczali wyrazy, w których głos *a* się znajduje: *ławka*, *szklanka*. Niechaj przytaczają uczniowie wyrazy z jedném *a* i z dwoma *a*: *as*, *dać*, *rama*. Po tych ćwiczeniach głównych nauczyciel pokazuje dzieciom w abecadle lub wypisuje na tablicy drukowany znak głosu *a*, czyli literę. A teraz odwracamy kartkę elementarza obrazkową i znajdujemy w naszéj książce odpowiednio przygotowane ćwiczenia, gdzie uczniowie będą wynajdywali literę *a*, pokazując ją w wyrazie ołówkiem lub opowiadając, że ona znajduje się: na początku, w środku, na końcu. Druga figura kartki obrazkowéj może stanowić zajmującą lekcyą, najprzód o samym przedmiocie, traktowanym metodycznie; daléj zaś ze względu na jego wyrazową nazwę np. *kogut*, *ko-gut*, przechodzimy do rozdzielenia w wymawianiu tego wyrazu na dwie części wyraźnie zartykułowane. Nauczyciel żądać może od dzieci, aby tu znalazły *a*, jako dźwięk. Daremném jest atoli wymaganie. Przedstawia im zatém dźwięk *o*; przyczém idą ćwicze-

nia podobne jak przy *a*. Między zaś rzeczami otaczającemi dziecko samo znajdzie nazwy gwoli przykładów: *głowa*, *oko*, *nos* i td.

Pokazawszy dzieciom drukowany znak głosu *o*, mamy już teraz możność ćwiczeń daleko szerszych z uwagi na skombinowanie w wyrazie głosu *a* z *o*; np. w wyrazie *głowa* najprzód idzie *o*, a następnie *a* końcowe; podobnież w wyrazie *woda* i td.; przeciwie w wyrazie *sadło*, *wiadro*. W przygotowanych ćwiczeniach elementarza dzieci wyszukują w wyrazach drukowanych znaków *a* i *o*.

Takie samo postępowanie stosuje się i do samogłosek *e*, *i*, *u*, *y*, a elementarz musi posiadać na ten cel parę stronic przykładów uporządkowanych tak, aby ćwiczenia były tam podane już to na samogłoski oddzielne, już na pomieszane z sobą.

Trudniejsza zapewne jest sprawa ze spółgłoskami, ale i na tym punkcie elementarz musi być stanowczym co do metody głównéj czytania. Najlepiéj jest wyjść od syczących, każdy bowiem łatwo wymawia syk *ss*... Potém uczniowie oznaczą miejsce dźwięku *s* w wymówionym wyrazie *nos*: następuje ono po *o* i jest końcowym głosem. Bierzemy następnie szereg innych wyrazów z *s*: *sos*, *sak*, *sen*, *sikawka* i td. i mieszamy ćwiczenia spółgłoskowe z samogłoskowemi. Nareszcie, metodycznie zawsze, przystępujemy do symbolów tych wyrazów w druku, w czém jak wiadomo, ułatwiają nam pracę ćwiczenia w elementarzu, na ten cel przygotowane. Nikt chyba już nie powątpiewa, że w podobny sposób winniśmy się w nauczaniu obchodzić i z innemi głoskami w mowie a literami na piśmie. Nikt téż chyba nie zrobi nam zarzutu, iż podany tu sposób uczenia czytania, jakkolwiek jest mechanizmem, jest prawie postępem, odnośnie do staréj, bardzo jeszcze rozpowszechnionéj metody sylabizowania. Mechanizm a mechanizm, to wielka różnica! Wszyscy postępowi nauczyciele mają pretensyą do tego, że przedstawiona tu metoda zajmuje naraz uczniów całéj klasy, że daje im możność samodzielnéj uwagi, że jedném słowem jest to mechanizm, ale mechanizm zdrowy. W tém nauczaniu czytania idzie się od głosów łatwiejszych do coraz trudniejszych; przyczém lekcye są jak najmniéj beztreściwe, ale ożywione przez rozmowę o rzeczach. Gdy się przystąpi do czytania wyrazów łatwiejszych, każdy uczeń powinien przeczytać ów wyraz, pokazać przedmiot, do którego się ten wyraz odnosi i opowiedzićć różne własności tego przedmiotu.

Po takiém potraktowaniu nauki czytania musimy zwrócić uwagę, jak mianowicie winien być ułożony elementarz odnośnie do treści, która ma być czytaną.· Pod tym ważnym względem metoda nie może być inną jak ta, któréj się dotąd trzymaliśmy, będzie nią tu także, jak i przy nauce czytania, metoda przedmiotowa, obserwują-

ca, poglądowa. Mechanizm zaś czynny, o ile można, uwzględniamy o tyle, o ile uczeń powinien czytać wprawnie, ale dla téj wprawy nie poświęcimy ani jednego odcienia naszéj zasady. Raczéj coś przeciwnego nastąpićby mogło, raczéj wolelibyśmy złego czytelnika w uczniu a dobrego myśliciela, niż odwrotnie.

Z różnych kategoryj rzeczy, złączonych pomiędzy sobą jakiemiś wspólnemi cechami układamy dla elementarza grupy; najpierwszemi z nich będą zapewne: *zabawki dziecinne* a między temi pierwsze miejsce zajmie *piłka*, daléj *biczyk*, *konik drewniany*, *szabelka*, *lalka*. O tych rzeczach prowadzi się najprzód rozmowa z dziećmi; czém każda taka rzecz jest, z czego zrobiona i przez kogo, jakie są jéj części, barwa, użytek, kształt. Następnie dzieci odczytują kolejno jeden wyraz po drugim. Po takiém poznaniu przez dzieci szczegółowych rzeczy i wytworzeniu sobie przez nie pojęcia rodzaju rzeczy niejako, autor elementarza powinien podać parę znanych przysłów, lub może jaką bardzo utartą maksymę, aby to odrazu, jak mówią, wpadło w gust dzieci. Jeśli maksymy trudno znaléźć, jeśli przysłowia, w języku brakuje, można ułożyć dwuwiersz lub cztérowiersz w rodzaju najprostszych bajeczek Jachowicza. Następuje daléj króciutkie, najwyżéj 8-o wierszowe opowiadanie, lub znowu ułożone, aby się odniosło do poruszonéj kwestyi zabawek i aby dzieci wszystko tu zrozumiały, aby objęły odrazu całość opowiadania i zdołały treść powtórzyć po odczytaniu. Maksymy lub wierszyka mogą się nauczyć na pamięć, bo będzie to i zrozumiałe i pożyteczne.

Po kategoryi zabawek może następować kategorya *domowych sprzętów* i *naczyń*. Ćwiczenia w ten sposób nabiorą nowego charakteru, gdyż autor, wyliczywszy rozmaite rzeczy, do tego działu należące, umieści pod spodem spis pomieszanych zabawek ze sprzętami, a to w tym celu, aby dzieci wyróżniały, co jest zabawką a co sprzętem domowym... Zresztą kategorya druga będzie traktowana zupełnie tak samo jak i piérwsza: przez uprzednią rozmowę, przysłowie, bajeczkę i powiastkę, może teraz już cokolwiek dłuższą. Trzeba przygotowywać wzrost rozwoju dzieci, trzeba i pewne małe trudności im stawiać, ale wszystko zwolna, tak aby dzieci każdą trudność pokonały same i aby jedno z drugiego wynikało, jedno z drugiém wiązało się ściśle w pewien systemat piérwszéj wiedzy. Mogą tu być i zagadki, ale dobre, łatwe, pięknie po polsku wypowiedziane. Autor téż musi niezbędnie być dobrym pedagogiem a oprócz tego powinien znać język nietylko literacki, ale i ludowy, nietylko nowożytny, ale i staropolski.

W elementarzu obrobione być powinny w podobny sposób wszystkie mniéj więcéj inne kategorye rzeczy najbliższych dziecka: *ubra-*

nie, *pożywienie*, *dom* i t. d. Nie trzeba podobno dodawać, iż obok tych wszystkich sposobów uwydatnienia dziecku pojęć, jedną z najważniejszych rzeczy będzie też obfitość dobrych rycin (drzeworytów).

Nie idzie o to, aby powiastka lub bajeczka odnosiła się do całéj grupy przedmiotów; jeśli lekcya elementarzowa odnosi się do ubrania, to powiastka może być o koszuli lub sukmanie, albo może ona dotyczyć np. szanowania odzieży: tylko bez ostrego, nużącego morału. Nie możemy też dosyć nacisku położyć na możliwe zużytkowanie najpowszechniéj przyjętych sposobów mówienia. Mówiąc o ubraniu człowieka: co znaczy, *chodzić bez butów* (jako pojęcie ubóstwa); *zostać w jednéj koszuli*. Pomieszczenie takich sposobów mówienia oraz wszystkich dobrych wyrazów języka polskiego uważamy za konieczny warunek elementarza, który powinien zawrzéć w sobie dostępny dla dziecka językowy materyał. Trud jest tu większy, aniżeliby się zdawało; elementarz nie może być pisany w ciągu paru miesięcy, ale dzieło takie musi być owocem rozważnéj i sumiennéj pracy jakiego roku czasu przynajmniéj.

Równie ważną sprawą jest rycina, która nietylko powinna być dokładną, ale także piękną. Dziecko ma unieść z elementarza piérwsze wrażenia dobrego smaku obok wyrazistości pojęciowéj. Na rycinie domu muszą widziéć wszystkie zewnętrzne części tego przedmiotu, bo dziecko palcem musi je ukazywać; a czy rycina przedstawi chatę, czy pałac, powinna je przedstawić artystycznie. Układ elementarza może podlegać dyskusyi, ale kwestya języka i rycina nie może dawać powodu do sporu, taką samę kwestyą stanowi także metoda użycia elementarza, rzekłbym więcéj: użycie książki w ogóle. Upadek nauki u nas pociągnął wielu do szukania wiedzy u obcych, i ztąd chyba poszło marnienie rodzinnych przysłów oraz sposobów mówienia. Tylko wśród wieśniaków często słyszéć można, że: *nie-odrazu Kraków zbudowano*, że *za wysokie są progi na cudze nogi* i td. Niemcy spisują skwapliwie takie rzeczy i w ich książkach szkolnych każdy spotyka pragnienie oddania przyszłym pokoleniom tego, co zarobiły przeszłe.

Jeszcze się jedna ważna okoliczność nastręcza. Autor elementarza nie powinien tu zgrzeszyć zbytnią obfitością materyału pojęciowego; mówiąc np. *o domu*, popełniłby błąd wielki, gdyby się rozwodził zbytecznie nad robotami mularskiemi, stolarskiemi, ślusarskiemi i td.; tém bardziéj zgrzeszyłby, wdając się w rodzaje architektonicznych stylów. Rozumna zwięzłość i treściwość musi więc być przymiotem książki a przewodnik do elementarza objaśni nauczyciela, jak on ma użyć tego wszystkiego. Gdy mowa np. o sprzętach domowych, niepotrzebne będą w elementarzu wyrazy takie jak:

kozeta, taboret, etażerka a nawet fortepian; może być jednak mowa o *pańskich stołach* i o tém co znaczy, gdy się mówi, że w domu jest *ubogo ale chędogo.*

Po zmysłowém obejrzeniu przedmiotu, przynajmniéj na rycinie, uważam za bardzo właściwe obejrzenie tegoż przedmiotu niejako abstrakcyjnie, i z tego to powodu wydają mi się ważnemi powiastki i bajeczki. Do powieści, bajki, poezyi człowiek doszedł na zasadzie poznania zmysłowego. Otóż i nam stoi przed myślą ten historyczny rozwojowy proces, gdy w elementarzu pragniemy go widzieć urzeczywistnionym. Dziecię widziało przedmioty, poznało je, to też ani bajki, ani powiastki nie przyjmie ono bez rozważania, ale w danym razie może ją nawet osądzić, gdyż zdobyło piérwsze, najważniejsze podstawy krytyki, czyli sądu o rzeczach. A więc w elementarzu punktem wyjścia dla nas jest metoda poglądowa, celem ostatecznym poznanie, zdobywanie pojęć i wydawanie sądów. Mniemam, że pod tym względem znajduję się na stanowisku już dobrze ocenioném, jeśli uwzględnimy obecny stan elementarza za granicą, jeśli zechcemy wreszcie uważnie przypatrzéć się rosyjskiemu elementarzowi Uszyńskiego, który niczém inném nie jest jak rezultatem uszanowania przez autora pracy cudzoziemców i dobrego przywłaszczenia jéj dla swego społeczeństwa. Zacząć od rzeczy a kończyć na pojęciach o rzeczach, na powiastkach, na ocenianiu tych rzeczy, jest to postępować bardzo pedagogicznie. Byłoby znacznie gorzéj zaczynać od bajki i nic nie mówić o rzeczach. U nas niektórzy nowsi autorowie elementarzy a do nich należy p. *Anczyc* używali rycin, ale bez znajomości metody pedagogicznéj; rycina była tu sobie nie wiadomo po co; nie zachodziła bowiem żadna potrzeba zużytkowania jéj obok morderczych ćwiczeń nad sylabizowaniem. *Elementarz dla szkól galicyjskich* ma może największą wartość, ale u nas mało nań zwracają uwagi. Ze względu na samę naukę czytania *elementarz Promyka* wywiązuje się z zadania swego wybornie. Wiemy jednak, iż nie o samo czytanie nam chodzić powinno w piérwszém nauczaniu. Największą wartość pedagogiczną ma zapewne *elementarz p. Trybulskiego*, ale uważać go można raczéj za instrukcyą dla ludzi układających elementarze, aniżeli za książkę dla dzieci. Książce téj o bardzo wielkich zaletach postawić należy najprzód zarzut, iż autor jéj zbyt wielkim kosztem czasu przeprowadza naukę czytania. Gorszym jednakże błędem jest zły wybór materyału; p. Trybulski opracował bowiem swój elementarz z jednostronnością erudyta, któremu metoda niezłomna towarzyszyła od początku do końca i nie chodziło mu już o to, czy dzieci będą rozumiały to, co czytają. Należałoby więc z ćwiczeń na spółgłoski i samogłoski wyrzucić i *Perę* i *Numę*,

operę, *Peru*, *Panama*, *Faraona* i *defraudacye*, oraz mnóstwo innych gości, którzy *per nefas* wtargnęli do polskiego elementarza ze wszystkich pięciu części świata a nie wylegitymowali się pasportem, potwierdzonym przez jakibądź pedagogiczny areopag zasad.

Nikt też z nauczających nie może pominąć zarzutu, że p. Trybulski podaje mnóstwo zdań nie mających sensu, jak np. *panna Eufrozyna ma zgrabną rękę i zadarty nosek; koza Abrahamka zapłynęła na wyspę; jałówka téj dobréj kowalowéj wpadła do tamtéj ogromnéj jamy*; *u pani M. jest dwóch urzędników od kolei i jeden z telegrafu; koło studni dudni* i td. Co tu zrobi nauczyciel z tych zdań, jak sobie pocznie w obec dzieci, nie wiedzących nic i nie mogących żadną miarą nic wiedziéć o pannie Eufrozynie, o Abrahamku, o pani M. i td.

Z tém wszystkiém żaden elementarz nie jest tak pouczającym dla autora, mającego przygotowywać nowy elementarz, jak książka p. Trybulskiego; uczy ona bowiem z jednéj strony, jakich błędów wypada unikać, jak sumiennym pracownikiem i znawcą być tutaj należy, a z drugiéj strony podaje bogactwo językowego materyału, z którego skorzystać jest koniecznością.

Można się nie zgodzić na to, że *wydra panny Doroty wyłapała ryby*, ale trzeba tu cenić znaczny zbiór polskich przysłów, zwrotów i sposobów mówienia: „co głowa, to rozum; co w sercu, to w ustach (czemu nie: na języku); mądry polak po szkodzie; dał ci Bóg dary, używajże miary; lepszy rydz jak nic; kto o grosz nie stoi, nie wart i szeląga; czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal; oko pańskie konia tuczy; trafił z deszczu pod rynnę; trzeba drzéć łyka, dopóki się dają; śmiałków psy gryzą; pij piwo, któregoś sobie nawarzył; ziarnko do ziarnka, a będzie miarka; przyjaźń przyjaźnią a interes interesem; zna się jak ślepy na kolorach; nie zawsze bywa świętego Jana; ma się jak groch przy drodze; słyszał, że dzwonią, ale nie wié, w którym kościele; rośnie jak na drożdżach" i t. d. i t. d. To też każdy przyszły autor nowego polskiego elementarza bezwarunkowo liczyć się musi z tą najnowszą u nas powagą, jaką niezaprzeczenie jest p. Trybulski, autor niepospolity, sumienny i uczony, ale nie pedagog. Nie udał mu się elementarz dla tego jedynie, iż pragnął materyały myśli dla dzieci układać w kombinacye, podobne do kombinacyj matematycznych. O balaście gramatycznym, obciążającym całą tę poważną książkę mógłbym tutaj jedynie tyle powiedziéć, że jest on zbytecznym.

Może słusznie Niemcy rozróżniają dwa wyrazy *Sprechlehre* i *Sprachlehre*; otóż dla nas w elementarzowém studyum rozwoju dziecka nauka ma być jeszcze nauką mówienia a nie nauką języka; mu-

szą nam zniknąć z przed oczu prawidła fonetyczne, morfologiczne i syntaktyczne; bo przed gramatyką należy zebrać materyał dla gramatyki; trzeba koniecznie umiéć mówić najprzód, bodajby nawet nie znać podziału wyrazów na części mowy.

Wracamy w dalszym ciągu do układu elementarza.

Wśród przedmiotów, otaczających dziecko, przedmioty świata roślinnego i zwierzęcego oraz świata czysto ludzkiego są w najwyższym stopniu interesujące, ale one naturalnie nie wszystkie mogą być uwzględnione w elementarzu. Nawet zwierzęta bardzo ważne zoologicznie a rośliny ważne botanicznie nie wejdą ani po parze do elementarzowéj arki. Natomiast muszą się tutaj znaléźć w dobrym komplecie zwierzęta domowe te, które w kraju naszym stanowią o jego dobrobycie i z któremi życie mieszkańców jest związane ściśle, a więc: koń, wół czy krowa, pies, kot, owca, koza, kura, gęś, kaczka. Z niedomowych, postawiwszy sobie za linią kierującą, również użyteczność lub szkodliwość, wprowadzimy do elementarza: wilka, lisa, zająca, kreta, kuropatwę, jastrzębia, pszczołę i t. d. Ale że człowiek na świecie nie samym chlebem żyje a rzeczy piękne, przyjemne mają dla niego również i z różnych względów znaczenie użyteczności, więc i nieużyteczny, ale poetyczny słowik, skowronek, jaskółka, bocian, mrówka, motyl jakiś i td. nie będą wcale przemycanym towarem elementarza. Zanim dziecko zasympatyzuje ze wzniosłém pięknem lwa ryczącego na pustyni, z lotnością gazeli lub cierpliwością wielbląda, niechaj się przyuczy widziéć toż piękno w puszczonym na swobodę rumaku, niech uszanuje pracę poczciwego wołu, wierność domowego kundla i jego inteligencyą. Będą to fakta a nie przesądy zoologiczne, które elementarz postara się raz na zawsze wyrugować z naszego społeczeństwa, przywracając honor oszkalowanemu nietoperzowi, sowie, kretowi oraz innym niewinnym, cierpiącym prześladowanie u nas najniesłuszniéj stworzeniom. Ale autor elementarza nie ma zapalić się znowu do apoteozowania zwierząt, nie ma przesadzić miary tak, ażeby miłość dla zwierząt wyrównywała miłości bliźniego, co mogłoby się trafić, gdyby autor nie pojmował należycie skali uczuć ludzkich i ich rozwoju.

Jak mają być potraktowane w elementarzu zwierzęta? Na to odpowiemy, że poglądowo. Dobra rycina, przedstawiająca wydatnie charakterystyczny rys życia zwierzęcia, dobra rozmowa o częściach ciała zwierzęcego najwidoczniejszych, o czynnościach zwierzęcia, jego chodzie, głowie, sposobie żywienia się, o miejscu zamieszkania, o ubarwieniu, o kształcie różnych części ciała, o nieprzyjaciołach zwierzęcia i t. d., krótka, treściwa powiastka, ładna

bajeczka, przysłowie, może jakie przytoczenie jasne z Biblii, oto i wszystko.

Z roślin, rzecz prosta zajmą nas najprzód nasze sady, niwy, łąki i lasy; są to naturalne grupy, gdzie wypada szukać dla dziecka strawy, celem rozwinięcia rozumu i uczucia. Spotkamy tu arcypowabnych przedstawicieli świetnego państwa Flory, spostrzeżemy tutaj rozmaitość piękna oraz użyteczności. Oprócz różnych zbóż, ich uprawy, przerabiania na pokarmy (jęczmienia i tatarki na kawę, żyta i pszenicy na mąkę a następnie na chléb); oprócz gruszy, jabłoni, śliwy, wiśni, kapusty, kartofli, buraków, marchwi, agrestu, maliny, w elementarzu wystąpi sosna w całéj pełni swojéj wysokiéj użyteczności (jako materyał budulcowy i materyał do wyrabiania większéj części naszych domowych sprzętów oraz używany do wyrabiania smoły i węgla drzewnego), powabny świerk z jodłą również użyteczny a pięknie szumiący; dąb rzadszy dziś u nas, ale wartościowy jako drzewo i charakterystyczny przez swe piękne liście oraz wielką siłę a długowieczność; wystąpi tu i lipa o wonnych kwiatach, miła sąsiadka każdego domostwa; topola, ozdoba gościńców a może i jarzębina, brzoza, modrzew, buk, leszczyna, wreszcie grzyby i t. d.

Z przedmiotów państwa zwierzęcego i roślinnego należy układać grupy, ale nie takie, jakieby podał kurs zoologii lub botaniki, może tu być grupa zwierząt domowych i dzikiéj zwierzyny, grupa zwierząt dostarczających pożywienia i nie dostarczających; cecha jednak: *ssące* powinna wystąpić a także cechy: *mięsożerne* i *trawożerne*. Ptaki domowe przedstawi elementarz jako *drób* a dzikie jako *wędrowne* i *miejscowe*. Owady wystąpią tutaj jako *muchy* (mucha domowa, pszczoła, osa), *chrząszcze* i *motyle* a także *bezskrzydle* mrówki. Z ryb przytoczone zostaną najpospolitsze, może tylko płotka, szczupak i karaś, kiedy będzie mowa o stawie lub rzece, a znaléść się tu powinien rak także. Niepodobna téż byłoby pominąć w ciągłych zatargach z muchami i porządkiem domowym pozostającego pająka.

Główne części ciała *ssaków* (głowa, szyja, kadłub i członki), *ptaków* (głowa, szyja, kadłub, nogi, skrzydła i ogon), *owadów* (głowa, tułów, kałdun i trzy pary nóg) będą stanowiły pierwsze podstawy pojęć zoologicznych dla uczniów elementarza. Niemniéj do tego przyczyni się powstawanie zwierzęcia i przyjście na świat żywo, wylęganie się z jaja oraz przemiany owadzie. Nad tém wszystkiém autor elementarza nie będzie się rozwodził, raz tylko główne, ogólne cechy zwierząt lub części ciała będą wspomniane a rzeczą nauczyciela

ma być częste powtarzanie tego wszystkiego przy okoliczności. Autor powinien tylko rozważyć dobrze, gdzie najwłaściwiéj o czém mówić. Węch psa np. najlepiéj jest przedstawić przy polowaniu, choć i pozostałe zmysły zwierzęcia nie mogą ujść uwagi. Ciągła baczność na różnice i podobieństwa jest duszą metody poglądowéj, jest pierwszym wybornym owocem, którego kosztuje umysł każdego człowieka, co obserwował. Bo oto już ciało ryby przedstawia zlanie się głowy z szyją, kadłubem i ogonem, a płetwy są tu kończynami; ciało znowu pająka mogłoby naprowadzić na myśl podciągnięcia tego stworzenia pod owady, gdyby nie głowa zlana w jedno z tułowiem, gdyby nie cztéry pary nóg i nie to, że pająk nie odbywa owadnich przemian.

Poruszymy z kolei państwo kopalne, a w niém zwrócimy uwagę na żelazo, o ile z niego wyrabiane są narzędzia i sprzęty różne (igły, noże, pióra, zawiasy itd.). Wskażemy wybitnie użyteczność tego kruszcu i jego taniość; powiemy w ogóle o jego wydobywaniu (ruda żelazna) oraz przerabianiu na stal. Rycina, przedstawiająca życie górnicze lub hutnicze, będzie tutaj najwięcéj mówiła. Miedź, złoto, srebro dają się traktować w rozdziałku, gdzie będzie mowa o piéniądzach, a nauczyciel powtórzy tu tylko wszystko to, co te kruszce mają wspólnego z żelazem. Różnice są łatwe do dopatrzenia. Parę słów o nafcie powié się, gdy mowa jest o lampie w rozdziale sprzętów domowych i naczyń. Toż samo stosuje się do piasku lub krzemienia, który najwlaściwiéj jest przedstawić tam, gdzie się mówi o domu, o jego budowaniu, o materyałach, z których zrobiono okno, więc i o szkle. Tamże wystąpić może również glina, z któréj wypala się dachówka. Autor może jednak dotknąć tego przedmiotu przy naczyniach kuchennych (garnki i misy).

W elementarzu jednak nie powinno chodzić o wyczerpanie wiedzy realnéj, odnośnie do wspomnianych wszystkich przedmiotów, które są tu po prostu tylko przedmiotami wziętemi ze świata otaczającego, aby rozwijać umysły dzieci, aby je uczyć myśléć i uczyć myśli swoje dobrze wyrażać w języku ojczystym.

Podział czasu, jako dobry, połączy autor ze spaniem i czuwaniem i przedstawi to w odpowiedniéj zgodności ze stanem słońca na niebie oraz z innemi ciałami niebieskiemi. Będziemy tu mieli ranek, południe, wieczór i noc. Pojęcie tygodnia zrozumiałe będzie dla dziecka jako przedział czasu pomiędzy dwiema niedzielami. Miesiąc jest trudniejszym do przedstawienia dla malców, nawet gdy go nauczyciel łączy z jakiemi imieninami swoich uczniów. Natura jednak dobrze zaznacza i wyraźnie przedstawia cztéry pory roku,

a człowiek stosuje do tego swoje czynności w polu, ogrodzie, domu. I ta sprawa jest zupełnie zrozumiałą już dla dziecka.

Co się tyczy mierzenia różnych rzeczy w ich wymiarach, powinno ono poprzedzać mierzenie czasu, a zastosowanie jego daje się przeprowadzić przy traktowaniu każdego przedmiotu bądź martwego, bądź żywego. To samo stosuje się do liczenia. Niechaj w epoce swojéj umysłowéj, że tak powiem, encyklopedycznéj, dziecię zdobywa pojęcia ilości jednocześnie ze zdobywaniem pojęć o najrozmaitszych własnościach rzeczy. A więc niech ono liczy na lekcyi okna domu, przedstawionego na rycinie, w oknie zaś niech policzy szyby. Jeśli znowu na lekcyi mowa jest o ptaku, to dziecię ma obliczyć ilość palców u nogi, piór dużych w ogonie oraz skrzydłach, to samo stosuje się do każdego przedmiotu.

Pisanie cyfr nie przedstawia najmniejszéj trudności pedagogicznéj, ile razy samo nauczanie idzie żywo. Nieznośne kopiowanie znaków liczebnych, prowadzone przez pedantycznych rutynistów z ogromnym kosztem czasu, powinno być wyrzucone z racyonalnéj edukacyi. Bo oto znaleźliśmy na lekcyi, że ptak ma *jeden* dziób i cała klasa zapisuje to sobie skwapliwie na tabliczkach przez znak: 1. Drugą razą przekonywamy się, iż na głowie jakiegoś zwierzęcia jest para oczu, co znowu cała klasa symbolizuje sobie przez znak: 2. Trzy palce wróbla, zwrócone ku przodowi, należy również zapisać jako znak 3 na jednéj z lekcyj. Na innéj zaś lekcyi zanotuje się, iż wszystkich palców u nogi wróbla jest 4. Jeżeli jesteśmy przekonani o dobrém pojmowaniu przez dzieci ilości pięć, to, obliczając palce ręki ludzkiéj, zapiszemy to sobie dla pamięci, jako znak 5. Przy każdéj sposobności zaś egzaminujemy ucznia, czy on posiada znajomość symboliki ilości.

Już to każdy pedagog powinien działać powoli i rozważnie, jeśli mu istotnie zależy na tém, aby dobry rezultat uwieńczył jego usiłowania.

Zjawiska przyrody powinny być traktowane w elementarzu i w pierwszych książkach do czytania jasno i z wdziękiem prostoty, a przytém jako sprawy mające wielkie znaczenie dla człowieka, bo wywierające wpływ na jego czynności. I tak np. w jakiéjś powiastce „o deszczyku majowym“ niechby autor opowiedział w jasnych zdaniach, że ta sama woda, która z ziemi paruje i unosi się w górę, spada późniéj na ziemię i dopomaga wzrastaniu plonów. Pojęcia: parowanie wody, spadanie wody w kroplach, jako deszcz, i niezbędność wody dla wzrastania roślin, są prześlicznym tematem lekcyi. Niechaj zawsze objaśnianie idzie przed czytaniem.

W innéj powiastce np. „wschód i zachód słońca“ należałoby się znowu ograniczyć może do ukazania wyraźnego drogi, którą słońce przebiega w ciągu dnia nad widnokręgiem; należałoby jak najdokładniéj wykazać, że w chwili, gdy słońce znajduje się w najwyższym swym stanie (południe), przebiegło ono ściśle połowę drogi na sklepieniu niebieskiém,—że po południu mamy zawsze tyle godzin dnia, co i przed południem.

Gdy się mówi o rosie, o nocy, o gwiazdach, nie należy używać nastroju poważnie naukowego, ale przemawiać w tonie prostotnéj, dziecinnéj poezyi, która każe się do wszystkiego uśmiechać. Autorowie książek dziecinnych powinni strzedz się malowania obrazów przyrodniczych szerokich, jak to czyni *August Jeske*; nie chodzi tu bowiem o wyczerpanie przedmiotu, ale o pierwsze pojęcie przedmiotu, o pojęcie dobre, gruntowne, jakkolwiek nie wszechstronne, które dopiéro ludziom dojrzałym jest właściwe. To téż autor takich dzieł powinien stać na stanowisku ojca, znającego zasady pedagogiki a przytém miłującego swe dzieci. Niechaj nie prawi morałów, ale niech ma święte przekonanie, że zaszczepia prawdę, że wychowuje przyszłych ludzi. Niechaj się stara, aby zmysły i rozum dziecka nie powiadały mu nigdy czegoś innego, niż on, nauczyciel i książka.

Ponieważ wykształcenie nasze płynie nie od saméj tylko przyrody, ale jest ono również rezultatem obcowania człowieka ze swymi bliźnimi, przeto i świat ludzki powinien być w elementarzu uwydatniony. Pod tym względem autorem kierować powinna myśl dziejowego wychowania ludzkości. Najpierwsze czynności około uprawy ziemi, chów zwierząt domowych, rzemiosła mające za cel dostarczanie nam żywności, odzieży, budowanie domów itd. Wszędzie zaś, w każdém miejscu za przewodnika służyć ma autorowi zasada, iż wszelkie *uczucie* łącznie z *poznaniem* się wychowuje. To téż, kiedy kolej przychodzi na wzniosłe uczucia religijne, należy przedewszystkiém unikać teologicznych dysput, co to jest Bóg. Trzeba jeno ukazać ludzi czczących Boga i wierzących, iż świat jest jego dziełem. Ukazanie takie nie odbywa się za pomocą frazeologii, ale przedstawia się jako konkretny i w oczy bijący fakt społeczny. Punktem wyjścia dla lekcyi téj treści może być świątynia a w niéj zebrane masy narodu.

Tyle wypadło mi powiedziéć o zasadach elementarza, ażeby powyższy ich wykład posłużył mi za podstawę do ocenienia działalności dwóch najdzielniejszych u nas autorów na tém polu, z których jeden używa niezaprzeczenie przynależnéj sobie sławy, drugi jednak bez względu na wielkie usiłowania swoje i na wartość pracy, niesłusznie skrytykowany, zapomnianym też został. O tym drugim auto-

rze, p. Trybulskim, rozpisaliśmy się już powyżéj. Pozostaje nam tu więc ocenić jeszcze prace p. Kazimierza Promyka. Wyliczamy je przedewszystkiém z tytułów:

1. *Elementarz, na którym nauczysz czytać w 5 albo 8 tygodni.*
2. *Pierwsza książeczka dla wprawy w czytaniu.*
3. *Prawdziwe opowiadania czyli druga książeczka do czytania.*
4. *Obrazkowa nauka pisania i czytania oraz elementarz dla samouków. Część pierwsza.*
5. *Obrazkowa nauka pisania i czytania oraz elementarz dla samouków. Część druga i trzecia.*

Przedewszystkiém winni jesteśmy skłonić się przed p. Promykiem, uznając w nim męża o wielkiéj obywatelskiéj zasłudze. W chwili, gdy lud nasz jest już obywatelem *de nomine*, ale nie *de facto*, ustały śmieszne sielankowe a protekcyjne kazania na temat równości wszystkich ludzi. Długo rozprawiano o tém, czy chłopa należy *uczyć*, czy *oświecać*, i w owym nowożytnym sporze *nominalistów* (realistów wcale nie było) zapomniano się tak dalece, że ani nauczano, ani oświecano. Znamy ludowych autorów, ale nie znamy naszych ludowych pedagogów. Pierwszym, który w imię tego szanownego obowiązku przemówił, jest właśnie p. Promyk. Dosyć przejrzéć jego prace, aby się przeświadczyć, iż są one dla ludu naprawdę, iż tu nie tkwi żadna kategoryjna tendencya, ale szczéra dbałość o dobro téj cząstki społeczeństwa, która się ludem nazywa. Jest to specyficzna cecha p. Promyka, i z tego względu wolno nam go nazwać pedagogiem ludowym. Autor nasz nie dysputował nigdy, ale jako wyższy, nowożytny człowiek przemówił faktami wartościowemi. Takie jest znaczenie w społeczeństwie naszém p. Kazimierza Promyka. Inna kwestya, czy się wywiązał najzupełniéj z podjętego zadania. Uznawszy go jako pedagoga, prace jego będziemy oceniali wyłącznie z wychowawczego stanowiska.

Zalety Promykowego elementarza są znaczne, zwłaszcza odnośnie do saméj nauki czytania, jakkolwiek autor niepotrzebnie zaręcza w tytule, że nauka ta potrwa 5 lub 8 tygodni. Taniość książeczki (groszy 7 a w okładce gr. 10) usprawiedliwia wadę niepoślednią jednak, mianowicie brzydkie wykonanie obrazków, gdzie istotnie mak nie jest makiem, gołąb—gołębiem, czółno—czółnem, a o psie powiedziéć można, że jest równie dobrze baranem lub wilkiem. Lepiéj jednak, że są takie ryciny, niż gdyby żadnych nie było. Nauka czytania istotnie wspaniale rośnie u p. Promyka. Wyszedłszy z najprostszych początków, każdy kto posłuchał mądrych *rad* autora,

szybko przepłynął przez trudności łączenia dźwięków spółgłoskowych z samogłoskowemi i dostał się na szerokie morze obszernych kombinacyj wszystkich dźwiękowych znaków. Ćwiczenia, dobrane na rozwiązywanie owych kombinacyj, są to dobre wyrazy polskie lub i całe zdania, chociaż i tu się zdarza: *fafula*, *fanaberya* lub pozbawione znaczenia: *Pucy*, *Pace* (czy to liczba mnoga od Pac?).

Nie wiem też, czemu dzieci mają „krzyczéć o kurze“ lub o „żabie“. Czy nie lepiéj powiedziéć, że naśladują głos kury lub żaby? Jeśli sz. autor uważa za właściwe pisać *fanaberyje* (str. 9), to dla czego jest niekonsekwentny i pisze *linję* (str. 18)? Jeśli według pewnego archaicznego i prowincyonalnego wymówienia pisze znowu *zrzebaki* (str. 17), to czemu nie pisze srzoda, lecz środa (str. 19)? Jako takie niekonsekwencye mógłbym tu jeszcze zarzucić i szyji (str. 18), Francja, Indje (str. 23), Anglji, Rossji (str. 24). Sz. autor przyjmuje pisownię większości, a jednak chce mieć ptactwo (str. 17) i mnóztwo (str. 27).

Treści, która jest poświęcona w elementarzu dla czytania, możnaby zarzucić brak systematyczności, ale p. Promykowi chodziło widocznie o naukę samego czytania, o mechanizm, i na tym ołtarzu poświęcił on myślenie swoich uczniów. Mojém zdaniem lepiéj było mniéj sobie robić skrupułu, ze zbiegiem spółgłosek, a podać zajmujące opowiadania, dotyczące świata, otaczającego dziecię wiejskie. Elementarz nie wyglądałby wówczas tak surowo poważnie, gdyż treść jego zajęłaby już sama przez się niejednego malca. Dążności zbyt utylitarne autora przeszkodziły mu poniekąd do nadania większéj jeszcze wartości téj książeczce. Autor bowiem pragnął, aby jego książka posłużyła do nauki czytania dla dzieci i dla dorosłych. Te dwa zadania nie mogą być jednak pogodzone.

Drugą pracą p. Promyka jest „Pierwsza książeczka“ a trzecią: „Druga książeczka do czytania.“ Obie pisane są widocznie dla ludzi w wieku już dojrzalszym. Są tutaj praktyczne rady gospodarskie, opowiadania historyczne i opowiadania, mające na celu podnosić skalę cnót w ludzie naszym. Dobrane pieśni nabożne a także światowe, łatwe poezye, przysłowia, wypełniają upominek p. Promyka dla ludu. Za myśl bardzo praktyczną uważamy podanie spisu dzieł ludowych, chociaż tu nie wszystkie, zdaniem naszém, są właściwie zalecone. „Dzieje Polski, które stryj synowcom opowiadał“ lub „Katechizm chemii i geognozyi rolniczéj“ zaledwie mogłyby znaléść czytelnika między naszymi wieśniakami.

Dotychczas widzieliśmy, iż książki p. Promyka, z wyjątkiem nauki czytania w elementarzu, nie odpowiadały wymaganiom elementarzowéj pedagogiki. Treść ich bowiem, choćby i wychowawczą była, jako jest po większéj części, ma układ dziwnie niemetodyczny. Właściwym elementarzem dopiéro jest ostatnia praca, nosząca tytuł „Obrazkowéj nauki pisania i czytania oraz elementarza dla samouków". 1) Część pierwsza; 2) Część druga i trzecia. Warszawa 1879.

Już w *radach praktycznych* (str. 3 i 4) oraz *uwagach dla nauczycieli* p. Promyk dba o to, aby naukę czytania uczynić zajmującą, a nadewszystko napomina, aby wszyscy uczniowie szkoły jednocześnie zajęci byli. Nie zgadzamy się z nim tylko na to, ażeby sama nauka czytania rozwijała umysł; chyba, że tu autor miał na myśli czynność umysłową, zwaną uwagą. Wzorki do rysowania ołówkiem, dla wprawy ręki i oka są nieocenione (str. 5 i 6). Dopiéro na str. 7 uważalibyśmy za zupełnie zbyteczne pięć główz rozwartemi usty w celu przedstawienia, jak się wymawiają samogłoski *a*, *o*, *u*, *e*, *i*. A nawet, fizyologicznie biorąc, jest to mylne. Tak się otwiéra wprawdzie usta, ale wtedy tylko, gdy wprzód pomyślimy, co mamy wymawiać. Przechodzenie od kreślenia liter nieudatnych do coraz kształtniejszych stanowi świetny pomysł pedagoga, praktycznie wtajemniczonego w nauczanie i przekonanego gruntownie, że dzieci nie mogą się odrazu niczego doskonale nauczyć. Połączenie głoskowéj metody czytania z pisaniem, jako też zastosowanie poglądowości w tym razie jest znowu świadectwem wielkiéj rozwagi nauczycielskiéj. Szkoda jednak, iż ryciny i tutaj są ubogie niezmiernie. Pomysł p. Promyka wart był zaiste lepszego rysunku. W każdym razie nauczyciel ma tu już mnóstwo materyału dobrego do rozmowy z dziećmi i może prowadzić żywo swoje dzieło. Cały bowiem świat, otaczający dziecię wiejskie, został zgromadzony w elementarzu. Liczenie też uwzględnił autor właściwie i symbolikę jego przeprowadził należycie. Tylko zbieg spółgłosek, nie mający nic wspólnego z taką życiowo natchnioną metodą, zdaniem mojém, mógłby być przeniesiony do gramatyki. Myślę też, że imiona przedstawione tu do przepisywania nie stanowią żadnéj wartości. Jest to już bowiem umysłowo niezdrowy mechanizm. Cała zresztą operacya urozmaicona jest bogato i bezwarunkowo nie utrudzi dziecka, lecz zajmie.

Część druga i trzecia jest jeszcze lepsza od pierwszéj. Pisać zdania o tém, co się widzi, toż to znaczy wziąć rozbrat raz na zawsze z zabijającém i bezmyślném przepisywaniem. Żałujemy, iż tych wy-

bornych zadań jest za mało jeszcze a natomiast znowu wsunięte w elementarz przepisywanie. W dziełach pedagogicznych nie powinno się przyjmować zbyt bezwzględnie zasady „et haec facienda et illa non omittenda.“ Oportunizm jest dobry, ale nie wszędzie. Człowiek tak myślący i postępowy, jak Promyk, mógł zerwać z przestarzałą rutyną, a w ten sposób kaligrafia, niezaliczana dotąd do szeregu przedmiotów wychowawczych, zajęłaby poważniejsze stanowisko w szkole. Nie o to chodzi, czy przepisywania są pożyteczne, bo pożyteczną jest ta czynność. Ale sęk leży w tém, czy czasu, za cenę którego kupuje się wychowanie dziecka, nie da się jeszcze pożyteczniéj, produkcyjniéj użyć. Otóż sam Promyk dostarcza nam licznych dowodów, iż przepisywanie z łatwością zastąpić można inném, skuteczniejszém pedagogicznie ćwiczeniem. Przypuśćmy, że wychowaniec bez przepisywania będzie kreślił mniéj kształtne litery; to i tak budżet wychowawczy będzie w porządku, jeśli w miejsce owéj straty wychowaniec ten potrafi gruntownie myśléć, myśli swoje dobrze porządkować i wypowiadać. Zresztą, co do kwestyi téj, mniemam, że polegam na zdaniu bardzo nawet zachowawczych, ale niezacofanych pedagogów.

Zgadzamy się na dbałość Promyka o stawianie znaków pisarskich i o ustalenie pisowni, choć można było pominąć rozdział: *gdzie pisać y a gdzie i*, ale sądzimy, iż ustalenie gramatycznego pojęcia o liczbie pojedyńczéj oraz mnogiéj można przeprowadzić bardzo tanim sposobem w nauczaniu pierwszém, nie stosując do téj kwestyi tak obszernego aparatu, jak to czyni autor w swym elementarzu; co się téż i o różnicy rodzajów w rzeczownikach da powiedziéć. Reguła o liczebnikach dwoje, troje, czworo itd. jest nie na miejscu, gdyż nietylko o „dzieciach ludzkich i zwierzęcych,“ nietylko „mężczyznach i kobiétach“ oraz „samcach i samicach“ mówi się dwoje, troje itd., ale téż o częściach ciała, np. *dwoje uszu* a dawniéj i o rzeczach martwych, np. *ksiąg pięcioro*.

Najwyższéj wartości, zdaniem naszém, są znowu zadania, postawione uczniom w formie pytań takich: *jaką barwę ma wiśnia*, *jaką mléko*, *liście*, *atrament* itd.? *jaki jest smak cukru*, *barszczu*, *soli*, *miodu* itd.? *jaki jest kształt obręczy*, *chustki*, *podkowy* itd? *jaka jest wielkość wołu a myszy*, *drogi a miedzy* itd.? *z czego jest zrobiony stół a z czego dzbanek*, *z czego sukmana a z czego buty* itd? W formie téż pytań naucza Promyk dziatwę o częściach różnych rzeczy, o przeznaczeniu tychże rzeczy itd. Syntezę takich odpowiedzi, danych piśmiennie przez ucznia, stanowią bardzo porządne opisy sprzętów, zwierząt itd. Poczém każdy uczeń, który obmyślał i napisał wiele opisów, ma już możność wynajdywania pomiędzy opisanemi przedmiotami podo-

bieństw oraz różnic. Mniéj ważne pedagogicznie, ale dobre praktycznie są wzory świadectw, rewersów, umów, protokółów itd.

Na zakończenie, wypada nam jedynie zalecić gorąco tę poważną pracę, zasługującą na to, aby służyła za przewodnika każdéj rodzinie, dbałéj o wychowanie dziatwy. Dobry elementarz może mieć wyższą wartość niż tomy przemądrych perorowań o wychowaniu, a autor dobrego elementarza wart jest tego szacunku, jaki społeczeństwo nasze Promykowi oddaje.

Adolf Dygasiński.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Wydawnictwa komisyi historycznéj akademii umiejętności w Krakowie N. 16. *Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego*, zebrał i wydał *Franciszek Kluczycki*, członek komisyi historycznéj akademii umiejętności w Krakowie. Tomu 1-go część I-sza, obejmująca pisma od r. 1629 do roku 1671. W Krakowie nakładem akademii umiejętności krakowskiéj, 1880 in 4-o str. 750.

Biblioteka Wilanowska jest z polskich księgozbiorów podobno najbogatszą w cenne materyały rękopiśmienne do historyi Jana III, o czém świadczy sam fakt, że wydawca niniejszéj publikacyi na 550 pism, zaczerpnął z niéj 168, a więc blizko trzecią część ogólnej cyfry. Szczęśliwą myśl zebrania tych materyałów, uzupełnienia ich innemi, rozproszonemi po szerokim świecie, i ogłoszenia drukiem, powziął pan Kluczycki przed ośmiu laty jako kustosz biblioteki wilanowskiéj. Taż sama dążność ożywiała poprzednika jego w Wilanowie, zasłużonego wydawcę *Pamiętników o Koniecpolskich*, ś. p. Stanisława Przyłęckiego, lecz przedwczesna śmierć nie dozwoliła mu tego zamiaru przywieść do skutku. Jedyną rzeczą, którą z bogatego zasobu wilanowskich Sobiescianów udało mu się wydać r. 1865, była nieoceniona instrukcya, dana przez Jakóba Sobieskiego synom, jadącym na naukę do Paryża. Ostatnie lata swego pracowitego żywota, poświęcił on niemal wyłącznie na kopiowanie listów i pism, odnoszących się bezpośrednio lub pośrednio do dziejów naszego bohatéra, nie ograniczając się na źródłach, znajdowanych na miejscu, lecz owszem gromadząc skrzętnie, co mu z innych zbiorów było przystępném. Owocem tych szlachetnych trudów jest znakomity zapas odpisów, dokonanych nader pięknym charakterem i z tą sumiennością, jaka cechowała Przyłęckiego. Po jego śmierci kopie te dostały się po części zakładowi nar. im. Ossolińskich, po części Augustowi Bielowskiemu; ostatnie przed czterema laty przeszły również

na własność téj instytucyi. Rzeczonym kopiom, wcielonym do zbioru rękopisów pod numerami 1.848, 2.281 i 2.287, zawdzięczamy przeważnie możność kontrolowania wydawnictwa, które nas obecnie zajmuje.

Na téj kontroli, powiédzmy zaraz zgóry, nie traci wcale szanowny wydawca, lecz owszem, wychodzi z niéj obronną ręką. Lubo nie bardzo znany publiczności, bo wydrukował dotychczas tylko dwie książeczki, p. n. „Żórawińska r. 1676, pod 200 letnią rocznicę napisał Fr. Kl." (Kraków 1876) i „Pierwsza wiadomość z pod Wiednia i strzemię wezyra" (Kraków 1880) występuje p. Kluczycki od razu jako doświadczony i wytrawny pracownik, łączący z uznania godną pracowitością, gruntowną znajomość przedmiotu i osobny talent wydawniczy, polegający na umiejętności dobiérania najlepszych tekstów i rekonstruowania zepsutych. Zaletom treści odpowiada ozdobność edycyi, papiéru i druku; słowem wspaniała ta księga godną jest zarówno pierwszéj w kraju instytucyi naukowéj, z któréj łona wyszła, jak z ważnéj i podniosłéj chwili dziejowéj (1683), dla uświetnienia któréj ujrzała światło dzienne.

Wytworność zewnętrznéj szaty łatwiéj się da osiągnąć, i częstszą bywa u nas, niż staranne i prawdziwie naukowe wydanie źródeł. Pod tym względem tak smutne miewaliśmy doświadczenia, że z tém żywszą radością, z tém większém uznaniem witamy każdą publikacyą, dokonaną sumiennie i z prawdziwém znawstwem. Pan Kluczycki posiada te przymioty w wysokim stopniu, nadto zaś odznacza się gorącém zamiłowaniem przedmiotu, które się udziela publiczności, ujmuje ją i pociąga, łącząc sympatycznym węzłem czytelnika z wydawcą i z samemi materyałami, któremi tu mimo ich wysokie znaczenie nie możemy się zajmować, bo potrzebaby na to osobnego studyum.

Złożywszy hołd niemałym zasługom szanownego wydawcy, niech nam wolno będzie uczynić kilka skromnych uwag co do ogólnych zasad, jakich się trzymał w ciągu swéj pracy, następnie zaś wymienić nieliczne pomyłki i opuszczenia, jakie się wkradły do téj wzorowéj publikacyi mniéj z winy samego pana K., jak raczéj okoliczności, a zgoła nie uwłaczają wartości wydawnictwa, za które winniśmy mu rzetelną i serdeczną wdzięczność.

Szanowny wydawca mówi w przedmowie, że celem, jaki sobie wytknął, „jest dostarczenie historykom i czytającéj (oby jak najszerszéj) powszechności, pobudki, sposobu i aparatu do wyjaśnienia i ustalenia wiedzy i sądu o królu Janie III, jego czasach i jego dziejowych zasługach, a oczyszczenia sądu tegoż z rozpowszechnionych dotąd naleciałości, jakie uprzedzenia, niechęci, płytkie sądy, i w ogó-

le niedostateczne wiadomości, w téj mierze nagromadziły i upopularyzowały.“ Jest to niezaprzeczenie dążność bardzo piękna, a chęć zainteresowania szerokich kół czytającéj publiczności tém właściwsza, że tu chodzi o tak znakomitą i popularną postać, jak Sobieskiego, że daléj ogłoszone już i ogłosić się mające źródła są tak pełne barwy i charakterystyki, stanowią tak cenny skarbiec nietylko politycznych, lecz i obyczajowych wiadomości i szczegółów, pozwalają nam wglądnąć w tajniki zarówno publicznego, jak prywatnego życia bohatéra, dają w końcu wierny i pełny obraz wieku i ludzi. Ale jeśli te wszystkie rzeczy i sprawy mają zupełnie, wyraźnie i jasno stanąć przed oczyma nawet profanów, potrzeba koniecznie luźne i niezawsze pełne materyały powiązać odpowiedniemi komentarzami w pewną całość, trzeba wiele ustępów objaśnić i zrozumienie ich ułatwić.

Potrzebie téj nie uczynił zadość pan K., a czując ten brak po niewczasie, mówi na samym końcu przedmowy: „Zabraknie może czytelnikowi w pierwszych chwilach wyjaśnień; osobliwie, kto był i jako się nazywał ten lub ów po urzędzie tylko wymieniony o niedługą tu tylko cierpliwość proszę. Przy końcu drugiéj części tego tomu, któréj druk już ku połowie posuniony, znajdzie się dość obszerny, mniemam, spis urzędników Rzpltej i wszelakich województw i ziem, który brakowi temu zaradzi; a nadto alfabetyczny wykaz imion własnych i spraw ważniejszych w niniejszym zbiorze wspominanych, o których to dodatkach mam nadzieję, że brakujące objaśnienia o tyle korzystniéj zastąpią, że się i przy innych badaniach i poszukiwaniach pomocnemi i pożytecznemi okażą.“ Zapowiedź tę przyjmujemy z radością jako ze wszech miar pożądaną, lubo mniemamy, że wszystko, co wydawca przyrzeka, nie wystarczy jeszcze dla zupełnego objaśnienia tekstu, a po części dla skwapliwszych czytelników przyjdzie już za późno, tak że kto będzie chciał zrozumiéć niejasne sobie wprzód ustępy, ten po wyjściu drugiéj części pierwszego tomu, będzie je musiał odczytywać po raz drugi. Wielka np. szkoda, że w nader ciekawéj korespondencyi, prowadzonéj między Sobieskim a późniejszą jego żoną, Maryą Kazimirą, wówczas Zamoyską, wojewodziną sandomirską, nie objaśnił pan K. znaczenia różnych tajemniczych wyrażeń, w czém miał już drogę znacznie przez Helcla utorowaną, a tylko w dwóch miejscach (na str. 197 i 198) próbował to uczynić, rozwiązując kilka zaledwie wyrazów i cyfr.

Bardzo dotkliwie i często w naszych wydaniach korespondencyj i dokumentów, daje się uczuć brak nagłówków, bez których praca badacza jest niezmiernie utrudnioną. O prawdzie téj niezawsze pamiętają tak nawet wzorowi wydawcy, jak dr. Wisłocki w kore-

spondencyi Andrzeja Zebrzydowskiego. P. Kluczycki podaje wprawdzie treść wszystkich pism, ale nie w tekście przy każdém z osobna, tylko na początku i to po łacinie. Jest to urządzenie praktyczne, zwłaszcza dla użytku cudzoziemców, lecz należało nadto podać polskie nagłówki, tém bardziéj, że dzieło jest przeznaczone i dla szerszéj publiczności.

Wydawca pragnąc swéj publikacyi dać prawdziwie naukową cechę, cytuje szczegółowo oryginały i kopie, z których korzystał, rękopisy i stronice, oznacza odpowiednie poprawki i uzupełnienia, jakie poczynił, mając błędne kopie lub zniszczone teksty. Zasad powyższych pilnie przestrzegał, lecz nie zawsze udało mu się przeprowadzić je systematycznie. I tak tu i owdzie, szczególniéj pod koniec (str. 285, 498, 524, 548 i t. d.) z winy zapewne przepisywacza, nie podaje stronic rękopisu, tu i owdzie mając zbyt popsute kopie, nie uwidocznia nawiasami poprawek i dodatków, nie zawsze też jest konsekwentnym w robieniu poprawek. Taką niekonsekwencyą popełnił na str. 334, raz poprawiając błąd rękopisu w tekście, drugi raz tylko w przypisku, choć pomiędzy jednym a drugim wypadkiem nie ma wcale zasadniczéj różnicy. Są to, przyznajemy, uchybienia drobne i nikną w obec niepospolitych zalet wydania; niezbyt wielkiéj wagi są też następne błędy, które głównie ztąd powstały, że p. Kluczycki nie korzystał z niektórych rękopisów Zakładu nar. im. Ossolińskich, szczególniéj zaś manuskryptu nr. 1622, ofiarowanego bibliotece przez Włodzimierza hr. Broel-Platera, z którym już przed trzema laty zapoznaliśmy publiczność w artykule p. n. *Z listów Sobieskiego*. Przytaczamy te błędy dla użytku czytelników, w nadziei, że i szanowny wydawca, życzliwe nasze uwagi dobrze przyjąć, i ważniejsze przynajmniéj sprostowania w drugiéj połowie piérwszego tomu uwzględnić zechce, wskutek czego niejeden ustęp dotąd ciemny stanie się zrozumiałym.

Na str. 271 pisze się Sobieski „*kochanym* sługą“ swego korespondenta, co widocznie jest pomyłką i być powinno „kochającym sługą,“ jak też znajduję w rękopisie Ossolińskich nr. 1848, na który się autor pod tym numerem powołuje. Tak samo na str. 433 nie mógł się nazywać księcia Radziwiłła „*najukochańszym* bratem,“ bo by to było zarozumiale, lecz tylko „najżyczliwszym“ (Rks. 1622, k. 7).

Na str. 321 zamiast „że już ztamtąd W. X. Mci nie *wybrali*,“ co nie ma sensu, powinno być: „nie wywabi“ (Rks. 1622, k. 26).

Na str. 397, wiersz trzeci od góry, zamiast „y *iego*,“ co nie ma sensu, powinno być: „y że go.“ Tamże, przed wyrazem „niebezpie-

czno,“ do którego dodany przypisek, a po wyrazie „gdzie,“ dodać trzeba: „urget praesentia,“ bo inaczéj nie byłoby sensu, czego nie zaznaczono odpowiednim znakiem.

Na str. 498 zam. „Sam się Kaimakan *wyprawił*,“ co jest zupełnie niezrozumiałém, powinno być i jest téż w rękopisie Ossolińskich nr. 245 (str. 232), z którego wydawca w tém miejscu wyłącznie korzysta: „sam się Kaimakan wymówił,“ bezpośrednio po czém w rękopisie jest zupełnie jasno i dobrze, choć w zdaniu imiesłowowém są tu różne podmioty: „że teraz tak wielkie woyska maiąc cesarz turecki, muszą (sc. wojska) co robić.“ Należało zatém zdanie powyższe pozostawić w tym kształcie, zamiast poprawiać w sposób naciągany: „że teraz tak wielkie woyska maią, *iż* cesarz *y woyska te* muszą co robić.“

Na dole str. 535 w zdaniu: „Kozacy sine obsidibus iaki *wstęp* do tractowania uczynili,“ powinno być: „iaki wstręt,“ jak czytam w rękop. Ossolińskich nr. 245 (str. 267), nie uwzględnionym tutaj, jakkolwiek jest zupełnie odrębnym i niezależnym zarówno od manuskryptu akademii krakowskiéj, jak biblioteki Suskiéj, na których wydawca oparł tekst tego obszernego pisma. Gdyby pan Kluczycki np. w ustępie, znajdującym się na str. 539 był zechciał korzystać z tego źródła, nie byłby się potrzebował uciekać do domysłów i poprawek, w tym razie nie zbyt szczęśliwych. Inkryminowany ustęp brzmiéć powinien jak następuje: „Artyleria y ammunitia ma swoię provisią z nowey quarty; podać raczył J. Kr. Mć na seymiki punkt przeciwko retentorom quarty, y onym rigore irremissibilis privationis pogroził, y de facto we dwie niedzieli po seymikach, królewszczyzny retentorom ipso iure vakuiące rozdawać per privilegia będzie.“ O cztery wiersze daléj zamiast „*delinire*“ powinno być albo: „delenire,“ albo „detinere,“ jak czytamy w rękopisie nr. 245.

Na str. 547 zamiast: „mojéj Wielce Pani,“ ma być: mojéj Mciwéj Pani (Rks. 1622, ks. 21).

Na str. 549, zam. „gloriosus“, ma być: gloriosum nomen (Cfr. rks. 245, k. 354, z którego tu autor wyłącznie korzystał, i w którym wiele zepsutych miejsc, przyznajemy chętnie, po mistrzowsku zrekonstruował).

Na str. 553, w. 2 od góry, zam. „substire,“ ma być: subsistere.

Na str. 622, zam. „w *spelznéj* kampanii,“ powinno być: w spełzłéj kampanii, jak ma Przyłęcki, rks. 2281, str. 33.

Na str. 629, w 3-cim wierszu nru. 284 skarży się wydawca na brak gramatycznego związku; byłby tam jednak związek, gdyby zam. „*iaż*,“ było: iuż, jak Przyłęcki rks. 2281, str. 26.

Na str. 663 zam. „sam *Pan*,“ ma być: sam Han (Rks. 2281, str. 78).

Na str. 668, w 7 od dołu, zam. „*swego* skrzydła,“ ma być: lewego skrzydła (Rks. 2281, str. 82).

Na str. 678 w. 3 od dołu, zam. „*teraz*,“ ma być: tego (Rks. 1622, k. 22).

Na str. 679, wiersz 7 od góry, zamiast: „*y*,“ ma być: z; razi téż tutaj niewłaściwa interpunkcya, przez co sens zmieniony. Na téjże stronie wiersz ostatni, zamiast „*złączym*,“ ma być: złączy (tamże).

U spodu str. 738 i u góry następnéj stronicy w liście do Radziwiłła mówi Sobieski, że pragnąłby o różnych rzeczach szczegółowo mu donieść, po czém dodaje: „że jednak czas i podróżne niewczasy nie pozwalają mi się szerzyć, z którego W. X. Mć wyczytasz przedsięwzięte intencye (raczéj intenta), które że *adversantium* non secundarunt vota, ubolewać na to niepomału muszę.“ Wyraz „adversantium“ zrekonstruował szanowny wydawca, mniéj jednak szczęśliwie, niż zwykle, gdyż należy tu czytać: adiuvantium, jak widzimy w rękopisie nr. 1622, i jak tylko zgodnie z treścią być może.

Na str. 740, zam. „po Soc rzekę,“ powinno być: „po Sosz rzekę,“ (rks. 2287, ks. 19), jak téż jest na str. 743 w ustępie, téjże saméj treści.

Po wyliczeniu tych drobnych pomyłek, wymieńmy nieliczne opuszczenia, pochodzące głównie ztąd, że szanowny wydawca nie korzystał z wspominanego wielokrotnie rękopisu Ossolińskich, nr. 1622.

Na str. 187, po zdaniu: „Jam właśnie w ten dzień nieszczęsny Opatów przejeżdżał,“ a przed zdaniem, zaczynającem się od słów: „aż dziewiątego dnia“ i t. d., między któremi brak widocznie związku, opuszczono: „*będąc w tamtym kraju po pewnych swych sprawach, i nie zjechałem*, aż...“ (Rks. 1622, k. 1).

Na str. 188 (nr. 33) po zdaniu: „Z tey tedy, iako y inszych przyczyn,“ a przed wyrazami: „tą samemu okazią pokłonić się W. X-stwu IMć,“ należy koniecznie dodać: „*nie przyszło mi*.“

W rękopisie nr. 1622, z którego biorę to niezbędne dopełnienie, znajduję datę 17 Stycznia, podczas gdy w druku jest 11-go; która z tych dat autentyczna, nie śmiem rozstrzygać.

W liście, datowanym w Pielaskowicach 26 novem. 1666 (str. 256) brak postscriptum następnéj treści: „*Wszystkiemu młodemu księstwu nisko oboje kłaniamy. Xże Jmć Alexander został posłem i ieśli będzie w Warszawie, o wiadomość uniżenie proszę. Także ieśli w Brendenburku darmo się czasu nie trawiło*.“ (Rks. 1622, k. 4).

Na str. 258 brak znów nic nie znaczącego postscriptum Sobieskiego, i obszerniejszego nieco polskiego dopisku jego żony, Maryi Kazimiry, w którym popełniła tylko jeden błąd gramatyczny: „*Ia że osobnego do W. X. Mci ukochanéj siostry nie piszę listu, proszę nie mieć za złe, bom srodze słabego zdrowia, niskiego proszę mego przyjąć ukłonu, którego oddaję, prosząc W. X. M. abyś mię w łasce i miłości swey chowała, iako serdecznie kochającą siostrę i niską sługę.*“ (Rks. 1622, k. 5).

Na str. 498, u dołu po wyrazach: „Cesarz turecki tam go osadziwszy,“ należy dodać: „*i Kozaków w dobrą klubę wziąwszy.*“ Na następnéj stronicy po wyrazach: „y tak namówiwszy...“ trzeba koniecznie dodać: „*się z sobą.*“ Opuszczenia te powstały z winy przepisywacza, bo list ten został tu wydrukowany z rękopisu Ossolińskich nr. 245 (str. 232).

Na str. 511, po wyrazach: „y łacno-bym to y teraz dissimulassem,“ opuszczono w skutek nie uwzględnienia rękopisu 245 (str. 274): „*bom nigdy affektom swoim nie dozwalał praedominium nad sobą.*“

W tymże liście na str. 513 po zdaniu: „gdy Paszy Silistryiskiego, który Pana Karwowskiego posłanego odemnie z listami J. K. Mci do Hana Krymskiego, w Białogrodzie świeżo zatrzymał, wyrozumieć zamysły usiłuję,“ opuszczono: „*na niebezpieczeństwa te wszystkie, którekolwiek ojczyznie imminent, pilne mam oko, et...*

Z powodu nie uwzględnienia rękopisu 245 (str. 267), powstały na str. 538 trzy następne opuszczenia, z których mianowicie dwa ostatnie psują sens. Po wyrazach: „Tegoć się dwoyga (naybarziey) domagał Doroszeńko, aby“ dodać należy: „*Pan Piwo z Polesia, a...*“; po wyrazach: „Continuae querelae przychodzą na pomienionego Commendanta, na IChmciów Panów Oberszterów, którzy maiąc po woiewodztwach,“ dodać trzeba: „*swoie stipendia,*“ bo inaczéj nie wiedzielibyśmy, co mieli; po wyrazach wreście: „Nie opuszczona taż instantia“ a przed wyrazami: „na seymiki,“ dodać wypada: „*w instructyi.*“

W témże piśmie po wyrazach: „przyszło tędy zapieczętować JMci Xiędzu Podkanclerzemu mandat,“ dodać trzeba: *na P. Grzymułtowskiego, kasztelana poznańskiego.*“

Na str. 739, brak końca listu; po wyrazach bowiem: „którego Branickiego in rerum natura nie masz,“ być powinno: „*w woisku i nie było, gromady téż nie do nas, ale raczey do administratorów czyli arędarzów ekonomii J. K. Mci należą, u nas tylko koła rycerskie bywają, ale nie z unterofficierami, ani z żołnierzami. Ostatek z kopii listu odemnie pisanego do JM. X. Podkanclerzego.*“

Jako najważniejsze opuszczenie godzi się w końcu wymienić pominięty w niniejszéj publikacyi a znajdujący się w rękopisie Ossoliń-

skich nr. 245, (str. 246) „list podeyzrany od JMci Pana Morstyna, podskarbiego koronnego, do JMci Pana Grzymułtowskiego, kasztelana poznańskiego z Warszawy 13 (27?) Januarii 1670,“ który tém bardziéj zasługiwał na ogłoszenie, że o nim w tém dziele znajdujemy kilkakrotnie wzmiankę z powodu rozruchów na sejmiku średzkim, że daléj po dwóch wierszach cyfr następują w nim te słowa: *„w czym wprędce informacyą będziesz miał zupełną od JMci Pana Sobieskiego, marszałka w. kor. w sprawie W. M. Pana.“*

Klemens Kantecki.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Przepisy o udzielaniu pożyczek melioracyjnych. — Czy łatwo będzie dostać pożyczkę, dla czego nie wolno jéj używać na spłatę wierzytelności hypotecznych? — Jak senat zapatruje się na branie przez Polaków w zastawę dóbr ziemskich w guberniach zachodnich. — Kwestya wyższego zakładu politechnicznego w Warszawie w nowéj fazie. — Działalność szkoły ogrodniczéj w Warszawie za ubiegły rok szkolny. — Sprawozdanie z działalności Uniwersytetu Warszawskiego.

Po niejednokrotnych, mniéj lub więcéj wyczerpujących wzmiankach o projekcie kredytów na ulepszenia w majątkach ziemskich, podaliśmy w zeszycie marcowym i kwietniowym treść sprawozdania dra Tadeusza Kowalskiego z badań nad majątkami poddanemi ulepszeniom rolnym.

Wskazaliśmy wówczas, że jest to krok naprzód w sprawie kredytów melioracyjnych, bo dane dostarczone przez p. Kowalskiego miały posłużyć za podstawę do ułożenia projektu do prawa o tych kredytach. Obecnie mamy przed sobą nową pracę przygotowawczą w tym kierunku, zbliżającą nas coraz bardziéj do chwili, w któréj pożyczki na ulepszenia rolne przyznawane będą. Pracą tą jest „projekt przepisów o udzielaniu pożyczek melioracyjnych przez władze Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego,“ wypracowany przez wyznaczoną w tym celu z łona Towarzystwa specyalną delegacyą, mający być przedmiotem obrad i decyzyi najbliższego ogólnego zebrania władz Towarzystwa.

Według tych przepisów, pożyczki melioracyjne mają być udzielane przez dyrekcyą główną na:

a) kanały osuszające;

b) drenowanie;

c) nawodnianie łąk;

d) karczowanie gruntów należących do piérwszych trzech klas ziemi, według klasyfikacyi przyjętéj w taksowych przepisach Towarzystwa;
e) zadrzewianie gruntów niezdatnych pod uprawę rolną;
f) marglowanie i
g) stawianie budynków na przestrzeniach mających stanowić oddzielne folwarki, z piérwszeństwem dla miejscowości poddanych świeżéj regulacyi i separacyi.

Pożyczki te wraz ze zwyczajną pożyczką Towarzystwa nie mogą przenosić $^3/_5$ ogólnego szacunku dóbr mającego się ustanowić, dodając do szacunku, wynalezionego z taksy Towarzystwa, sumę na jaką dyrekcya główna oceni dokonaną przy pomocy pożyczki melioracyą.

Pożyczki melioracyjne zabezpieczone być winny zaraz po zwyczajnéj pożyczce Towarzystwa i *nie mogą być użyte na spłatę wierzytelności hypotecznych.* Wymagane jest przytém zobowiązanie właściciela w księdze wieczystéj, że melioracyą utrzyma starannie pod rygorem wypowiedzenia pożyczki, która, jeżeli w takich razach nie zostanie spłaconą w ciągu sześciu miesięcy, pociągnie za sobą wystawienie dóbr na sprzedaż.

Ponieważ Komitet Towarzystwa Kr. Ziem. nie ma w swém rozporządzeniu żadnych sum, któreby mogły być użyte na udzielanie stowarzyszonym pożyczek melioracyjnych, projektowane więc jest wypuszczenie w tym celu obligacyj. Obligacye takie, ażeby mogły być przyjęte przez publiczność, muszą być oparte na wartości realnéj, wartość zaś taką przedstawiać mogą tylko melioracye już dokonane; w skutek tego pożyczki wydawane być mają dopiéro po ukończeniu robót melioracyjnych. Wynika ztąd cały aparat przepisów, utrudniający otrzymanie do rąk obligacyi, tak iż zwalczenie tych trudności staje się nie lada zadaniem, któremu sprostać, w początkach przynajmniéj, potrafią chyba właściciele najlepiéj i najumiejętniéj prowadzący swe interesa. Nie wątpimy, że z czasem praktyka życia potrafi utorować sobie łatwiejszą drogę przez te zawady, wtedy to dopiéro mniéj zamożni ludzie będą mogli z dobrodziéjstwa projektowanych pożyczek korzystać.

Obligacye więc wydawane będą stowarzyszonym po dokonaniu melioracyi i po sprawdzeniu ich przez Towarzystwo Kredytowe na gruncie.

Cały ten proces tak się przedstawia.

Dyrekcya główna Tow. ma wydać instrukcyą o sporządzaniu planów i kosztorysów dla zamierzonych melioracyj. Żądający pożyczki obowiązanym będzie przedstawić właściwéj dyrekcyi szczeg.

stosownie do instrukcyi ułożony plan i kosztorys, a zarazem wypis wykazu hypotecznego, świadczący o tém, iż wszyscy wierzyciele w księdze hypotecznéj po pożyczce Towarzystwa zapisani ustępują piérwszeństwa mającéj się wydać pożyczce melioracyjnéj. Po sprawdzeniu planów i kosztorysów przez komisyą techniczną, zbadaniu stosunków prawnych dóbr i bezpieczeństwa pożyczki, dyr. gł. wyda promesę, zapewniającą wypłatę pożyczki, ale sama wypłata nastąpi nie prędzéj jak po otrzymaniu zaświadczenia specyalnéj delegacyi, że ulepszenia zostały już wykonane.

Promesa taka stać się tedy musi z natury rzeczy kamieniem węgielnym, na którym opiérać się będzie przyszła melioracya majątku. Zapewne, że zobowiązanie się Tow. Kr. Ziem. do wydania pożyczki jest coś warte, i że można będzie znaléść kapitalistów, którzy zgodzą się promesę zeskontować, ale pod jakiemi warunkami? Na to pytanie dzisiaj trudno odpowiadać, bo warunki przy umowach prywatnych mogą, a może i muszą być odmienne niemal dla każdego właściciela. Można przewidywać, że która z istniejących instytucyj kredytowych, podejmie się podobnego eskontowania na warunkach zgóry określonych, które jednak muszą być takie, aby zabezpieczały ją co do istotnego przeprowadzenia melioracyi przez szukającego kredytu. Albo, coby może dogodniejszém było, zorganizuje się przedsiebiorstwo melioracyjne, które podejmować się będzie robót technicznych na miejscu, biorąc w zastaw promesę, a po ukończeniu robót odbierając obligacye od Tow. Czy się to jednak stanie — nie wiadomo.

Tymczasem właściciel, otrzymawszy do rąk promesę, będzie musiał starać się o piéniądze na przeprowadzenie robót, które obowiązany ukończyć w ciągu lat trzech. Po wykonaniu robót, sprawdzeniu ich dokładności i zgodności z zatwierdzonym planem, otrzyma odpowiednią sumę w obligacyach przynoszących 6½% rocznie. Zobowiąże się zaś do wnoszenia na rzecz Tow. 6½ od sta na procent, 1% na administacyą i fundusz rezerwowy, i odpowiedni procent na amortyzacyą, jakowy ma być przy każdym rodzaju melioracyi specyalnie oznaczonym, amortyzacya jednak nie ma się ciągnąć dłużéj nad lat 15, i przez cały czas do umorzenia długu wszystkie dobra obciążone pożyczką melioracyjną niosą odpowiedzialność solidarną za całą sumę wydanych pożyczek.

Dyrekcya gł. może przystąpić do udzielania pożyczek, skoro zgłoszą się do niéj z żądaniami na sumę 500.000 rs., piérwsza zaś suma projektowanych obligacyj nie ma przenosić 3 mil. rs., do dalszych emisyj potrzebném będzie nowe upoważnienie ministra finansów.

Wszelkie koszta sprawdzenia najprzód planów a potém dokonanych robót ponosi właściciel dóbr, Tow. zaś wypłatę ich może mu na raty rozłożyć, jeżeliby pożyczka do skutku nie doszła, koszta te opłaca właściciel Towarzystwu w dodatkowych, do rat zwykłéj pożyczki, opłatach.

Wnosząc z tego, przystępujący do melioracyi niemałe ciężary będą musieli wziąć na siebie; trudno spodziewać się, ażeby ciężar procentowy i amortyzacyjny od nominalnéj wartości wydanéj w obligacyach mógł wynosić mniéj jak 10 lub 11%; kursu obligacyj przewidzieć dzisiaj niepodobna, zapewne jednak odrazu nie dojdzie on do *pari*, tém samém procent ten jeszcze bardziéj wzrość może.

Melioracye, w projekcie wskazane, niewątpliwie mogą podnosić dochody z ziemi tak znacznie, że pożyczki, pomimo uciążliwych warunków, znakomicie zwiększą wartość tych majątków, w których właściciele będą umieli z nich skorzystać; na początek jednak niewiele zapewne znajdzie się na to ochotników, i piérwsi umiejętnie torujący na tém polu drogę, niemało zasłużą się całemu społeczeństwu, ośmielając mniéj przedsiębierczych i ostrożniejszych, przekonywając własnym przykładem, że można wypłacić tak wysoki procent i pomimo to zwiększyć swe dochody.

Projekt przepisów o wydawaniu pożyczek, zabezpieczywszy się w ten sposób co do pewności wykonania robót, a zatém i ewikcyi dla obligacyj, wprowadza jeszcze trochę zbytecznych obostrzeń, które dałyby się z łatwością usunąć. Przy melioracyach takiego rodzaju jak karczowanie, zadrzewianie, marglowanie, pożyczki ze wszelkiem bezpieczeństwem mogłyby być wydawane częściowo, po dokonaniu nawet pewnéj niewielkiéj części robót, niekoniecznie „zaokrągloną całość stanowiącéj,“ bo n. p. karczowanie i na jednym morgu dokonane już wartość jego podnosi. Co zaś się tyczy pożyczek na zabudowania przy zakładaniu nowych folwarków, możnaby zastosować znany już w naszym kraju sposób wypłaty wynagrodzeń za budynki zgorzałe, praktykowany przez dawną dyrekcyą ubezpieczeń, według którego, jak wiadomo, wypłata wynagrodzenia stosowaną była do postępu robót.

W obec zamierzonych promes i wypłaty pożyczki po dokonaniu melioracyi, wymagania przepisów, że „pożyczka melioracyjna nie może być użyta na spłacenie wierzytelności hypotecznych“ nie zdaje się mieć dostatecznéj podstawy.

Rozumielibyśmy podobne wymagania przy udzielaniu pożyczek przed dokonaniem melioracyi, skoro jednak wypłata ma mieć miejsce dopiéro po fakcie spełnionym, to nie pojmujemy konieczności takiego zakazu,

Sam fakt potrzeby spieniężenia promesy, fakt dający się przewidywać w większości wypadków, jeżeli przepisy nie ulegną zmianie, z konieczności pociągnie za sobą użycie pożyczki na zaspokojenie tego, co promesę eskontował; jeżeli zaś melioracya dokonaną została z własnych funduszów, lub pożyczonych bez spieniężania promesy a drogą wpisania na hypotekę, to pożyczka przeznaczona być może właśnie na pokrycie tych wydatków lub wierzytelności hypotecznych. Co groźnego przewiduje Towarzystwo w oczyszczeniu w takich razach hypoteki? nie wiemy, bośmy odpowiedniego wyjaśnienia w projekcie przepisów i w motywach szukali napróżno.

Obecnie rozpoczynają się obrady nad tym projektem w gronie ogólnego zebrania dyr. gł., potém przejdzie on pod dyskusyą komitetu, w obu tych fazach może być jeszcze znacznie zmodyfikowanym, póki w ostatecznéj formie nie uzyska sankcyi ministra finansów.

W gazecie „Biereg“ nr. 162 znaleźliśmy pocieszającą wiadomość, że senat rządzący uchylił decyzyę izby sądowéj wileńskiéj z powodu niewłaściwego stosowania przepisów ścieśniających.

Kwestya się zrodziła na gruncie ukazu z d. 10 Grudnia r. 1865 zabraniającego Polakom nabywać na własność majątki ziemskie w dziewięciu tak zwanych guberniach zachodnich. Przyjście do własności dóbr ziemskich: drogą kupna, zamiany, darowizny a nawet zapisu testamentowego jest wzbronione, tak że tylko na mocy spadku *ab intestato* Polak może dojść do posiadania tam nieruchoméj własności.

Otóż Izba sądowa wileńska upatrzyła w tych wymaganiach ukazu zakaz nawet brania w zastawę majątków ziemskich Polakom i, zgodnie z tém zapatrywaniem się, odmówiła zatwierdzenia umowy o zastawę zawartéj między panią Wolską, oddającą swój majątek Wiksztany w zastaw Polakowi p. Kazimierzowi Wolskiemu, pożyczającemu nań pewną sumę.

Sprawa oparła się o senat a wyrok najwyższéj włady interpretacyjnéj zapadły w téj sprawie 28 Lipca v. s. r. b. okazał się przychylnym dla stron kontraktujących.

Nakazując izbie sądowéj wileńskiéj zatwierdzenie umowy zawartéj między Wolskimi, senat oprócz motywów tyczących się wyłącznie sprawy, o któréj mówimy, wskazał jako ogólną zasadę, że ukaz z 10 Grudnia roku 1865 zabrania tylko nowego nabywania nieruchomości, że oddanie majątku w zastawę nie oznacza sprzedaży majątku, że zatém ograniczenia tego ukazu nie mogą się stosować do prawa Polaków brania majątków w zastawę. W takiém orzeczeniu senatu, znajdujemy nowy dowód, że władze wyższe nadają przepisom ograniczającym tylko ściśle znaczenie, i że w zamiarach rządu nie leży

intencya stosowania ich do wypadków niewymienionych kategorycznie w zasadniczych postanowieniach.

Niejednokrotnie mieliśmy sposobność mówić o braku wyższych zakładów technicznych w naszym kraju. Młodzież nasza, po skończeniu szkół realnych zwłaszcza, nie mając gdzie się udać na miejscu, musi dążyć do Petersburga.

Nadzieja, że tam przynajmniéj znajdą możność kształcenia się w obranym kierunku, każe im zapominać o niedogodnościach pod względem materyalnym.

Nie zawsze jednak nadzieje jadących bywają urzeczywistnione, gdyż stają temu na przeszkodzie nietylko uciążliwe egzamina wstępne, ale po prostu brak miejsca, istniejąca bowiem liczba wyższych zakładów technicznych jest za mała, względnie do liczby kandydatów. To samo powtórzyło się i w roku bieżącym.

Nie mamy danych o ilości naszéj młodzieży zmuszonéj do odejścia z kwitkiem, wiemy tylko z gazet rosyjskich, że do instytutu technologicznego z 500 starających się przyjęto zaledwie 140, do instytutu inżynierów cywilnych z 270 tylko 58 a do górniczego nieprzyjęto 67, zdołało zaś wstąpić 97,– nie przyjęto więc ogółem 639 i tylko dla braku miejsca.

W téj ogólnéj liczbie nasza młodzież, o ile wiemy z źródeł prywatnych, przedstawia dość pokaźną cyfrę jednostek zmuszonych z przyczyn od nich niezależnych, do stracenia przynajmniéj roku i to w takim tylko razie, jeżeli przyszły będzie pomyślniejszym.

Nadzieja to jednak słaba, bo o zamiarze otworzenia nowych zakładów rządowych dotąd nic nie słychać, sądząc zaś z potęgującego się stale poczucia potrzeby nauki, przypuszczać należy, że liczba kandydatów wzrastać będzie rok rocznie.

W obec tego zdaje się być pocieszającą wiadomość, podana przez wszystkie nasze dzienniki w *jednobrzmiącéj* formie i z zastrzeżeniem *jaknajpewniejszego źródła*, że może doczekamy się wyższego zakładu technicznego u siebie.

Szczegóły zawarte w tym komunikacie informują nas, że podjęte przez p. Blocha starania, o pozwolenie otworzenia w Warszawie szkoły politechnicznéj o dwóch rocznych kursach i mającéj za zadanie przygotowywać młodzież do wyższych specyalnych zakładów w Petersburgu, mają obecnie szanse powodzenia.

P. Bloch przed kilku laty rozpoczął podobno starania w tym kierunku i uzyskał nawet obietnicę p. ministra skarbu, zapewniającą

takiéj szkole zasiłek rządowy w wysokości 15.000 rub. rocznie i lokal w jednym z gmachów rządowych.

Otwarcie jednak szkoły nie przyszło wówczas do skutku, z powodu opozycyi, założonéj przez ministra oświaty hr. Tołstoja, bez względu na przychylną projektowi opinią b. Głównego Naczelnika kraju.

Po raz to już drugi położył wtedy hr. Tołstoj swoje veto; zamierzony bowiem w r. 1866 instytut politechniczny rządowy nie doszedł do skutku z powodu jakoby nieprzychylnych dla nas opinij miejscowych władz rządowych, a odmowę o któréj mówimy były p. minister motywował tém: że program szkoły przygotowawczéj nie odpowiada ani zatwierdzonym przez panującego opiniom b. Namiestnika Hr. Berga, ani zamiarom rządu, chcącego mieć w Warszawie wyższą, nie zaś przygotowawczą szkołę politechniczną; że przedstawiony projekt ustawy nie mówi o zamierzonym języku wykładowym, i że usunięcie szkoły z pod dozoru ministerium oświecenia nie daje możności kontroli i dozoru w duchu przyjętego systemu rządowego.

Teraźniejszy minister oświaty p. Saburow jest innego zdania i uważa, według słów komunikatu pomieszczonego w gazetach, myśl założenia szkoły politechnicznéj za tak racyonalną, że przez sam rząd przeprowadzoną być winna w związku z reformą dzisiejszych szkół realnych.

Tak postawiona kwestya rodzi obawy, że otwarcie szkoły musiałoby być odłożoném aż do ukończenia prac komisyi nad reformą szkół. Ze względu jednak na przychylne zapatrywanie się p. ministra, widniejące w obiecanym zasiłku rządowym przez ministra skarbu, i téj okoliczności, że Główny Naczelnik kraju interesuje się projektem i gotów go poprzéć, a p. Kurator Okręgu Naukowego Warszawskiego nie jest już mu przeciwny, chwila obecna jest sprzyjająca uzyskaniu pozwolenia na założenie kompletnego zakładu politechnicznego; trzeba więc ją wyzyskać.

Otóż, o ile widzimy z informacyi podanéj przez gazety, p. Bloch ma czynić starania w tym kierunku i nie cofa dla wyższego zakładu politechnicznego tych ofiar pieniężnych, które początkowo przeznaczył dla szkoły przygotowawczéj. Koszta te jednak będą znacznie większe, bo kompletny zakład politechniczny nie da się utrzymać z funduszów wystarczających na potrzeby szkoły o niższym zakresie. Komunikat wzywa do udzielania zasiłku z prywatnych źródeł.

Powiedzieliśmy, że wiadomość ta *zdaje się* być pocieszającą, bo jakkolwiek z uczuciem najżywszéj radości witalibyśmy zorganizowaną i otwartą w Warszawie wyższą szkołę techniczną o kilku oddzia-

łach, jednakże nie możemy pokładać wielkich nadziei na dzisiejszych, pono pomyślnych, konjunkturach. Często się zdarza, że kto chce wiele nie dostaje małego; to małe wszelako byłoby na dzisiaj dla nas arcy pożyteczném, a do osiągnienia nierównie łatwiejszém, bo mniéj kosztu, mniéj zachodu wymagającém. Dla tego zdaje się nam, że zmiana w projektach p. Blocha nie koniecznie za pomyślną uważaną być powinna. Zamiar odkrycia szkoły politechnicznéj, urządzonéj na wzór paryskiéj, jeżeli nie był jeszcze bliskim wykonania, przynajmniéj nosił na sobie cechę projektu ustalonego, około którego ludzie krzątali się na seryo, fundusze były już prawie znalezione, sankcya rządowa tak jak przyrzeczona; obecnie przechodzimy na nowo, na szerokie pole projektów wątpliwych, programatów nieokreślonych, zależnych od reform szkolnych w ogóle, o których zakresie i znaczeniu dzisiaj jeszcze nie mamy zgoła pojęcia; od wiadoméj, w przybliżeniu przynajmniéj, sumy kosztów i namacalnych źródeł na ich pokrycie, do nadziei na ofiary pieniężne szerszéj publiczności, i aczkolwiek o gotowości do ofiar nie mamy powodu wątpić, jednakże wątpić możemy, ażeby znaczne sumy mogły być zebrane w prędkim czasie. Zresztą, założenie szkoły politechnicznéj, jako przygotowawczéj do kursów wyższych specyalnych, w niczém nie stałoby na zawadzie, urządzaniu z czasem tych kursów i otwiéraniu ich w miarę zwiększania się funduszów.

Kursa wyższe nawet nie mogą być otwarte odrazu, zawsze będziemy musieli zaczynać od przygotowawczych, jeżeli więc obecnie wszystko pomyślnie się składa, cóżby szkodziło urządzać szkołę o ile można najprędzéj, a jednocześnie przygotowywać środki i zasoby do kursów specyalnych. Z tych więc powodów obudzone nadzieje nie zdają się nam być symptomatem pomyślnym, trzymając się starego przysłowia: wolelibyśmy mieć wróbla w klatce niż sarnę w kniei i wolelibyśmy czuć się bliższymi wykonania rzeczy mniejszéj, niż polegać na obietnicach i na nadziejach, że ofiarność publiczna dostarczy środków do ich wykonania.

Chęć do przysposabiania się i kształcenia w kierunku praktycznym nie opuszcza naszéj młodzieży, mały dowód mamy na szkole handlowéj, która pomimo to, że przedstawia dla kształcących się w niéj daleko mniéj widoków na przyszłość niż zamierzony instytut politechnicznicziny, stale jest zapełnioną, w ubiegłym roku szkolnym nap. miała przeszło 150 uczniów.

To samo można powiedziéć o otwartéj zaledwie przed rokiem (1 Października r. z.) szkole ogrodniczéj, która w tym pierwszym roku istnienia miała już 47 uczniów.

Ze względu na krótkość czasu nie mogła ona jeszcze wydać widocznych owoców, sprawozdanie zaś odczytane na akcie uroczystym przekonywa: jak dobre chęci, umiejętny zarząd i kierownictwo mogą wiele dokazać nawet przy ograniczonych zasobach.

Fundusze szkoły, pochodzące z dobrowolnych zapisów i ofiar, wyniosły w ubiegłym roku szkolnym 9.127 r. 90 kop. wydano z nich 7.000 rub., reszta przeszła jako remanent na rok bieżący. Z ogólnéj sumy wydatków największa, bo 3.349 rub. 50 kop. zużytą została na utrzymanie stypendystów; płace składu osobistego szkoły wyniosły 1.410 rs. 50 kop., pomoce naukowe 312 rub. opał, światło i meble zużyły 1.706 rub., administracya kosztowała tylko 222 rub.

W ubiegłym roku szkolnym otwarta była klasa przygotowawcza i pierwszy kurs piérwszéj klasy specyalnéj. Pierwsza miała 26 uczniów a drugi—21. Z przygotowawczéj klasy na pierwszy kurs specyalny zdało 17 uczniów a z pierwszego kursu na drugi 10, że zaś w ciągu roku ubylo 13 uczniów, przeto pozostało niepromowanych siedmiu.

Zmuszeni jesteśmy ograniczyć się do suchéj wzmianki o Uniwersytecie, bo sprawozdanie, odczytane na akcie uroczystym odbytym w zeszłym miesiącu, daje nam bardzo szczupłe dane o działalności téj najwyższéj instytucyi wychowawczéj w Królestwie.

Pierwsza część sprawozdania poinformowała nas, że dotąd mamy kilka katedr nieobsadzonych, i że teraźniejszy komplet ciała naukowego mniejszy jest od oznaczonego ustawą. Podobno przypisywać to należy temu, że dochody uniwersytetu są zbyt szczupłe.

Oprócz naukowéj działalności polegającéj na wykładach, pomieszczeniu pono przeszło stu rozpraw w rozmaitych pismach i wydaniu kilku broszur, profesorowie uorganizowawszy dwie komisye zajęli się biblioteką główną, czytelnią studencką, klinikami i gabinetami. Jak dalece sięga działalność w tym kierunku i jakie przyniosła owoce, nie wiemy, bo sprawozdanie szczegółów nie podało, poprzestając na wskazówce, że czytelnia studencka powiększyła się o 1.625 książek.

Druga część sprawozdania mieściła w sobie dane o liczbie studentów. Dowiedzieliśmy się, że z poprzedniego roku pozostawało studentów 425, w roku akademickim przybyło 208, ubyło 54, zmarło 2. Wolnych słuchaczy było 22 a farmaceutów 93.

Ukończyło uniwersytet ze stopniami: kandydatów 22, rzeczywistych studentów 23, lekarzy 28 i lekarzy powiatowych 7, w ogóle 80;

promowano na wyższe kursa 416 i farmaceutów 70, nie skończyło egzaminów 101 studentów a farmaceutów 15.

Za rozprawy napisane przez studentów przyznano 5 złotych i 4 srebrne medale, na zaszczytne wzmianki zasłużyło pięć rozpraw.

W zakończeniu kroniki zawiadamiamy czytelników o kilku nowych czasopismach mających powstać w Warszawie. Udzielono pozwolenia: p. Świętochowskiemu na tygodnik literacki „Prawda", p. Cezaremu Wilanowskiemu na dwutygodnik „Przewodnik bibliograficzno-archeologiczny", Dr-owi Hermanowi Benniemu na „Gazetę Świąteczną" i p. Kruzińskiemu na dwutygodniowe „Nowości muzyczne."

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**